

Golding William

PIEKŁO POD POKŁADEM

Kapitan Anderson odwrócił się, osłonił usta dłońmi i ryknął, co sił w płucach:

— Top masztu!!!

Majtek usadowiony tam, tuż obok nieruchomej postaci młodego Willisa, dał znak, że go usłyszał. Anderson opuścił ręce i krzyknął, tym razem głosem prawie normalnym:

— Umarł?

Nie dosłyszałem odpowiedzi, marynarz bowiem nie dorównywał kapitanowi siłą głosu.

Zagłuszył go huk wiatru i wzburzonych fal, nie wspominając już o skrzypieniu kołyszącego się statku.

Porucznik Benêt, który stał trzydzieści stóp niżej, na pomoście bojowym, przekazał odpowiedź majtką głosem równie donośnym jak ryk kapitana, lecz znacznie wyższym:

— Trudno powiedzieć! Jest całkiem zimny!

— Znieść go na dół!

Nieudolność i opieszałość aspiranta Willisa sprawiły, że postradaliśmy stengi. Nieszczęśnika skazano na pełnienie co drugiej wachty na rei, jej rolę pełniła teraz wąż żerdź. Nastąpiła długa przerwa w wymianie zdań, podczas której na rei odbywało się coś na podobieństwo zmagania zapaśników. Tymczasem drugi majtek, wyposażony w linę, już wspiał się na maszt. W pewnej chwili aż mi dech w piersiach zaparło, Willis bowiem stracił równowagę i byłby spadł, gdyby nie opasano go czymś w rodzaju szelek. Opuszczano go na dół: obracał się na końcu liny, huśtał wraz z przechyłem statku, czasami obijał się o maszt.

Porucznik Benêt krzyknął:

— Przyciągnij go, nierobie!

Przekazywano sobie Willisa z rąk do rąk. Marynarze pełniący wachtę, którzy zajęli pozycję przy olinowaniu grotmasztu, transportowali go ostrożnie, jakby mieli do czynienia z brzemienią niewiastą. Porucznik Benêt zsunął się z pomostu bojowego po linie długiej na sześćdziesiąt stóp i z gracją wylądował na pokładzie.

— Pięknie!

Przyklęknął obok chłopca. Kapitan Anderson odezwał się z pokładu szturmowego:

— Czy chłopiec zmarł, panie Benêt?

Porucznik wytwornym gestem zerwał z głowy

kapelusza obnażając, moim zdaniem, przesadnie już bujne blond włosy.

— Niezupełnie, sir! Do roboty, wiara! Zabrać go do mesy! Żwawo!

Niewielka grupka schodziła po drabinkach... lub schodach, jak już przywykłem je nazywać.

Porucznik Benêt podążał za nimi, jakby poza wszystkim innym znał się jeszcze na medycynie.

Odezwałem się do pana Smilesa, nawigatora, który właśnie pełnił wachtę:

— Moim zdaniem chłopak nie żyje.

Kapitan syknął ostrzegawczo, kolejny raz bowiem złamałem regulamin, który zabraniał rozmów z oficerem dyżurnym. Jednak tym razem zdawał sobie sprawę, że to on sam zdecydował o zbyt ryzykow

nym przedłużeniu kary, więc odwrócił się, wykrzywiając przy tym twarz w grymasie, któremu w teatrze towarzyszyłoby warknięcie, i zniknął w swojej prywatnej kwaterze.

Pan Smiles zlustrował całą linię horyzontu, po czym przeniósł wzrok na nasze skromne żagle.

— Pora w sam raz do umierania.

Poczułem złość i zarazem strach. Uważam się wprawdzie za osobę wolną od wszelkich przesądów, lecz jego słowa zabrzmiały złowieszczo na unieruchomionym i być może tonącym statku. Pocięczałem się, że pogoda się poprawi, mimo iż w tej chwili staliśmy w miejscu z dziobem skierowanym na południe, ku morzom polarnym. Aura jednak nie wydawała się gorsza od tej na Kanale Angielskim. Już miałem zakwestionować opinię tego człowieka, gdy z pomieszczeń dla pasażerów wyszedł mój przyjaciel, pierwszy oficer Charles Summers, i wspiął się na pokład.

— Edmundzie! Podobno to ty uratowałeś Willisa!

— Ja? Nic podobnego! Jestem pasażerem i za nic w świecie nie odważyłbym się wtrącać w sprawy statku! Ja tylko powiedziałem porucznikowi Benétowi, że ten młody człowiek wygląda na pogrążonego w głębokim śnie. Benét wziął sprawę w swoje ręce... jak zwykle.

Charles rozejrzał się, po czym odciągnął mnie na stronę.

— Twój wybór padł na jedyne go oficera, który może pozwolić sobie na bezkarne wygłaszanie opinii odmiennych od zdania kapitana Andersona.

— To się nazywa dyplomacja.

— Nie lubisz Benéta, prawda? Ja także często się z nim nie zgadzam. Fokmaszt...

— Podziwiam go, chociaż jest przesadnie doskonały.

— Kieruje się szlachetnymi intencjami.

î

— Wspina się po linach tak zwinnie jak aspiranci! Czy wiesz, że chociaż jestem na morzu od tyłu miesiący, jeszcze nie wspiałem się na maszt? Mam wrażenie, że dzisiaj kołysujemy się nieco mniej.

— Czyżby? Przywykłem do kołysania...

— Jestem pewien, że ty potrafiłbyś przejść po gzymsie budynku. Przypuszczam, iż wkrótce wiatr się nasili. Być może właśnie teraz nadarza się jedyna okazja, bym poznał dolę zwykłego majtka.

— Poprowadzę cię na pomost bojowy.

— Będzie to dla mnie bardzo pouczające doświadczenie. Wyobraźmy sobie... tak też może się zdarzyć... że jestem deputowanym w parlamencie. "Panie przewodniczący. Ci, którzy stali na pomoście bojowym okrętu wojennego, na pełnym morzu..."

— Niech szanowny deputowany okręgu Timbaktu zamilknie, chwyci się lin i odwróci. Ostrożnie! Nie jesteś aspirantem, który potrafi wyczyniać różne harce na olinowaniu!

— O Boże! Tu nie ma jak postawić stopy!

— Najpierw butem wymacaj szczebel i dopiero wtedy stań na nim całym ciężarem. Nie patrz na dół. Złapię cię, gdybyś miał zamiar spaść.

— Bezpiecznie, jak u Pana Boga za piecem.

— Znowu bluźnisz...

— Dopraszam się łaski, Eminencjo. Samo mi się wyrwało. Eurypides powiedziałby, że to nie ja rzekłem, lecz mój but, który nie trafił na szczebel.

— Jazda. Tu nie miejsce na żarty. Teraz do marsa!

— Czy muszę iść na łatwiznę?

— Właż!

— O Boże! Ile miejsca?! Zmieściłoby się tu sześciu chłopów... pod warunkiem, że korzystaliby wyłącznie z tej wielkiej dziury, przez którą byłem zmuszony wejść. "Sprzedam willę: eleganckie wyposażenie, konstrukcja drewniana, z widokiem na ocean plus dżentelmen obyty z morzem, wpatrzony w horyzont".

— Fawcett, skoro pan Willis... już opuścił reję, możesz podjąć obserwację z jego miejsca. Wychudzony marynarz zasalutował, przesunął prymkę z jednego policzka w drugi i zniknął nam z oczu.

— Jak ci się tutaj podoba?

— Teraz, kiedy odważyłem się spojrzeć na dół, widzę, że nasz okręt, który wydaje się taki wielki, znacznie się skurczył. Doprawdy, Charlesie! Nie wolno wbijać takich grubych bali jak ten maszt do takiej małej łódeczki! Bez wątpienia zaraz się przewrócimy! Wolę tego nie widzieć... Zamykam oczy.

— Popatrz na horyzont... to robi jeszcze silniejsze wrażenie.

— Włosy stanęły mi dęba, aż mi się kapelusz przekrzywił.

— Od pokładu dzieli nas zaledwie sześćdziesiąt stóp.

— Zaledwie! Nasz jasnowłosy przyjaciel zjechał stąd po linie aż na sam dół!

— Benćt jest bardzo energicznym młodzieńcem, pełnym życia i pomysłów. Co byś zrobił, gdybyś znalazł się na rei?

— Jak nieszczęsny Willis? Chyba bym umarł. Smiles powiedział, że to jest pora w sam raz do umierania.

Usiadłem ostrożnie, chwytając się oburącz opiekuńczych lin, które trzymały pomost bojowy. Ogarnęło mnie przyjemne uczucie.

— Już lepiej.

— Przejąłeś się tym, co powiedział Smiles?

— Może miał na myśli córeczki Pike'a?

- Akurat poczuły się nieco lepiej.
- Czy Daviesa? Tego zgrzybiałego aspiranta? A może chodziło mu o panią East? Ona chyba jednak zdrowieje, bo widziałem ją z panią Pike. Panna Brocklebank?
- Jej ojciec twierdzi, że jest bardzo słaba. Ma się coraz gorzej.

Na myśl o kolejnym kandydacie wybuchnąłem gromkim śmiechem.

— A może chodziło mu o pana Prettimana, naszego zapalczego teoretyka nauk politycznych? Panna Granham mówiła, że jej narzeczony bardzo się potłukł.

— Czy uważasz, że on jest komiczny?

— Prettiman nie może być tak antypatyczny, jak się wydaje, inaczej bowiem osoba tak szacowna jak panna Granham nie zechciałaby uczynić go najszcześniejszym człowiekiem na świecie. Komiczny? To zły człowiek! Jest wrogo usposobiony do rządu swojego kraju, Korony, do naszego systemu reprezentacji... właściwie do wszystkiego, co złożyło się na to, że Anglia pełni decydującą rolę w świecie.

— Mimo to nie jest z nim najlepiej.

— Niewiele byśmy stracili, gdyby Prettiman nas opuścił. Żał mi za to panny Granham, bo chociaż nie raz przytarła mi rogów, nadal uważam ją za damę godną szacunku, a poza tym jest do niego szczerze przywiązana.

Ktoś wspinał się po olinowaniu. Był to pan Tom- my Taylor, który z małpią zręcznością pokonał krawędź pomostu, zamiast obrać łatwiejszą i bezpieczniejszą drogę przez dziurę w platformie.

— Pan Benet przesyła wyrazy szacunku. Panu Willisowi nic nie zagraża. Zasnął i już chrapie.

— Dziękuję, panie Taylor. Czy jest pan na służbie?

— Tak, sir.

— Może pan wracać na rufę.

— Przepraszam, sir, ale właśnie jest zmiana. Rzeczywiście rozległ się dzwon oznajmiający zmianę wachty.

— W porządku... wobec tego jest pan wolny. Proszę zostać z nami i podjąć się roli preceptora. Tu obecny pan Talbot utrzymuje, że chce się nauczyć wszystkiego o statku.

— Nie, nie, Charlesie. Dai spokój!

— Panie Taylor, pan Talbot chciałby dowiedzieć się, jaki to jest maszt

— Grotmaszt, sir!

— Czy to miał być żari, panie Taylor? Jaka jest jego konstrukcja?

— Jest to maszt "robiony", to znaczy zbudowany z kawałków. Nie z wałków, lecz z kawałków.

Pan Taylor roześmiał się tak głośno, iż pojąłem, że zamierzał być dowcipny. Dla tego chłopca, którego nigdy nie opuszczał świetny nastrój, nasze tragiczne położenie na uszkodzonym i, kto wie, może tonącym statku zdawało się dostarczać powodów do radości.

— Proszę powiedzieć panu Talbotowi, jak nazywają się poszczególne części.

— Te zaokrąglone po obu stronach to bolstery, te tutaj to wzdłużnice jarzma, niżej są policzki, które zapobiegają ześlizgiwaniu się jarzma. Cieśla, pan Gibbs, powiedział...

Na samo wspomnienie chłopak zaniósł się śmiechem.

— Pan Gibbs powiedział: "Każdy maszt tego typu ma dwa krągle policzki, młody człowieku.

O dwa mniej niż ty. Jasne?"

— Możesz odejść, młodzieńcze. Masz nieczyste myśli.

— Tak jest, sir. Dziękuję, sir.

Pan Taylor oddalił się ze zwinnością typową dla swojego wieku i płci. Widok maleńkiej sylwetki sunącej po tej samej linii, na której wcześniej widziałem pana Beneta, przyprawił mnie o zawrót głowy. Podniosłem wzrok i utkwilem spojrzenie w fokmaszcie, między nami i dziobem statku.

— Charles! Płyniemy! Nie... znowu stoimy. Popatrz na sam czubek... teraz... zatoczył kółko... nieregularne kółko...

— Zorientowałeś się? Najpierw myśleliśmy, że

maszt pęki... z jednej strony... ale okazało się, że to stopa uszkodziła gniazdo. Podjęliśmy pewne środki zaradcze. Edmundzie, zrozum! Nic więcej nie da się zrobić.

— Nie powinien tak się ruszać!

— Masz rację. Właśnie z tego powodu nie mamy żagli na fokmaszcie ani na bezanmaszcie, ponieważ powinny się nawzajem równoważyć. Czy widzisz kliny, tam gdzie maszt przechodzi przez pokład? Nie, stąd ich nie widać... Kołysanie stale je wypycha. Zrobiliśmy wszystko, żeby maszt zabezpieczyć i unieruchomić.

— Niedobrze mi.

— Popatrz gdzie indziej. Zapomniałem, że tutaj każdy przechył jest bardziej zauważalny. O nie! Spójrz! Na horyzont, nie ma maszt! Wiatr! Wiatr z południa! Ten, którego najbardziej się obawiamy!

— Co nam przyniesie ten wiatr?

— Ochłodzenie. Zmienimy kurs i skierujemy się na wschód. Wprawdzie o to nam chodzi, lecz chcemy także znaleźć się na południu, w strefie silnych wiatrów. Musimy schodzić. Ruszamy. Pójdę przodem.

Znaleźliśmy się na pokładzie. Stałem przy prawej burcie po zawietrznej grotmaszcie, by patrzeć, jak nasz sterany okręt ociężale reaguje na podmuchy wiatru. To nie był ten delikatny wiatr, który zazwyczaj kojarzy się nam z “południem”. Charles obserwował z pokładu, jak pan Cumbershum i kapitan Anderson zmieniają kurs. Właśnie zamierzał przejść na dziób, kiedy ponownie zaszedłem mu drogę.

— Czy możesz poświęcić mi trochę czasu? Wiem, że jesteś zajęty, a nie chciałbym zabierać ci tych paru wolnych chwil...

— Pierwszy oficer ma więcej wolnego czasu w trakcie rejsu niż na początku lub pod koniec! Muszę

kręcić się po statku i tropić takie karygodne wykroczenia jak nie podwieszony hamak czy lina w nieładzie... O, tu masz linę zwiniętą prawidłowo. Możemy, jak zwykle, przejść się po śródkręciu.

— Z przyjemnością.

Przemierzaliśmy naszą stałą trasę: nad napiętymi grubymi linami, pod grotmasztem i jego białą liną, obok skomplikowanej konstrukcji z klinów, lin, bloków i pachołków, w stronę forkasztelu, przed którym nagi fokmaszt kreślił na niebie ledwie widoczne kółka. Gdy doszliśmy tam po raz pierwszy, zatrzymałem się, by go obejrzeć. Konstrukcja zabezpieczająca była tam równie skomplikowana, jak pod grotmasztem. Drzewce masztu miało blisko trzy stopy średnicy; w miejscach, gdzie przechodziło pod pokład, otoczono je kołnierzem z grubych klinów. Widziałem, jak się ruszają: nieznacznie i każdy inaczej. Tuż obok stał majtek z ciężkim drewnianym młotem. Na widok pierwszego oficera dźwignął narzędzie, odczekał chwilę i opuścił je na jeden z klinów, który wysforował się bardziej niż jego sąsiedzi.

Charles pokiwał głową. Położył dłoń na moim ramieniu i odciągnął mnie spod masztu. Podjęliśmy naszą przechadzkę.

— Czy takie wbijanie ma jakiś sens?

— Zapewne nie, lecz pozory robią dobre wrażenie. Dają pasażerom większe poczucie bezpieczeństwa.

— A propos! W pełni zdaję sobie sprawę z uprzejmości, jaką wyświadczają mi panowie oficerowie, oddając jedną ze swoich kabin do mojej dyspozycji. Wiem również, że wszystko co dobre ma swój koniec i że muszę wrócić do części pasażerskiej, do mojej kabiny.

— To ty nic nie wiesz?! Zajęła ją panna Brock-lebank! Nie protestowałem przez wzgląd na ciężki stan tej damy! Czy masz serce ją wyrzucić?

- Nabyła do niej praw przez zasiedzenie. Miałem na myśli moją drugą kabinę.
- Tę, w której; Colley postanowił oddać ducha i gdzie Wheeler odebrał sobie życie? Nie możesz tam spać! Czy towarzystwo oficerów... moje towarzystwo przestało ci odpowiadać?
- Sam wiesz, że tak nie jest!
- Więc o co ci chodzi? Mógłby tam spać taki otrzaskany ze śmiercią wilk morski jak ja! Ale nie ty... to miejsce jest nieczyste.
- Przyznaję, że taka perspektywa nie napawa mnie zbyt dużym entuzjazmem.
- Więc dlaczego się upierasz?
- Pozwolę sobie zauważyć, że lepiej przemyślałem tę sprawę niż ty... na pewno lepiej, ponieważ dotyczy ona wyłącznie mojej osoby.
- Przepraszam.
- Nie zrozum mnie źle... To wyłącznie moja sprawa. Wszystko ci wytłumaczę. Chodzi o to, że przez jakiś czas będę obracał się w kręgu osób zarządzających kolonią. Jakby to wyglądało, gdyby rozeszła się wieść, iż opuściłem swoją kabinę ze strachu przed duchami? Rozumiesz? To taka forma służby, którą sobie narzuciłem, podobnie jak ty przysięgałeś służyć naszemu królowi.
- Postawa godna szacunku.
- Ja też tak uważam.
- Roześmiał się.
- Tak czy inaczej, jeszcze przez parę dni nie będziesz mógł się tam wprowadzić. Kazałem kabinę oczyścić, pomalować i tak dalej.
- I tak dalej?
- Edmundzie, zrozum... Kiedy ktoś strzela sobie w łeb w tak małym pomieszczeniu...
- Nie przypominaj mi tego!
- Masz kilka dni na podjęcie decyzji. Boczny wiatr sprawia, że kołysanie zmalało. Nie zauważyłeś?
- Dzięki temu bierzemy mniej wody, a to z kolei oznacza mniej pracy przy pompach.
- Nie rozumiem jednej rzeczy. Dlaczego przy tym wietrze nie płyniemy na północ, ku Afryce i Przylądkowi? Moglibyśmy uzupełnić zapasy żywności, wody i wszystkiego, czego nam jeszcze trzeba... naprawić fokmaszt, wysadzić chorych... a przede wszystkim rozprostować nogi na cudownie suchym lądzie! Jakże mi tego brakuje!!!
- Ten wiatr się nie utrzyma. Jest za słaby i nietypowy dla tej pory roku. Jeżeli ruszymy za wcześnie, możemy narazić się na "gonienie wiatru". Polega to na tym, że statek się cofa, idzie do przodu, kręci się w kółko i może nie dotrzeć do celu. Jak Latający Holender. Ciesz się, że płyniemy we właściwym kierunku z prędkością trzech i pół węzła. To lepsze niż nic... Co ci jest?
- Przepraszam... Wszystko mnie świerzbi. Prawdę mówiąc, mam wysypkę między nogami.
- Wysypka... Wszyscy ją mamy. To z powodu soli.
- Moje ubranie już nie nadaje się do noszenia. Phillips wziął moją koszulę do prania, za co go zbesztalem, lecz w końcu musiałem ją włożyć, zanim całkiem wyschła.
- Aha! Deszczówka!
- Myślałem, że w deszczówce nie ma soli.
- Czego oni uczą w tych szkołach?! Jaka może być deszczówka? Nie ma w niej soli, jeżeli deszcz pada w głębi lądu, daleko od morza. Tutaj woda deszczowa zawsze jest co najmniej słonawa. Nie używasz jej do mycia?
- Oczywiście, że się w niej myję! Ale moje mydło nie chce się pienić. Poza tym na wodzie robi się taki obrzydliwy, szary kożuch.
- Jakie masz mydło?

— Swoje własne, rzecz jasna!

— Czy pan Webber nie wydał ci przydziałowego kawałka?

— Na Boga! Ty to nazywasz mydłem?! Wygląda jak cegła. Myślałem, że to pumeks albo coś, czym się golicie podczas sztormu... na modłę starożytnych!

— Skąd wiesz, czym golili się starożytni?! To jest mydło, drogi chłopcze, specjalne mydło do słonej wody!

— Nie wydaje mi się, by miało jakiś zapach.

Pierwszy oficer śmiał się równie głośno i długo,
jak pan Taylor.

— Zdaje się, że uważasz, iż mydło zawsze jest perfumowane!

— A nie jest?

Nagle coś innego przyciągnęło jego uwagę. Nadstawił ucha, poślinił kciuk i wyciągnął go do góry.

— Nie mówiłem? Ten wiatr nie trwał dłużej niż jedną wachkę! Znowu to samo!

Nadal byłem gościem w kwaterach oficerskich, gdy w środku nocy zerwała się kolejna wichura. Otworzyłem oczy z przeświadczeniem, że statkiem kołysze bardziej niż przedtem. Leżałem, próbując ustalić kierunek wiatru na podstawie ruchów statku. Kładliśmy się głównie na prawą burtę, z rzadka prostując do równej stępki. Od czasu do czasu statek brykał jak koń. Kiedy indziej stawał dęba... ale inaczej niż przy wietrze z przodu. Półprzytomny, doszedłem do wniosku, że wieje od lewej strony i że płyniemy z dużą prędkością na południe. Nic tak nie cieszy, jak świadomość, że statek posuwa się we właściwym kierunku! W naszym przypadku był to wschód, lecz kurs na południowy wschód w poszukiwaniu wiatrów zachodnich, które rzekomo opasują całą półkulę południową, był równie pożądany. Rozmyślałem o załodze: część wachty przy pompach, część na pokładzie przy linach i żaglach, o naszym ponurym kapitanie, który od czasu do czasu opuszcza swoją kwaterę, by rzucić okiem na całość sytuacji...

i o dziobie, który pruje przez fale szybciej niż piechur. Los nam sprzyja. O ileż znośniejsze byłoby życie, gdyby nie to swędzenie... moja ręka bezwiednie

przesunęła się niżej. Czasami ta dolegliwość wydawała mi się straszniejsza niż czyhające na nas niebezpieczeństwa.

Statek zakołysał się gwałtownie od dziobu do rufy, jak uderzony dziewiątą falą. Zerwałem się z koi, ponieważ w tej samej chwili nade mną rozległ się krzyk. Dochodził z wyższego pokładu, z części przeznaczonej dla pasażerów. Czekałem, by się powtórzył, lecz po chwili, uspokojony, położyłem się znowu. Chłodniejsze powietrze w kabinie sprawiło, że wilgotna i rozgrzana pościel stała się nie do zniesienia. Poczulem świerzbienie. Spuściłem stopy na podłogę i zataczając się stanąłem na środku kabiny całkowicie pograżonej w ciemnościach. Zza ściany dobiegało chrapanie pana Cumbershuma, który dopiero co zszedł z wachty. Po omacku znalazłem płaszcz... ten z potrójną peleryną: w niczym już nie przypominał wytwornego stroju, w którym rozpoczynałem tę nie kończącą się podróż. Koszula nocna i płaszcz! Naciągnąłem wełniane skarpety i marynarskie buty, po czym skierowałem swoje kroki do mesy. Niewyraźna linia horyzontu ukośnie przecinała wielkie okno rufowe. W słabym świetle niewidzialnej jutrztenki mogłem się tylko domyślać przebiegu granicy między morzem i niebem. Dziób statku ponownie się uniośł, tym razem jeszcze gwałtowniej, jakbyśmy natknęli się na falę postawioną przez wiatr wiejący z innego kierunku. Znowu usłyszałem nad sobą krzyk... krzyk cierpienia, nie miałem co do tego wątpliwości. Instynktownie... w półśnie... być może kojarząc owo cierpienie ze swoim świadem... budziłem się bowiem niechętnie i połowa mojego umysłu stale powracała do łóżka... wdrapałem się po schodach na pokład pasażerski. Ledwie zdążyłem chwycić się poręczy, gdy statek znowu się przechylił i rozległ się dobrze mi już znany krzyk. Dochodził z za drzwi kabiny naszego filozofa, pana Prettimana!

Po chwili z sąsiedniego pomieszczenia wyszła jego narzeczona, panna Granham. Uczepiona poręczy, otworzyła drzwi do jego kabiny. Przemknąłem korytarzem... pomagał mi w tym przechył na prawą burtę... nawet miałem trudności z zahamowaniem z górki. Mój spontaniczny bieg na ratunek panu Prettimanowi zakończył się potężnym grzmotnięciem w jego drzwi. Ledwie zdążyłem się od nich oderwać, kiedy panna Granham we własnej osobie otworzyła je od środka. Obrzuciła mnie wymownym spojrzeniem. Miała na sobie białą nocną koszulę, stosowny czepek i szeroki szal zarzucony na ramiona.

- Pan Talbot?
- Usłyszałem krzyk. Czy mogę w czymś...
- Chciał pan pomóc? Dziękuję, nie trzeba.
- Chwileczkę, madame. Środek uśmierzający...
- Laudanum? Mam laudanum.

Umilkła. Nagle zdałem sobie sprawę, że spod płaszcza wystają mi gołe nogi i brzeg białej koszuli. Panna Granham uśmiechnęła się chłodno i zamknęła mi drzwi przed nosem. Kolejna fala pchnęła mnie na poręcz, kiedy ponownie rozległ się krzyk tego nieszczęśnika. Może on rzeczywiście jest komiczny... komicy cierpią tak samo jak reszta ludzkości. Kurczowo uczepiony poręczy dotarłem do wyjścia na pokład. Wyglądałem na śródokręcie, usiłując nie słyszeć tych krzyków, ale na próżno. Wyszedłem więc na chłodne powietrze i blask przedświt. Skuliłem się pod sztagami grotmasztu. Nade mną akurat rzucano log, ktoś bowiem wydawał rozkazy.

— Zwrot! Zmiana!

Po jakimś czasie:

— Pięć i pół węzła, sir.

— Zapisać!

Usłyszałem pisk kredy na tablicy kursowej. Pięć

i pół węzła! Ponad sto trzydzieści mil lądowych na południowy wschód w dwadzieścia cztery godziny!

I to dzięki żaglom rozpiętym na jednym tylko maszcie. Wkrótce, bez wątpienia, złapiemy wiatry zachodnie i pomkniemy do Sydney Cove!

Na dziobie odbywał się rytuał zmiany wachty. Pan Smiles i młody Taylor przekazywali służbę panu Askewowi, naszemu działomistrzowi. Była ósma rano i na wschodzie rozlewała się już jasność. U szczytu schodów dojrzałem mojego przyjaciela, pierwszego oficera Summersa oraz porucznika Benéta. Od razu zauważyłem, że musiało między nimi dojść do wymiany zdań. Charles, ten najłagodniejszy człowiek pod słońcem, miał marsową minę. Pan Benét natomiast był w jeszcze lepszym nastroju niż zazwyczaj. Za nimi szedł cieśla, pan Gibbs, i kowal Coombs. Na coś się zanosi! Benét uprzejmym gestem przepuścił pierwszego oficera, lecz ani w jego uśmiechu, ani na poważnym obliczu mojego przyjaciela nie dostrzegłem śladów przychylności czy szacunku. Nie miałem co do tego najmniejszych wątpiwości. Sprytny pan Benét triumfował. Trzymał w dłoniach niewielki i bardzo skomplikowany przedmiot, wykonany z drewna i metalu. Charles, nie patrząc w moją stronę, ruszył korytarzem i dalej, po schodach na dół. Pan Benét i kowal rozmawiali z panem Gibbem, który po chwili zasalutował i poszedł za pierwszym oficerem. Porucznik energicznym gestem podał model kowalowi i kazał iść przodem.

Nie wytrzymałem, poczułem, że muszę się dowiedzieć, poza tym...

— Witam pana, panie Benét. Coś wisi w powietrzu...

— W rzeczy samej, panie Talbot.

— Czy wolno mi wiedzieć, co to takiego? Czy odda pan to wydarzenie wierszem?

— Nie wiem, czy wolno mi panu o tym mówić, panie Talbot. Zalicza się pan do popleczników pierwszego oficera...

— Popleczników? Czy miał pan na myśli jakieś “stronnictwo”? O co panu chodzi?

— To absurdalne... ale tak się stało. Od kiedy udało mi się oczyścić dno statku z wodorostów za pomocą liny i wbrew opinii pierwszego oficera...

— Wyrwał pan z dna kadłuba potężną belkę.

— Dzięki temu nasz statek płynie z prędkością większą o jeden węzeł.

— Tylko jeden, jak zauważył pierwszy oficer.

— Niezależnie od tego, znaleźliśmy się po przeciwnych stronach barykady. Powstały dwa obozy: tych, którzy uważają, że uratowałem nam życie oraz tych, którzy twierdzą, że podjąłem zbyt wielkie ryzyko.

Nie chciałem się z nim spierać. Był przecież jedynym ogniwem łączącym mnie z pewną młodą damą.

— Co ma znaczyć ten pomysł ze stronnictwami, panie Benet? Czyżby nasz statek był państwem?!

— A nie jest?

— Pan Summers jest pańskim przełożonym. Ponadto te liny przeciągnięte przez pokład według jego pomysłu... dzięki nim kadłub nie rozpadł się na kawałki!

— To sposób stary jak świat, panie Talbot. Przypisuje pan pierwszemu oficerowi nadmiar inwencji.

— Czy kością niezgody stał się przedmiot, który przekazał pan Coombsowi?

— Owszem. To jest model nadstępki, gniazda oraz dolnej części grotmasztu. To trzeba zobaczyć, żeby uwierzyć. Opracowałem nie tylko metodę unieruchomienia masztu... który, jak panu wiadomo, kiwa się pomimo naszych licznych zabiegów... ale także przywrócenia go do stanu używalności. Jeżeli mi się uda, będziemy mogli ponownie rozwinąć na nim żagle, a co za tym idzie, zrównoważyć go żaglami na bezanmaszcie. A to znaczy dwa węzły więcej przy umiarkowanym wietrze, panie Talbot!

— Pokazał go pan kapitanowi?

— Zobaczył i uwierzył. Przekonałem go.

— Ale nie Charlesa! Ja ufam jemu, panie Benêt!

— Oczywiście, lecz on jest... pańskim przyjacielem... ani słowa więcej...

Dla podkreślenia swojej decyzji pan Benêt zasłonił usta jedną ręką, zaszalutował drugą i przeskakując przez liny założone przez Charlesa zniknął w for- kasztelu. Ja natomiast zszedłem po drabinie do mesy oficerskiej. Znalazłem tam Charlesa, który patrzył przez okno, obojętny jak zawsze na kołysanie statku. Odwrócił się, kiedy stanąłem w drzwiach.

— O co tu chodzi, Charlesie?

Nie udawał, że nie wie, o co pytam.

— Tym razem Benêt zapragnął przywrócić nam kilka masztów. Nic wielkiego.

— Czy kapitan wyraził zgodę?

— Ależ tak. Pan Benêt ma ogromny dar perswazji. Daleko zajdzie... jeśli przeżyje.

— Jeżeli wcześniej ktoś go nie unicestwi! Na czym polega ryzyko?

— Krótko mówiąc, maszt uszkodził gniazdo... drewniany blok, w którym jest osadzony... i przez to obluzowała się stopa masztu. Unieruchomiliśmy go pod pokładami, zastosowaliśmy różne odciągi, kliny, podpory... i w ten sposób nieco ograniczyliśmy luzy. Benêt uparł się, że je całkowicie wyeliminuje.

— Czym to grozi?

— Wystarczy minimalny błąd, żeby stopa masztu ześliznęła się i przebiła dno kadłuba. Tylko tyle.

— Trzeba Benêta powstrzymać!

— Co więcej, jego metoda wymaga zastosowania ognia oraz żelaza rozgrzanego do białości... rozumiesz teraz moje zastrzeżenia? Powtarza się sytuacja z czyszczeniem dna kadłuba. Eksperyment może się udać, ale ryzyko jest zbyt wielkie.

— Kto jeszcze należy do twoich stronników?

— To już do tego doszło?

— Ja popieram ciebie!

— Nie wolno ci tak mówić. Nie rozumiesz? Nie masz prawa używać tego słowa!

— Benêt go użył.

— Nie powinien tego robić. Przede wszystkim nie powinien używać go w rozmowie z tobą. Jako pasażer nie masz prawa wypowiadać się w takich kwestiach.

Milczałem. Charles opadł na fotel. Uśmiechnął się gorzko.

— Sprawa mogłaby się stać przedmiotem szerokiej dyskusji.

— Twoja reprimenda...

— Nie zamierzałem cię karcić, chciałem tylko cię ostrzec. Kapitan zapoznał się z naszym stanowiskiem dotyczącym sprawy zawodowej i wydał swoją decyzję. My musimy się do niej dostosować.

— Przeczuwam, że nie obędzie się bez komplikacji.

— Trzymaj się od nich z daleka.

— Jesteśmy przyjaciółmi, Charlesie! Muszę ci pomóc!

Potrzęsnał głową.

— Mogę w odpowiedniej chwili złożyć formalny protest. Coombs przygotowuje już żelazne części. Dwie ogromne płyty, na które ledwie nam wystarczy materiału, cztery żelazne pręty, nagwintowane, i cztery żelazne nakrętki...

— Nic nie mów, wiem o co chodzi! Zamierza posłużyć się tą samą metodą, którą mój ojciec kazał zastosować przy naprawie starych domków nad rzeką: rozgrzane do czerwoności żelazne pręty do ściągania wybrzuszonych ścian! Świetnie to pamiętam, chociaż byłem wtedy całkiem mały... w miarę jak metal stygł, krzyże na końcach prętów wpychały ściany do pionu. Byłem zafascynowany!

- Czy te budynki zbudowano z drewna?
- Z cegły.
- Zapewne zauważyłeś, że nasz statek jest z dREW-

na. Pręty, rozgrzane do czerwoności, mają przejść przez blok drewna o szerokości czterech stóp... Mam wrażenie, że zrzęda ci mina. Benet twierdzi, że dziury będą miały większą średnicę niż pręty i zaklina się, iż pod wpływem wysokiej temperatury powstanie w nich zaledwie cienka warstwa popiołu. Muszę przyznać: jego model się sprawdził, chociaż strasznie dymił.

— Jeszcze niedawno kapitan Anderson chwalił Beneta za to, że nie posługuje się ogniem, łańcuchem kotwicznym ani parą! Prawdziwy człowiek morza: liny, bloczki i płótno żeglarskie! Pierwszy oficer uderzył otwartą dłonią w blat stołu.

— Posłuchaj mnie, Edmundzie! Niebezpieczeństwo wcale nie będzie zażegnane, nawet jeżeli maszt nie przebije kadłuba! Czy obserwowałeś dogasające ognisko? Czy zauważyłeś, jak iskry wędrują po warstwie sadzy? Widziałeś chyba, jak pozornie wygaszone palenisko ożywa i bucha płomieniem? Wszystko to będzie zamknięte... w tym gnieździe. Z czymś takim mamy beztrzesko sunąć naprzód. Dodaj do tego niestabilny kadłub, awaryjny takielunek, odległość, strefę sztormów, do której mozolnie się zbliżamy, ponieważ tylko w ten sposób mamy szansę dotrzeć do lądu i schronienia, zanim skończą się nasze zapasy wody i żywności...

Zaczerpnął powietrza. W ciszy, jaka zapanowała, wyraźnie słyszałem chłopot wody uderzającej o kadłub.

— Wybacz mi, Edmundzie. Ten młody człowiek wyprowadza mnie z równowagi. Uważa, że potrafi obliczyć naszą długość geograficzną na podstawie odległości księżycowej... twierdzi... och, czego on nie twierdzi! Nie powinienem tyle mówić. Dopuściłem się wykroczenia, które...

— Mnie możesz powiedzieć wszystko. Będzie dla mnie punktem honoru strzec twoich sekretów.

Uśmiechnął się.

— Nie, nie. Po prostu siedź cicho, stary. Zapomnij o wszystkim. Tylko o to cię proszę.

— Będę milczał, lecz nie zapomnę.

Wstał i podszedł do okna.

— Edmundzie!

— Co się stało?

— Czy ty mi ufasz?

— Jesteś podekscytowany... nowe niebezpieczeństwo? Oczywiście, że ci ufam!

Wrócił do stołu.

— Przebierz się zaraz w ubranie codzienne... nie wkładaj płaszcza przeciwdeszczowego, idź na śródokręcie, stań w otwartym miejscu... i nie ruszaj się stamtąd... pospiesz się!

Rzuciłem się do swojej tymczasowej kabiny, zdarłem z siebie płaszcz i koszulę nocną... ubrałem się

i wybiegłem na zewnątrz. Nigdy nie przebierałem się tak szybko. Wpadłem na śródokręcie zadyszany, aż musiałem oprzeć się o liny, aby złapać oddech. Zobaczyłem, jak pan Brocklebank otula się swoim wytartym płaszczem podróżnym i znika w korytarzu. Poza tym na pokładzie nie zauważyłem niczego, co mogłoby wzbudzić zainteresowanie Charlesa. Oparłem się o poręcz i popatrzyłem za rufę.

Nie do wiary!

Za rufą, od strony skąd wiał wiatr, ujrzałem najczarniejszą chmurę w swoim życiu, gdzieniegdzie poprzetykaną buroszarymi kłębam. Wyglądała jak brudna woda po wielkim myciu, którą służący pospiesznie wynosi przed naszych pełnych obrzydzenia oczu. Co więcej, ta chmura nacierała na nas gwałtownie, wzmagal się wiatr... co odczułem na własnej skórze! Żagle zahuczały i wydeły się, a dziób przesiana! się od prawej ku lewej. Chmura sunęła tuż nad powierzchnią wody, by nakryć nas w ułamku sekundy. Lunął przejmująco zimny deszcz.

Lodowata rzeka spadła na mnie z sykiem, aż zaparło mi dech

w

w piersiach. Chlustała raz po raz, aż w końcu puściłem linę i rzuciłem się w stronę wyjścia... lecz przypomniałem sobie, że Charles zakazał mi ruszać się z miejsca. Zawróciłem, ponieważ jego stanowczość wydała mi się częściowo uzasadniona, chociaż złorzeczyłem mu po raz pierwszy i ostatni w życiu. Cały mokry stałem w strumieniach wody, która wylewała się nogawkami moich niewymownych niczym z rynny. Nagle zrobiło się jeszcze zimniej, a rzeński wiatr jeszcze mocniej oblepił mnie przemoczonym odzieniem. Jak za sprawą czarów deszcz przestał tłuc o pokład statku. Podniosłem głowę. Wiatr chłostał mi twarz, a morze i niebo przybrały tę samą ponurą barwę. Webber, steward z mesy oficerskiej, stanął w progu części pasażerskiej. Uśmiechał się groteskowo.

— Pozdrowienia od pana Summersa! Może pan wracać... jeżeli już się pan wykapał!

III

Kąpiel!

Wpadłem do korytarza, gdzie od razu powstała wielka kałuża, na której zresztą się pośliznąłem. Przeklinając pod nosem chwyciłem za klamkę do mojej dawnej kabiny, ale przypomniałem sobie o chorej i milczącej Zenobii, więc zatoczyłem się do kabiny Colleya. W końcu uświadomiłem sobie, że mieszkam w części oficerskiej. Ostrożnie zszedłem po drabince. Webber otworzył mi drzwi.

— Zabiorę pana odzież, sir.

Był tam także Phillips.

— Z pozdrowieniami od pierwszego oficera, sir!

Podał mi wielki ręcznik, szorstki i suchy. Rozebrałem się do naga, zawinałem w ręcznik i wyszedłem z bulgoczącej sterty mokrych ubrań. Zacząłem się śmiać. Pogwizdując wycierałem się z przodu, z tyłu, wyżej i niżej, od stóp do głów.

— Co to takiego?

— Od pierwszego oficera, sir.

— Wielki Boże!

Po pierwsze: podkoszulek, najprawdopodobniej ze sznurka. Po drugie: gruba koszula, jaką noszą oficerowie niższej rangi. Po trzecie: wełniana szorstka

bluza, gruba na cal. Po czwarte: skarpety, równie grube. Po piąte: spodnie marynarskie... o nie, to były niewymowne... gdzie im do spodni! Na koniec: skórzany pas.

— Czy on sobie wyobraża, że ja...

Niespodziewanie poczułem przyływ dobrego humoru i radości. Wyglądało na to, że pożegnałem się z nękającym mnie świerzbieniem. Poczułem się jak w dzieciństwie, kiedy bawiąc się w “przebierańców” wkładałem papierową czapkę i przypasywałem drewnianą szpadę.

— Dziękuję... Webber... Phillips... zabierzcie te mokre łachy do wysuszenia. Tym razem ubiorę się sam.

To jasne. Mężczyzna musi przyzwyczajać ciało do szorstkich tkanin. Moje nowe ubranie było suche

i ciepłe, w przeciwieństwie do starego. Pomyślałem sobie, że jeżeli nie ograniczę liczby warstw, to ciepło wkrótce przemieni się w nieprzyjemne gorąco. Jednak kiedy już miałem na sobie kompletny kostium, byłem zdecydowanie zadowolony z tej zmiany. Oczywiście — trudno mówić o elegancji! Nowy strój wręcz zmuszał do swobodnego zachowania. Przyznaję, że od tego właśnie dnia datuje się moja ucieczka od nienaturalnej sztywności, a nawet pewnej wyniosłości obycia. Zrozumiałem także, dlaczego żołnierze Oldmeadowa nieodmiennie stawali w idealnym szyku, wyprostowani jakby połknęli wyciory, podczas gdy nasi majtkowie, chociaż regularnie musztrowani i ustawiani w mniej więcej równych szeregach, nigdy nie prezentowali się równie wytwornie! To był marynarski fason! Przeróżne zagięcia i zmarszczki tego przyodziewku wymykały się wszelkim rygorom geometrii.

Przeszedłem do mesy. Pierwszy oficer siedział przy długim stole zasłanym przeróżnymi dokumentami.

— Charlesie!

Podniósł głowę i uśmiechnął się na mój widok.

— Jak ci się podoba nowy strój?

— Ciepło w nim i sucho... ale powiedz, jak ja wyglądam?

— Nieźle.

— Jak zwyczajny majtek... Co powiedziałaaby

o moim ubraniu dama? Jak na to zareagują nasze panie? Gdzie je znalazłeś? Na tym zbutwiałym statku! Przecież tu nie ma ani jednego suchego kąta, ani kawałka suchej szmaty!

— Och, są na to sposoby... wystarczy szuflada albo skrzynka i woreczki z pewną substancją. Zatrzymaj tę informację dla siebie. Nie można tego zrobić dla całej załogi, a z tą substancją należy obchodzić się ostrożnie.

— Twój szlachetny postępek poruszył mnie do głębi... to jest tak jak w przypowieści Homera

o Glaukosie i Diomedesie. Zamienili się zbrojami... złotą za miedzianą... drogi przyjacielu... obiecałem ci miedzianą zbroję w postaci patronatu mojego chrzestnego... a ty dałeś mi złotą zbroję!

— Nie przemawia do mnie ta opowieść, ale cieszę się, że jesteś zadowolony.

— Niech Bóg ma cię w swojej opiece!

Wydawało mi się, że widzę na jego twarzy niepewny uśmiech.

— To drobnostka... naprawdę niewiele.

— Czy zechciałbyś towarzyszyć mi na górę, by dodać mi otuchy podczas mojego pierwszego występu?

— No wiesz! Widzisz chyba te papiery?! Woda, suchary, wołowina, wieprzowina, fasola... będziemy musieli... Później powinienem zajrzeć do Coombsa

i zobaczyć, jak idzie mu to kucie... czeka na mnie mnóstwo obowiązków...

— Już nic nie mów. Pójdę sam. Na razie! Wyszedłem z mesy i jak gdyby nigdy nic ruszyłem

schodami do sali jadalnej dla pasażerów. Zostałem tam naszego jedynego oficera wojsk lądowych, Oldmeadowa. Przyglądał mi się badawczo, zanim mnie rozpoznał.

r

— Dobry Boże, Talbot! Co pan wyprawia, człowieku? Zaciągnął się pan do marynarki? Co na to powiedzą nasze panie?

— Mogą mówić, co im się podoba!

— Niechybnie zaczną się protesty, że jakiś majtek zajmuje miejsce gościom, zamiast trzymać się dziobu. Lepiej, żeby nie opuszczał pan tej części statku, bo jeszcze jakiś młodszy oficer zdzieli pana liną przez grzbiet za obijanie się.

— Na pewno nie! Nie robi tego! Dżentelmena nie poznaje się po uniformie. Mój strój jest wygodny, przyzwoity, a na dodatek suchy, drogi panie. Czy może pan to samo powiedzieć o sobie?

— Niestety nie. Ale też i nie trzymam sztamy z oficerami.

— Słucham?

— Jestem zbyt zajęty moimi ludźmi i nie mam czasu zawracać łowy marynarce, żeby mnie wystroiła w swoje sorty. Na mnie już czas.

Pomimo kołysania wyszedł z sali pewnym krokiem. Wydawało mi się, że zrobił to, by uniknąć dyskusji. Oldmeadow był, a może jest nadal, człowiekiem łagodnym. Jednak jego słowa zabrzmiały nieprzyjemnie. W miarę jak nasz statek popadał w ruinę i rosło zagrożenie, zmianie ulegały także nasze charaktery

i stosunki. Można powiedzieć, że ścieraliśmy się. Pan Brocklebank, który na początku wydawał się zabawny, teraz irytował wszystkich bez wyjątku. Zdaje się, że w rodzinie Pike'ów, złożonej z ojca, matki i córeczek, doszło do rozłamu. Ja i Oldmeadow...

Edmundzie, trzymaj się.

Wyjrzałem przez okno. Po sam horyzont ciągnął się posępny bezmiar wód upstrzony białymi grzywaczami. Raz po raz silniejszy podmuch pasmami piany siekł fale, które nacierały na nas i wyprzedzały statek. Zadrzałem. Podekscytowany zmianą stroju nie zauważyłem, że powietrze znacznie się ochłodziło, nawet tu, w jadalni.

Ktoś otworzył drzwi. Obejrzałem się. W progu stanęła pani Brocklebank, wytrzeszczyła oczy i wzięła się pod boki.

— Co to ma znaczyć?!

Wstałem z fotela. Dama pisnęła.

— Pan Talbot! Nie przypuszczałam... nie chciałam...

— A myślała pani, że kto to może być?

Patrzyła na mnie z otwartymi ustami, po czym odwróciła się na pięcie i wybiegła z sali. Roześmiałem się. Pani Brocklebank była śliczną kobietką, i mogło to przybrać gorszy obrót gdyby nie... mój kostium, który okazał się świetną próbą towarzyską.

Usiadłem i znów obserwowałem morze. Strugi deszczu waliły o szyby, fale tymczasem zdążyły zmienić kierunek. Wydawało mi się, że i nasza prędkość wzrosła. Za oknem rozległo się stuknięcie. Rzucano log. Lina oddalała się od rufy. Do sali wszedł Bowles, sekretarz kancelarii adwokackiej. Strzepnął wodę z płaszcza. Zobaczył mnie, ale nie okazał zdziwienia.

— Dzień dobry panu, panie Bowles.

— Dzień dobry. Czy słyszał pan, co się stało?

— Co takiego?

— Przygotowania pana Beneta i kowala przedłużają się, więc ryzykowne zabiegi, które miały przywrócić fokmaszt do stanu używalności, trzeba odłożyć na później.

— To bardzo pomyślna wiadomość! A to dlaczego?

— Zabrakło im węgla potrzebnego do rozgrzania żelaza. Nasze zapasy są za małe. Tak się składa, że pierwszy oficer niedawno robił przegląd tej partii naszych zasobów i stwierdził wówczas, że węgla zużyliśmy więcej niż przypuszczano.

— Może dobrze się stało? W ten sposób kapitan

będzie miał okazję przemyśleć tę sprawę jeszcze raz. Co oni na to?

— Chcą wyprodukować potrzebną ilość węgla z zapasów drewna. Podobno pękło gniazdo fokmasz- tu. Do jego naprawy postanowili wykorzystać wielką siłę stygnącego żelaza, które ma ścisnąć blok.

— To samo mówił mi pan Summers.

— Ach, tak: Pan przecież wie wszystko. Niektórzy twierdzą, że pan Summers wcale się nie zmartwił brakiem węgla. Za to pan Benêt nie był zadowolony i poprosił, by i jemu pozwolono przejrzeć zapasy, aby mógł się upewnić, że pierwszy oficer się nie pomylił. Spotkała go stanowcza odmowa.

— Czy Benêt nie zdaje sobie sprawy, jak niebezpieczny jest ten pomysł? Jak można wymyślić coś tak głupiego?!

— Na tym polega problem, panie Talbot. On nie jest głupi... wcale nie.

— Lepiej by się zajął pisaniem wierszy, które nikogo nie naraża na szwank... co najwyżej jakiegoś wrażliwego krytyka. Dobry Boże, niestabilny statek, ponury kapitan...

— Wcale nie taki ponury. Wydaje mi się, że pan Benêt... ja nie mam żadnych uprzedzeń... rozjaśnił jego żywot.

— Ależ panie Bowles! To się nazywa faworyzowaniem!

— Żadnych uprzedzeń, drogi panie. Cumbershum nie należy do zwolenników tego pomysłu.

— Pan Summers także.

— Ani nasz stary i pomarszczony cieśla, pan Gibbs. On się zna na drewnie i uważa, iż rozgrzane do czerwoności żelazo należy trzymać od niego jak najdalej. Za to sprzyja im pan Askew, działomistrz. "Czymże jest kawałek gorącego żelaza między przyjaciółmi?" powiedział.

— Każdy z nich wypowiada się zgodnie ze swoim usposobieniem, jak w starych komediach. Poczułem silny niepokój. Postanowiłem wyjść.

— Muszę pana opuścić, panie Bowles.

Wyszedłem z zimnej sali do wietrznego holu, i na dół po schodach do mesy, gdzie było nieco cieplej. Nie zastałem Charlesa, więc kazałem Webberowi podać mi brandy. Stałem na szeroko rozstawionych nogach i spoglądałem przez okno. Jak szybko można się przyzwyczaić do tego, co jeszcze tak niedawno było przedmiotem naszych marzeń! Zupełnie zapomniałem o śwędeniu!

Coś stuknęło w szybę. Wyciągano log.

— Głupiec!

Usłyszałem głos pana Benêta. Niepostrzeżenie wszedł do mesy.

— Powinien wypuszczać tę linę bardziej z boku rufy! Powybija wszystkie szyby!

— Jak tam węgiel?

— Już pan słyszał?! Ten statek rezonuje jak pudło wiolonczeli! Coombs się tym zajmie, a ja muszę czekać. Wszystko jest w jego rękach.

— Nie w pańskich?

— Ja doglądam całości. Cieszę się niezmiernie, że Coombs dokładnie wiedział, ile ma blachy, zanim ktoś inny przystąpił do sprawdzania.

— Na pewno przyda się panu taka przerwa w tym nawale zajęć.

— Praca pozwala mi zapomnieć o smutku, panie Talbot. Nie zazdroścę panu dwudziestu czterech godzin bezczynności na dobę, podczas których cierpi pan katusze z powodu rozstania.

— Ładnie z pana strony, że pamięta pan, w jakim jestem położeniu. Panie Benêt, skoro łączycie nas smutek... zapewne ma pan w pamięci te nader krótkie godziny, kiedy to z powodu ciszy Alcyone zmuszona była stać przy naszej burcie...

- Pamiętam każdą chwilę. Wszystkie noszę w sercu...
 - Ja także. Ale zapewne też pan pamięta, że po balu leżałem w kabinie zmożony gorączką.
 - Nic o tym nie wiem.
 - Doprawdy? Nikt panu nie mówił? Akurat wtedy, gdy pojawił się wiatr i Alcyone musiała nas opuścić...
 - W wielkim pośpiechu. Nie wiedziałem o pańskiej niedyspozycji, panie Talbot. Miałem swoje zmartwienia. Rozstanie z Przedmiotem Moich Westchnień...
 - Oraz z panną Chumley! Ktoś przecież musiał jej powiedzieć, że leżę na łożu boleści!
 - Prawdę mówiąc... to moje nagłe przejście... z jednego statku na drugi... kiedy to polecono mi zająć miejsce któregoś z waszych oficerów...
 - Jacka Deverela.
 - W sytuacji, kiedy musiałem rozstać się z Tą, która znaczy dla mnie więcej niż reszta świata... pomimo gorącego powitania, jakie zgotował mi wasz łaskawy kapitan...
 - Łaskawy?! Czy mamy na myśli tę samą osobę?
 - ... jedynym ukojeniem była mi Sztuka.
 - Jeszcze nie przeczuwał pan, że znajdzie tutaj okazję, by dać upust swoim inżynierskim skłonnościom!
 - Moja Muza. Moja poezja. Rozstanie wykrzesало ze mnie strofy niczym pęk iskier z krzemienia.
- Pan Benet oparł się lewą ręką o stół. Prawą dłoń przyłożył do tego miejsca na klatce piersiowej, gdzie podobno ukryte jest serce, po czym wyciągnął ją ku wzburzonym falom. Śląc ostatnie pożegnanie, łzą zrosiła to rozstanie.
- Z mego statku ją zoczyłem, tak jej statku blisko byłem...
- I gdy tak poważna stała, sternik krzyknął: "Naprzód cała!"
- A me serce przeszył sztylet, gdy jej statek zniknął w tyle.
- Odgłos fali, lin zwijanych,
 Żagli biel i morskiej piany...
 Ją, nie więcej, tylko tyle.
 Ach.¹ Lecz dla mnie — całe mile!
- Jestem przekonany, panie Benêt, że po wprowadzeniu niewielkich poprawek ten utwór zabrzmi bardzo ładnie.
 - Po jakich poprawkach? Coś się panu nie podoba?
 - Wyczuwam w nim pewne enjambement, ale to tylko tak... na marginesie. Ona była z panną Chumley. Czy panna Chumley nic nie mówiła?
 - Lady Somerset i panna Chumley rozmawiały między sobą. Podbiegły do Truscotta, lekarza, jak tylko wrócił z pokładu waszego statku.
 - Czy słyszał pan, o czym rozmawiali?
 - Kiedy tylko Alcyone odbiła od naszej burty, sir Henry zniknął pod pokładem. Lady Somerset natomiast podeszła do relingu na rufie i zrobiła coś takiego.
- Porucznik Benêt wyprostował się, przyłożył dłoń do ust, coś do niej wypluł, następnie kobiecym gestem wysoko podniósł ramię, otworzył dłoń i wyrzucił to coś przez okno.
- To bardzo skomplikowany sposób, by pozbyć się śliny, panie Benêt. Inni strzykają przez zęby za burtę, jak młody Tommy Taylor.
 - Pan sobie drwi, sir. To było Pozdrowienie!
 - A panna Chumley... czy słyszał pan, co mówiła?
 - Byłem pod pokładem... rozpakowywałem się właśnie. Kiedy usłyszałem sygnał, poczułem, że przyszła ta chwila... odepchnąłem Webbera... wspiąłem się po drabince... za późno! Wciągnięto już cumy... Obawiam się, sir, że pańska ograniczona wrażliwość nie pozwala panu pojąć, jak nieodwracalne jest rozdzielenie dwóch statków po wciągnięciu

lin... są jak dwa odległe kontynenty... oblicza bliskich osób natychmiast stają się twarzami obcych ludzi, którym pisana jest inna i nieznana przyszłość. Ta chwila jest jak śmierć!

— Wydaje mi się, że moja wrażliwość nie odbiega od normy, sir!

— Właśnie to miałem na myśli.

— Czy panna Chumley nic nie mówiła?

— Podeszła do relingu i patrzyła, jak nasz statek oddala się od Alcyone. Wyglądała na bardzo zbolaną. Myślę, że znowu cierpiała na chorobę morską, bo mówiono, że daje się jej we znaki.

— Biedacwo! Błagam pana, Benêt... Nie będę opowiadał o prześlakanych nocach, o tęsknocie, obawie, że inny mężczyzna... o chęci i niemożności porozumienia się z nią! Ona płynie do Indii, ja do New South Wales. Byłem z nią zaledwie przez kilka godzin owego cudownego bezwietrznego dnia, kiedy nasze statki stały burta w burtę... spożyłem z nią kolację... tańczyliśmy z nią na balu... czy był kiedyś drugi taki bal pośrodku oceanu? A potem zaniemogłem... rozchorowałem się... miałem gorączkę... i przyszła pora rozstania... nie wiem, czy potrafi pan zrozumieć, jak cenna jest dla mnie każda informacja o jej pobycie na Alcyone, kiedy płynął pan na pokładzie tego statku... i zalecał się do Lady Somerset...

— Ja ją wielbiłem.

— A panna Chumley, pańska znajoma, może nawet sojuszniczka w tej podejrzanej... co ja mówię!... delikatnej sprawie...

— Miłość mojego życia, sir.

— Proszę mi wierzyć, ten jeden dzień otworzył przede mną nowe życie! Gdy ujrzałem ją po raz pierwszy, poczułem się jak rażony piorunem lub, jeśli to coś panu mówi, był to dla mnie coup de foudre...

— Proszę powtórzyć...

— Coup de foudre.

— Zanim los nas rozłączył, oznajmiła, że jestem jej bliższy niż ktokolwiek na pokładzie naszych dwóch statków. Nieco później przyniesiono mi billet doux...

— Un billet doux, na Boga!

— Czy mogę to traktować inaczej niż jako zachętę?

— Skąd mam wiedzieć, skoro nie znam treści.

— Te słowa noszę w sercu wyryte złotymi zgłoskami: "Pewna młoda osoba nigdy nie zapomni tego dnia, gdy dwa statki stały burta w burtę pośrodku oceanu, i wyraża nadzieję, że przyjdzie czas, gdy zarzucą kotwicę w tym samym porcie".

Pan Benêt pokręcił głową.

— Nie widzę tu żadnej zachęty.

— Żadnej? Niemożliwe! Doprawdy, żadnej?

— Bardzo mało. Moim zdaniem brzmi to raczej jak une congé, jeśli to cokolwiek panu mówi. Coś na podobieństwo odprawy...

— Pożegnanie!

— ...zabarwionej nieco uczuciem ulgi...

— Nie wierzę!

— ... postanowieniem, że należy sprawę zakończyć w sposób najmniej bolesny.

— To niemożliwe!

— Niech pan będzie mężczyzną, panie Talbot. Czy ja płaczę i wzdycham? A przecież nie mam najmniejszej nadziei, że kiedykolwiek jeszcze ujrzę przedmiot moich westchnień. Jedyłą pociechą jest mi mój talent.

Z tymi słowy pan Benêt odwrócił się i zniknął za drzwiami swojej kabiny. Kipiałem z oburzenia.

— Nie wierzę w ani jedno słowo!

Miałem przed oczami jej obraz... Nie! Ideę młodej osóbki, której rysów twarzy za nic w świecie nie mogłem sobie przypomnieć pomimo usilnych starań podczas bezsennych nocy... lecz jej lawendowy oddech, blask oczu w ciemnościach i cichy acz namiętny szept... “Och, nie!”

Benêt tego nie widział, nie słyszał.

— Ona czuła to samo co ja!

Wpatrywałem się w bezmiar wód, które nas dzieliły tak długo, aż poczułem, że mija moje wzburzenie... ale nie smutek! Słyszałem, jak za moimi plecami ktoś otwiera i zamyka drzwi rozpoznając szybki krok Beneta, który opuścił mesę drugim wyjściem. Ten człowiek najwyraźniej naigrawał się ze mnie, a ponadto należał do innego stronnictwa. Chociaż Charles zakazał mi używać tego słowa, nie powstrzyma mnie przed stosowaniem go na mój własny użytek a w jego imieniu. On potrzebuje mojego wsparcia. Wezwałem Webbera, aby pomógł mi włożyć płaszcz przeciwdeszczowy i marynarskie buty. Wygramoliłem się na śródkręcie w poszukiwaniu Charlesa. Nie znalazłem go tam. Natychmiast jednak zauważyłem, że musieliśmy przekroczyć jakąś granicę, niewidoczną na otwartym morzu. Toń była teraz zielona, a nie jak przedtem niebieska czy szara. Ochłodziło się, a krople, które osiadły na moim policzku, zdawały się od razu zamarzać. Wiatr wiał z południowego zachodu, statek zaś płynął na południowy wschód. Wichura zelżała, jednak dość silny wicher bił falami w bok statku. Pod kłębiastymi chmurami powstawały pasma mgły, które nadciągały ku nam od zachodu. Nasz statek znowu porządnie kołysał się na boki, a to z powodu skróconych masztów i zbyt małej powierzchni żagli. Za to przynajmniej nie kiwał się od dzioba do rufy, a liny, którymi Charles kazał go opasać, były napięte i nieruchome. Załoga pracowała. Nie tylko d, którzy pełniąc wachtę trwali w gotowości, by zmienić żagle, obserwowali horyzont czy stali przy sterze. Mówię o całej reszcie, która spieszenie przeciągała liny sztormowe od forkaasztelu do pachołków grotmasztu, a stąd do schodów prowadzących na pokład rufowy. Przygotowania te zrobiły na mnie duże wrażenie. Zobaczyłem, że Charles wyłania się z forkaasztelu pochłonięty rozmową z panem Gibbem, który po chwili zasalutował i wrócił tam, skąd przyszedł. Charles stanął obok fokmasztu, obejrzał kliny i odezwał się do jednego z marynarzy, który kierował przeciąganiem lin. Sprawdził naciąg. Przez chwilę dyskutowali o jednym z punktów zaczepienia, ale ostatecznie Charles uznał opinię swojego adwersarza. Wspiął się na schodki i rozmawiał z kimś przy dzwonie na forkaasztelu, dostrzegł mnie i pozdrowił gestem ręki. Odwzajemniłem pozdrowienie, ale nie ruszyłem się z miejsca. Charles rozmawiał już z kimś innym. Po czym odwrócił się i podszedł do mnie.

— Nadal ci sucho?

— Sam widzisz... włożyłem nawet płaszcz przeciwdeszczowy, żeby nie zziębnąć, ani się nie zamoczyć. Zrobiło się chłodno.

— Ryczące czterdziestki... Nareszcie do nich dotarliśmy, chociaż znacznie dalej na południe, niż się spodziewaliśmy.

— Zmiana nastąpiła bardzo szybko.

— Podobno zawsze tak jest. Wody oceanu mają swoje własne wyspy, kontynenty, drogi. Teraz znajdujemy się na kontynencie.

— Te liny wyglądają nieprzyjemnie.

— Zakładamy je na wszelki wypadek.

— Wyglądasz na zadowolonego.

— Bo jestem zadowolony, chociaż nie powinienem. A to dlatego... czy mogę mówić szeptem?... że tam, na dole Coombs wypala węgiel, na czym zejdzie mu parę dni. Na dodatek, przy pogarszającej się pogodzie wszelkie manipulacje przy maszcie będą zbyt ryzykowne...

— Nasze stronnictwo górą!

— Nie wolno ci używać tego słowa!

— Przepraszam. Zapomniałem się.

— Co sobie pomyśli gubernator, jeżeli kapitan Anderson doniesie mu, że zaangażowałeś się w jakieś rozgrywki na statku?

— Kapitan nie odważy się na taki krok z powodu notatek, które dotrą do mojego chrzestnego!

— Ach, zapomniałem. Wydaje się, że ta sprawa miała miejsce tak dawno temu! Zrób mi przyjemność

i unikaj wyrazów, które mogłyby sugerować rozłam wśród kadry. Chciałem tylko dać wyraz swojemu zadowoleniu, że niepotrzebne ryzyko odsuwa się w czasie.

— Przyznam się, że oczekiwałem, iż nasza prędkość wzrośnie. Ale to było wówczas, zanim zrozumiałem, ile to nas może kosztować.

— Czy mogę ci udzielić rady? Wkładaj płaszcz przeciwdeszczowy tylko wtedy, kiedy to jest uzasadnione... żeby nie przemoknąć. Inaczej przegrzejesz się

i spocisz, a wtedy zbawienne skutki twojej niezwyklej kąpieli obrócą się wniwecz zanim się spostrzeżesz.

Pokiwał porozumiewawczo głową i zniknął w for- kasztelu. Mruknąłem pod nosem:

— Pojąłem aluzję. Musiałem nieźle śmierdzieć. Zorientowałem się, że tuż obok stoi pan Brock-

lebank. Skrył się, jeśli to w ogóle możliwe, pod wantami przy prawej burcie, przewiesiwszy prawe ramię przez pętlę z lin. Zapewne gdzieś znalazł, a może od kogoś dostał, obszerny podróżny płaszcz, podarty i brudny. Owinął nim swoje tęgie ciało tak,

że przypominał rzeźbę. Kapelusz przymocował sobie do głowy kawałkiem materiału związanym pod brodą. Zdaje się, że była to damska pończocha! Na jego nalanej twarzy malowała się melancholia. Patrzył tępo przed siebie, a może w głąb siebie. Doszedłem do wniosku, że nie mam ochoty z nim konwersować, ponieważ on na pewno nie miał nic do dodania na temat panny Chumley. Minąłem go zatem, pozdrawiając skinieniem głowy, i przeszedłem do części pasażerskiej. Drzwi klitki, do której tak wspaniałomyślnie postanowiłem powrócić, były uchylone. Akurat wyszedł stamtąd Phillips ze szczotką i wiadrem, i udał się na lewą stronę śródokręcia.

Nie zaglądałem tam, od kiedy Wheeler wybrał to pomieszczenie na miejsce swojego ostatniego, tragicznego i zbrodniczego czynu. Opanowany chęcią załatwienia tej sprawy otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Kajuta wyglądała po staremu, było w niej jedynie jaśniej i czystiej, ponieważ ściany i sufit pomalowano na biało, a nie na bury ugier jak resztę pomieszczeń dla pasażerów. Wnętrze sprawiało bardzo przyjemne wrażenie. Dotknąłem ściany i stwierdziłem, że farba już wyschła. Nie sposób dłużej odkładać tej przeprowadzki. Usiadłem w fotelu z żaglowego płótna i starałem się traktować to miejsce jak zwyczajną kajutę, bez przeszłości. Daremnie. Robiłem co w mojej mocy, lecz mój wzrok powracał do metalowego pierścienia przytwierdzonego śrubą do ściany, tuż przy wezgłowie. Tutaj zwisiała sztywna dłoń nieboszczyka, a niżej spoczywało wygięte ciało, jakby je ktoś na siłę wpychał do łóżka! Mój umysł odrzucił obraz Colleya, lecz natychmiast wyobraziłem sobie, że obok mnie stoi Wheeler, z podniesioną głową i lśniącym kielichem lufy garłacza przy samej twarzy... Nie sposób uciec od takiej wizji! Źle spożytkowana odwaga, która kazała Wheelerowi zdecydować się na samobójczy strzał, zmusiła również

V

i mnie, bym zadarł głowę i wbił wzrok w... No właśnie, na co Wheeler patrzył po raz ostatni?... Ja zobaczyłem jedynie solidne, wiekowe belki sufitu.

Poczułem chłód pomimo marynarskiego przyodziewku i przeciwdeszczowego płaszcza, chłód, którego źródłem nie była wyłącznie pogoda. Fachowo nałożona biała farba może zamaskować chropowatość muru, ale nigdy nie pokryje nierówności. Na środkowej belce dostrzegłem głębokie wręby, tuż nad miejscem, gdzie kiedyś stał Wheeler. Odrobina mózgu i czaszka to żadna przeszkoda dla kuli wyrzuconej ładunkiem prochu z odległości niespełna dwóch cali. W jednym z tych wgłębień, które starannie zamalowano, sterczało coś, co przypominało czubek sztyletu. Majtek pracowicie pokrywający farbą ściany zamalował i to potworne memento mon. Po chwili dostrzegłem inne ślady i wkrótce znalazłem już wszystkie szczegóły,

o których wolałbym nie wiedzieć. Oczami wyobraźni zobaczyłem tę eksplozję i trajektorie odłamków: dokładny obraz rozrywanej czaszki. To nie jest miejsce, gdzie można spać! Ale ja muszę to zrobić, inaczej bowiem stanę się pośmiewiskiem całego statku, a później całej kolonii!

Pokład pode mną zachybotał. Z wysiłkiem rozstawiłem stopy. Usłyszałem jęk pana Prettimana. Odczułem coś w rodzaju wdzięczności, ten odgłos bowiem, chociaż przepełniony bólem, przypomniał mi o istnieniu realnego świata za ścianami kajuty. Dureń z tego Prettimana!

Filozof z bożej łaski! No cóż, pomyślałem, porzucając rozważania o nieboszczykach, przyszło mu zapłacić za swoje szaleństwa! Do którego stronnictwa przyłączyliby się Prettiman

i jego narzeczona, panna Granham? Moje myśli wędrowały między kabinami. Jeżeli dama o tak zdecydowanych poglądach postanowiła go uszczęśliwić... Z drugiej jednak strony, Prettiman jest człowiekiem zamożnym, a tacy często wpadają w pułapkę małżeństwa z powodu swego majątku. W każdym razie, gdyby ona miała tu spać, zrobiłaby to bez wahania! Ta myśl pokrzepiła mnie na tyle, że wstałem

i opuściłem kajutę. Przez wyjście na śródkręcie zdążyłem zauważyć, że woda zalewa co najmniej tę część pokładu. Zdaje się, że nareszcie mamy pogodę, na jaką czekaliśmy! Szedłem na szeroko rozstawionych nogach, trzymając się poręczy w korytarzu i na schodach prowadzących do mesy.

— Webber, proszę pomóż mi zdjąć przeciwdeszczowy płaszcz i przenieś moje rzeczy do kabiny w części pasażerskiej.

— Pierwszy oficer powiedział...

— Zapomnij o tym, co powiedział pierwszy oficer. Farba już wyschła. Będę tam dzisiaj spał. Woda chlusnęła na szyby wielkiego okna.

— Zaczyna się, sir. Będzie jeszcze gorzej...

— Tak. A teraz rób, co ci kazałem.

— Czy to jest ta kabina, w której on się zabił? A przed nim ten pastor?

— Tak. Do roboty, Webber.

Steward zawahał się, pokiwał głową.

— Aha.

Zniknął w mojej wypożyczonej kabynie. Nie miałem wątpliwości, że wszystko się zmówiło, aby pozbawić mnie spokoju ducha. Niemniej jednak, kiedy już zdjąłem przeciwdeszczowy płaszcz, postanowiłem zajrzeć do baru dla pasażerów, mimo że było jeszcze za wcześnie na posiłek. Kogo innego mogłem tam zastać, jak nie Pike'a śpiącego na stole? Statek zakołysał i szklanka potoczyła się po pokładzie.

— Pike! Richard! Co to ma znaczyć?

Milczał, kołysząc się wraz ze statkiem. Jego stan

napawał mnie obrzydzeniem, ponieważ nikt tak nie szafuje mocnym napojem jak pijak, który

wstąpił na drogę poprawy! To na marginesie.
— Richard! Odezwij się!

Natychmiast pożałowałem swoich słów. Prawda bowiem jest taka, że pijanego lepiej zostawić samemu sobie w stanie smętnego zapomnienia, do którego sam się doprowadziłem. Pike to mamy urzędniczyni, który jakimś sposobem opłacił podróż na antypody sobie, małżonce i dwóm córeczkom... córeczkom, które są ledwie żywe oraz małżonce, która stopniowo przeistacza się w wiedźmę, jeśli nie w coś gorszego! Nie. Niech sobie śpi.

W drzwiach ukazał się Bowles, bardzo zacny człowiek.

— Co słysząc, panie Bowles? Co z naszym fok- masztem?

— Należałoby raczej zapytać o węgiel drzewny. Nasi ludzie są w stanie wydestylować, uwarzyć czy zredukować... no, to co robi się z drewnem, aby zamienić je w węgiel... niewielkie porcje. Forkasztel aż się trzęsie od argumentów za i przeciw.

— Był pan tam?

— To nie do wiary, ale poproszono mnie o poradę przy spisywaniu testamentu, po czym... zapewne zamiast zapłaty... zaprowadzono mnie na dół, abym obejrzał maszt i pęknięty blok.

— Czy są jakieś różnice zdań?

— O, tak. Trwa zażarta dyskusja, która wcale nie toczy się zgodnie z prawem... może powinienem powiedzieć, że wbrew zasadom parlamentaryzmu.

— Czy zgadza się pan z opinią pierwszego oficera, czy pana Beneta?

— Nie zgadzam się z żadnym z nich. Zdumiewa mnie łatwość, z jaką osoby nie wtajemniczone dochodzą do własnych, stanowczych opinii, nie dokonując wcześniej rzetelnej oceny sytuacji.

— Osobiście uważam, że nie należy przeprowadzać tej operacji. To zbyt niebezpieczne.

— Tak. Pierwszy oficer jest tego samego zdania. Trzeba było widzieć ten blok! Jest gigantycznych

rozmiarów! Obawiam się, że pęknięcie jest równie wielkie. To straszne! Nie wspomnę nawet o tym, jak trzeszczy maszt, ktoty za każdym malutkim, nieregu- lamym. . nieuchronnym kolistym ruchem coraz głębiej wbija się i wwierca w ten blok. Nie mam pojęcia, co należałoby zrobić. Cały ten statek składa się z prowizorycznych rozwiązań. Niektóre dla laika mają sens, inne są bardzo tajemnicze. Mamy bale wciśnięte między trzon masztu i grubsze belki burt. Mamy liny tak mocno okręcone wokół masztu, że wyglądają jak stalowe. A maszt nadal się rusza... pomimo tych wszystkich bali, lin, bloczków, wielokrążków, łomow, stempli i łąt. Straszny to widok, ale ten ledwie dostrzegalny ruch jest jeszcze straszniejszy.

— Czy może być coś więcej?

— Przeważnie.

Zamilkł i przypatrywał się wzburzonemu morzu przez wielkie okno.

— Wygląda na to, panie Bowles, że stanowimy nędzne zbiorowisko śmiertelników. Oto Pike zamroczony alkoholem; Oldmeadow w złym humorze

i w dodatku przedkłada towarzystwo swoich żołnierzy nad nasze. Wszyscy jesteśmy... co się z nami dzieje, panie Bowles?

— Paraliżuje nas strach.

— Prettiman zadekował się na swojej koi...

— Wcale nie. On jest chory. Miał bardzo poważny wypadek. Nie mamy na pokładzie medyka, więc opiekuje się nim przełożona emigrantów...

— Nie wyobrażam sobie, by mogło mu to cokolwiek pomóc!

— Zgadza się z panem. Majtkowie i emigranci nakłonili ją jednak, by zrobiła wszystko co w jej mocy, a to, na ile mi wiadomo, ograniczyło się do tajemniczych zaklęć i zawieszenia nieszczęśnikowi naszyjnika z czosnku!

— Emigranci i majtkowie?

— Oni mają pana Prettimana w wielkim poważaniu.

— Czyżbym zbyt pochopnie ocenił go jako błazna?! To niemożliwe!

Wszedł Bates, by podać nam to, co zostało z zapasów przeznaczonych dla pasażerów, którzy jeszcze nie stracili zainteresowania jedzeniem: soloną wieprzowinę na zimno, ponieważ oszczędzaliśmy drewno na węgiel, fasolę, także zimną, i suchary, mogą zaświadczyć, że nie było w nich wołków zbożowych, oraz cienkie piwo lub wodę zaprawioną odrobiną brandy. Zjadłem. Bowles także. Pike spał, a Bates i Phillips wynieśli go do kajuty. Podobno Oldmeadow posilił się racją marynarską w forkaasztelu, w towarzystwie swoich ludzi. Statek kołysał się coraz mocniej. Rutynowe zabiegi, które na morzu przeprowadza się niezależnie od sytuacji: zmiany wachty, rozkazy bosmana, bicie w dzwony, stukot oficerskich butów i plaskanie bosych stóp o deski pokładu nad nami — wszystko to działo się dokoła nas, bez końca jak cała nasza podróż, jak czas, a niespokojne godziny upływały jedna za drugą. Bates zaniósł posiłek do kabin dam, chociaż nie wiem, czy należało to do jego obowiązków.

Bowles udał się do swojej kajuty. W sali zjawił się pan Brocklebank, owinięty szczelnie w podróżny płaszcz,

i przysiadł się do mnie. Zaznajomił mnie z całym procesem grawerowania i rycia w kamieniu, miedzi, cynku oraz ze wszelkimi komplikacjami, jakie temu towarzyszą. Prawie go nie słuchałem, więc w końcu mnie opuścił. Raz po raz fale wstrząsały statkiem.

O dziewiątej, kiedy było już całkiem ciemno, wstałem i powlokłem się do swojej świeżo pomalowanej kajuty. Zastałem tam Webbera, który udawał, że poprawia pościel, chociaż w rzeczywistości czekał na zapłatę za swoje usługi.

— Dziękuję, Webber. Nie będziesz mi już potrzebny.

Ku mojemu zdumieniu nie wyszedł.

— On to zrobił tutaj. Wcale się nie dziwię.

— O czym ty mówisz, Webber?

— Są takie miejsca, które potrafią wszystko z człowieka wyssać, już od pierwszego razu... i ta kabina go wciągnęła, jak tylko dowiedziała się o jego zamiarach...

— O czym ty mówisz?!

— O Wheelerze. Nazywaliśmy go Joss. Był moim najlepszym kumplem wśród stewardów.

— Możesz już odejść!

— Jak taki sobie coś umyśli, nic go nie powstrzyma, prawda? Powiedział mi, że to jest podobne do ukojenia. Dziwny był ten Joss. Podejrzewam, że obracał się wśród panów, zanim zaciągnął się na statek. Wyrażał się inaczej... opowiadał o życiu w college'u.... zrezygnował z tej pracy.

— Nigdy mi o tym nie mówił! Czy...

— Powiadał, że to jest coś na kształt dziury. "Ta dziura jest zawsze, Webber. To taka dziura... kiedy pogoda staje się nie do zniesienia, można do niej zejść... ukryć się i zasnąć. Ona jest tam zawsze. Nie chcę tonąć, nie chcę znowu tonąć".

— Wielkie nieba! Wheeler mówił coś takiego... tak...

— Ale dlaczego tutaj? Odpowiedź jest prosta: ta kajuta go przyciągała.

— Wyjdź, Webber!

— Już idę, sir. Ja bym tu nie chciał mieszkać, a już na pewno nie w nocy, sir, nawet gdyby mi pan zapłacił... czego i tak pan nie robi, to jasne.

Patrzył na mnie, ale ponieważ nic mu nie dałem, wyszedł. Kiedy zamknął za sobą drzwi, zrobiło mi się straszno. Opuściłem to miejsce, dowlokłem się do wyjścia na śródokręcie i wyrząłem na zewnątrz. Ujrzałem równe rzędy fal, jak narysowane przy linijce. W blasku księżycy w pierwszej kwadrze ich białe grzbiety lśniły niczym stal.

V

— Panie Talbot...?

Phillips trzymał pęk świec w jednej dłoni, latarnię w drugiej.

— Jestem tutaj, Phillips.

— Czy życzy pan sobie światło?

— Tak... nie! Później. Tutaj, Phillips. Nie, nie chcę świecy. Zostaw mi latarnię.

— Nie mogę, panie Talbot! Jak panu wiadomo, regulamin zabrania pasażerom świecić latarnią, tylko świecą, bo...

— Ponieważ same gasną, kiedy się przewrócą? Znam ten argument. A ty znasz mnie, prawda? Zaraz, zaraz... Masz. W ten sposób kupiłem tę latarnię. Chcę ją mieć na pamiątkę tej podróży.

Zrozumienie malowało się na twarzy Phillipsa, zazwyczaj pozbawionej wyrazu.

— Powieś ją na tym haku i przykręć knot.

Statek nigdy nie śpi. Część załogi pełni wachtę, nie wspominając o oficerze dyżurnym.

Włożyłem płaszcz przeciwdeszczowy i wyszedłem na pokład rufowy, gdzie przy relingu dostrzegłem porucznika Beneta.

— Witam pana, panie Talbot! Co pan myśli o tym wietrze? Kapitalny, prawda?

— Co na to nasz statek?

— Na pewno bierze więcej wody. Bez tego się nie obejdzie. Myślę nad tym. Powinniśmy postawić jakiś wiatrak do pompowania wody.

— O, nie! Tego już za wiele! Niech nas pan nie straszy swoim kolejnym wynalazkiem!

Czyszczenie kadłuba linami, kuźnia, żelazne pręty rozpalone do białości... Z nami trzeba obchodzić się ostrożnie, panie Benêt. My jesteśmy cenni!

Pan Benêt zerwał z głowy kaptur i szeroko rozłożył ramiona.

— Proszę się rozejrzeć, panie Talbot! Przyzna pan, że to wspaniały widok! Księżycowa poświata na wzburzonym oceanie, srebrzyste chmury, bezkresna dal... i te roziskrzone diamenty nad naszymi głowami! Gdzież się podziała pańska poezja? Czy niebezpieczeństwo... lęk, który wszyscy odczuwamy, nie czynią tego upajającego widowiska jeszcze bardziej przejmującym?!

— Właśnie, co się stało z pańską poezją? Jeszcze niedawno z wielkim upodobaniem kazał mi pan wysłuchiwać swoich wierszy!

— Jest pan surowym krytykiem. Lepiej zatem przyjmijmy bardziej praktyczny punkt widzenia. Taki księżyc zapowiada czysty horyzont o świcie, co umożliwi nam obserwację gwiazd.

— Słyszałem, że mamy pewne trudności z nawigacją... niedokładne chronometry... czy coś w tym rodzaju.

— Gratuluję świetnego słuchu, panie Talbot. Przynajmniej będziemy w stanie określić, na jakiej długości geograficznej się znajdujemy, a to już bitwa wygrana w połowie, chociaż to jeszcze nie wszystko.

— Pan Willis? Mam nadzieję, że już doszedłeś do zdrowia, chłopcze. Panie Benêt... myślę, że pan Willis okaże się pomocny przy pomiarach.

— Pan raczy żartować, sir. Przepraszam... Pracuję właśnie nad "Odą do natury"... temat jest tak

rozległy i głęboki, że ledwie mogę się w nim zanurzyć... lub wynurzyć.

— Lepsze to niż zatopienie statku.

— Mniemam, że jest to aluzja do naszego fok- masztu. Rozpocznijmy operację, kiedy tylko będziemy mieli odpowiednią ilość węgla drzewnego i kiedy morze się nieco uspokoi.

Młody człowiek potrząsnął długimi lokami, które okalały jego twarz, i zaczął deklamować:

— Duchu natury...

— Nie pomylił się pan, panie Benêt? Poprzednim razem... nie, nie... jeszcze wcześniej... recytował pan "Ducha kobiety"... jest pan bardzo oszczędny.

Pan Benêt puścił moją uwagę mimo uszu.

— Duchu natury ciepły, gorący lub zimny. Materia...

— Nie, nie, panie Benêt! Nie zasłużyłem na taką ucztę... Pan Willis też! Pozwoli pan, że go stąd zabiorę. Pan Willis posługuje się prozą.

— Niech pan go sobie zabiera i robi z nim, co dusza zapagnie. Proszę jedynie, by oddał mi pan resztki. Nigdy nie wiadomo, co może okazać się przydatne.

Willis powlókł się za mną, nadąsany, aż do pokładu rufowego.

— Co słysząc, panie Willis? Czy już pan wrócił do zdrowia?

— Nie słyszę na prawe ucho, to samo, w które dostałem od kapitana. Jeżeli każą mi włączyć na maszt, będą musieli mnie wnieść.

— Dobry Boże, chłopcze, ty masz mutację! Powinienem ci chyba pogratulować? Nie chcesz już wspinać się na maszty? Gdzie się podział twój animusz?

— A co to pana obchodzi?! To moja sprawa!

— Byłbym ci wdzięczny za nieco więcej szacunku, młody człowieku!

— Niby dlaczego? Pan jest pasażerem. My, w marynarce wojennej, nazywamy was "świniami". Wcale nie musimy się wam podlizywać. Pan Askew, działomistrz, powiedział: "Oni są tutaj tylko pasażerami. To nie jest statek pasażerski, więc nie musicie się nimi przejmować, nawet jeżeli są tak wysoko urodzeni jak lord Talbot".

— Niemniej jednak oczekuję od pana pewnych przejawów szacunku, panie Willis, chociażby tylko dlatego, że jestem od pana starszy. Z przykrością dowiaduję się o pańskiej głuchocie, ale myślę, że wkrótce odzyska pan słuch. Wielkie nieba! Tommy kuśtykał, po tym jak mu dałem lekkiego szturchańca. Chłopcy muszą się uczyć, mój drogi! Wszyscy cierpimy! Obawiam się, że nie ma na świecie ani jednego chłopca w wieku szkolnym, ani jednego aspiranta, który nie cierpiałby na przejściowe osłabienie tej czy innej części ciała. Tak hartują się prawdziwi mężczyźni, młody człowieku, i powinieneś być za to wdzięczny.

— Nie mam zamiaru! Chciałbym być w domu.

I byłbym, gdyby tato nie miał układów z kimś w porcie i gdyby nie zachciało mu się wykierować mnie na dżentelmena. Dalej wydawałbym cukier i uganiał się za dziewczuchami z magazynów. Wojna już się skończyła i niedługo ta stara, zbutwiała krypa zostanie zdemobilizowana, a wtedy zwięję stąd, aż się będzie za mną kurzyło.

Księżyc skrył się za chmurą i, przez kontrast, noc wydała się ciemna. Pan Benet odezwał się z pokładu pod nami:

— Panie Willis, niech pan będzie uprzejmy podkręcić nieco te latarnie, a następnie powie mi pan, co dzieje się pół godziny przed wschodem słońca.

— Aj, sir. Oficer...

Pociągnąłem go za rękaw i szepnąłem:

— Pół godziny przed wschodem słońca rozpoczyna się brzask astronomiczny.

— Przecież ja to wiem! Czy pan mnie ma za głupca?!

Chłopiec okazał się nader odporny na formy towarzyszy

skie. Zamierzałem go odprawić, kiedy na pokład weszła spora grupa mężczyzn. Towarzyszył im Charles. Rozłożyli na pokładzie mnóstwo różnych przedmiotów, a wśród nich żagiel umocowany na solidnej żerdzi, olbrzymi blok żelaza, który wniosło trzech ludzi, i zwoje grubej liny.

— Edmundzie! Jeszcze nie na koi?!

— Jak widzisz. A ty nigdy nie przestajesz pracować? Co to jest?

— Masz przed sobą kotwicę.

— To coś nowego.

— Podczas wyjątkowo złej pogody statek może stać na takiej...

— Ale my jesteśmy na rufie!

— Znaleźliśmy się w szczególnej sytuacji. To wszystko. Może zająć konieczność wyrzucenia kotwicy z rufy... oczywiście, nie przy takiej... umiarkowanej pogodzie, jaką mamy teraz! Dalej na południe, gdzie wieją naprawdę silne wiatry... na razie jest to tylko taki środek ostrożności.

Ludzie przymocowywali sprzęt do relingu.

— To rozkaz kapitana?

— Nie. Do tego wystarczą moje kompetencje. Zajęcie, którym się trudnię, ma tysiącletnie tradycje, dzięki czemu każdy zna swoje uprawnienia. Niedługo szósta szklanka... Dlaczego jeszcze nie śpisz?

— Nie chce mi się tłumaczyć. Jest mi dobrze w suchym ubraniu, świeci księżyc, kołysanie nieco zelżało... i tak dalej.

Charles zajrzał mi w oczy.

— Wróciłeś do części pasażerskiej, tak?

— Tak.

Kiwnął głową i zajął się swoimi podwładnymi. Widziałem, jak osobiście sprawdza solidność lin, które utrzymywały ciężki sprzęt w gotowości. Gdyby nasze przetrwanie zależało wyłącznie od czyjejś troski

i zapobiegliwości, Charles już by się o to postarał,

żebyśmy nie zginęli! Uświadomiłem sobie wówczas, iż błyskotliwe pomysły Beneta narażały nas na ryzyko, Charles natomiast, nie tracąc przytomności umysłu, stale nas ochraniał!

Usłyszałem jego głos.

— Bardzo dobrze, Robinson. Tak trzymaj.

Zwrócił się teraz do mnie:

— Schodzisz na dół?

— A ty?

— Mam jeszcze mnóstwo roboty. Obawiam się, że potrwa to do środkowej wachty.

— No cóż... zejść sam. Dobranoc.

Niespiesznie ruszyłem pod pokład. Na bezanmasz-

cie, tuż nad regulaminem kapitana w oszklonej gablotce, wisiała latarnia. Poniżej ktoś porzucił dwa potężne zwoje lin. Wszedłem do swojej kajuty. Przez nie zamknięte drzwi wpadało wystarczająco dużo światła, bym mógł zorientować się w rozkładzie przedmiotów. W górnej szufladzie znalazłem hubkę

i krzesiwo, po czym zapaliłem latarnię odkupioną od Phillipsa. Zamknąłem drzwi i usiadłem w fotelu. Nie będę ukrywał, że czułem się jakbym za chwilę miał skoczyć do zimnej... lodowatej wody. Zdejmo wałem płaszcz przeciwdeszczowy dłużej niż sędziwy starzec. Przypominam sobie, że schylałem się by ściągnąć buty, jakby to zajęcie sprawiało mi ból, oraz że trwało to nieprawdopodobnie długo. W końcu zostałem w samej przydziałowej bieliźnie. Wyna lałem jeszcze jeden sposób opóźnienia tej nieprzyjemnej chwili. Udałem się do naszego przybytku na prawej burcie. Podkręciłem knot w niebieskim kielichu lampy naftowej zawieszanej pod

sufitem, ściągnąłem spodnie
i usiadłem na jednej z dwóch dziur, bliżej wejścia. Ledwie się usadowiłem, kiedy drzwi się
otworzyły i do środka wpełznął się słusznej postury oficer.

— U diaska!

— Przepraszam, sir!

- Wynoś się!
- To rozkaz pierwszego oficera.

Wrzucił koniec liny do drugiego oczka i zaczął ją tam spuszczać. Niezwłocznie podciągnąłem niewymowne, zapiąłem pas i wybiegłem stamtąd. W korytarzu krzatali się marynarze. Tuż pod moimi stopami lina sama rozwijała się ze zwoju. Druga lina w podobny sposób wpełzała do przybytku dla pań na lewej burcie. Statek oszalał. Jakiś podrostek, podobnie jak ja w samej bieliźnie, wyskoczył z wygodki dla dam i rzucił się do drzwi kabiny panny Granham! Przebrała się miarka! Skoczyłem ku niemu i chwyciłem go za ramię.

- Co to to nie, młodzieńcze!

Odwróciłem go ku sobie... o, Boże! Panna Granham! W słabym świetle lampy zauważyłem, że jest czerwona jak burak.

- Proszę mnie puścić! Natychmiast!
- Panna Granham!

Moja dłoń oderwała się od jej szczupłego ramienia, jakby natknęła się na węża. Niespodziewany przechył ściął mnie z nóg. Panna Granham chwyciła się klamki do swojej kajuty. Runąłem na plecy. Od niechybnej śmierci uratowały mnie zwoje lin, które, chociaż już znacznie mniejsze, złagodziły upadek. Na czworakach pełznąłem w jej stronę.

— Proszę, panno Granham... proszę panią... doproszę się przebaczenia... wziąłem panią za marynarza, który w niecznych zamiarach... pani pozwoli... zamknę za panią...

— Nie mogę ich zamknąć, panie Talbot, ponieważ położył pan rękę na progu. Trzeba przyznać, że ma pan niepospolity dar przewracania się, drogi panie! Nie zamierzam udzielać panu porad...

— Nigdy nie robię sobie żadnej krzywdy, madame. Z pani ust przyjmę z wdzięcznością każdą radę.

Zawahała się, stanęła tyłem do mnie, w na wpół otwartych drzwiach

— Sarkazm, panie Talbot?

Upadek wprowadził mnie w bojowy nastrój.

— Dlaczego zawsze jestem rozumiany opacznie?

Odwróciła się. Mówiłem dalej:

— Proszę powstrzymać się od komentarzy, madame. Podczas tej przeprawy nasze opinie na temat znajomych i towarzyszy podróży uległy zmianie... musiały ulec zmianie! Dotyczy to zarówno mnie jak i całej reszty. To co powiedziałem wyrażało prawdę... było wyrazem mojego szacunku... dla pani...

— Dla moich lat, młodzieńcze?

Staliśmy twarzą w twarz. Oznaki czasu na jej ładnej buzi okazały się w mroku niewidoczne. Uśmiechała się. Pasma włosów wymknęło się spod szala i przecinało jej policzek. Odgarnęła je. W półmroku wydało mi się, że jest w moim wieku, może nawet młodsza! Otworzyłem usta, zamknąłem, przełknąłem ślinę.

— Nie, madame.

— Wobec tego zacznijmy naszą znajomość od nowa, panie Talbot. Postanowione! Może w ten sposób przestanie pan być obojętny na to, gdzie i jak pan się przewraca... Proszę się nie dąsać! Niech mnie pan wysłucha! Myślę, że mając świadomość konsekwencji swoich upadków stanie się pan ostrożniejszy. Pan Prettiman pragnie zobaczyć się z panem. Przyznam... że sugerowałam, by spotkał się z kimś innym. Rozumiem teraz, iż mogłam nie mieć racji. Chyba się wówczas roześmiałem.

— Pan Prettiman chce się ze mną widzieć? Dobry Boże!

— Jeżeli zatem wyraża pan zgodę, zaprowadzę pana do niego jutro rano.

— Oczywiście, że się zgadzam! Z prawdziwą przyjemnością, madame!

Kosmyk włosów znowu opadł jej na twarz. Wsunęła go pod szal, marszcząc czoło.

— Dlaczego pan to powiedział, panie Talbot? Czy

f

takimi słowy zwraca się pan do przedstawiciela mojej pici?

Zaprzeczyłem gestem dłoni. Ale znowu musiałem się uśmiechnąć.

—Pan mi nie odpowiedział. Niech tak zostanie. Pan się mnie obawia. Wiem, co pan sobie myśli: “Była guwernantką i guwernantką pozostanie”. To ja zawiniłam, sir. Kłaniam się uniżenie.

Z tymi słowami zamknęła drzwi. Stałem osłupiały, przytrzymując się poręczy. Nie ma wątpliwości, że panna Granham potrafi rozłożyć człowieka na części składowe i to bez większego wysiłku! Mimo to odnowiliśmy... sama to powiedziała!... odnowiliśmy naszą znajomość. Nie jestem pamiętliwy, więc zmiana ta sprawiła mi wielką ulgę i przyjemność. Podszedłem do wyjścia na śródkręcie i wyjrzałem na zewnątrz: pokład, w^f blasku księżyca, był zupełnie biały. Te gwiazdy, których księżyc nie zaćmił, kołysały się wielkimi zakolami pomiędzy olinowaniem, niczym srebrne pszczoły. Wpatrywałem się w niebo, dopóki nie zakręciło mi się w głowie. Przeniosłem spojrzenie na pokład. W stronę rufy sunął łańcuszek ludzi, którzy chwytając się rozkołysanej liny sztormowej z mozołem dźwigali coś ciężkiego, co wyglądało jak zabite przed chwilą olbrzymie zwierzę. Wspięli się na pokład rufowy. Zjawił się Charles, z pustymi rękami, i nie patrząc na mnie wbiegł po schodkach za marynarzami. Odwróciłem się, zszedłem, do swojej kajuty i zamknąłem za sobą drzwi. Patrzyłem z niechęcią na świeżo zaścieloną koję. To prawda. Powrót do tego miejsca nie będzie łatwy. Czułem się jak dawno temu, w dzieciństwie, kiedy

o zmierzchu mój kucyk obojętnie dreptał zbyt blisko cementarnego muru. Ale do rzeczy.

Niezależnie od tego, jak sobie wyobrażałem porządek wszechświata, odkryłem atmosferę tej kajuty, na którą sam się skazałem! Ogarnął mnie niepokój. W porównaniu ze świecą, do której zdążyłem się już przyzwyczaić, latarnia dawała

nico więcej blasku. Wisiała sztywno na ruchomej ścianie, rzucając czarne cienie, które pędziły po mnie i po białych płaszczyznach gnane kołysaniem statku. Przykręciłem knot tak, że dawał zaledwie nikły blask. Powiedziałem sobie, że nie będę się rozbierał, dopóki nie oswoję się na tyle, by uznać, że to miejsce należy bardziej do mnie niż... do nich. Czyż nie po to przysuwa się oparzony palec bliżej płomienia, by ten wyciągnął z niego ciepło? To tutaj przesiadywał Colley. Tu opierał łokieć, tu stało jego pióro, kałamarz, piasek... tutaj dotarł do granic strachu i rozpacz, poniżenia i wstydu... przeżywał niewyobrażalne męczarnie! Skąd zatem bierze się ów przenikliwy chłód, skoro — jak podpowiadał mi rozsądek — nie pozostał już żaden ślad tej jego udręki, tego cyklonu ludzkiego cierpienia? Otrząsnąłem się z ponurych rozmyślań, mrużąc pod nosem coś o nieszczęśniku, który padł ofiarą swojej wybujałej wrażliwości... czyli, innymi słowy, o człowieku przestraszonym! Uśmiechnąłem się wówczas, ale był to zaledwie grymas. “Dzielić los prostych pasażerów, którzy pewnego dnia znajdą się pod moją opieką!” Jakże szlachetna idea! Mówiłem na głos.

— W przyszłości, mój chłopcze, unikaj szlachetnych idei. To tak jakbyś ciągnął kartę na ślepo. Równie dobrze może ci się trafić dzoker jak i...

Jednak jestem człowiekiem nade wszystko praktycznym.

Miałem za sobą długi dzień i powinienem zasnąć bez trudu. Mimo to nie zdecydowałem się rzucić przyodziewku i ułożyć się na koi. Człowiek nagi jest bezbronny: nie może wybiec na pokład zalany blaskiem księżyca. Chyba że w malignie. Postanowiłem być dla siebie łaskawy i przygotowywać się krok po kroku. Położyłem się w ubraniu na zaścielonej koi. Leżałem na plecach. Pierścień ze śrubą... którą Charles kazał mi nazywać śrubą oczkową... sterczał tuż przy mojej twarzy. Zamknąłem powieki, lecz

drażniły mnie igrające na nich drobne cienie. Wobec tego otworzyłem oczy i, zdecydowany ignorować tę śrubę, wpatrywałem się w pobielony strop. Przyłapałem się na tym, że szczegółowo analizuję poharataną belkę na suficie i dziurę z wystającym odłamkiem.

Przewróciłem się na brzuch, lecz kołysanie statku sprawiło, iż leżenie w tej pozycji było nieprzyjemne. Jedną ręką szukałem po omacku ściany, drugą krawędzi koi. W końcu palce znalazły punkt zaczepienia. Pierścień, oczywiście. Włosy stanęły mi dęba. W pierwszej chwili chciałem zerwać się z koi i pognać przed siebie, odnaleźć Charlesa lub kogokolwiek innego, kogoś ciepłego i żywego, kto oddycha i mówi! Jednocześnie w tej samej przerażającej sekundzie powziąłem decyzję, że nie ruszę się z miejsca. Siła, z jaką trzymałem się pierścienia, wprawiła w drżenie całe moje ciało. Leżałem z zaciśniętymi powiekami w takiej samej pozycji jak konający Colley, i byłem równie zimny jak on.

Zmiana postępowała stopniowo. Paraliżujący strach przeszedł w niepokój, a następnie w rezygnację. Na tym to polegało. Wtedy i teraz.

Usłyszałem jęk Prettimana. Puściłem pierścień i odwróciłem się na plecy. Zraniona belka traciła swoją wymowę. Zamknąłem oczy.

Nie pamiętam przejścia od stanu czuwania do snu. Prawdopodobnie, zanim zaczęło świtać, zasnąłem lub pogrążyłem się w transie, albo może w jakiejś otchłani.

Mówił coś. Jego głos dobiegał z daleka. Ten znajomy głos tłumił szlochanie. Nie mogłem go rozpoznać, chociaż wiedziałem, że muszę. Kto to jest, na Boga? Znajdowałem się w jakimś miejscu jasno oświetlonym migotliwym blaskiem. Głos się przybliżał.

— Mogłeś nas uratować.

Mój własny głos. Obudziłem się. Płomień migotał gwałtownie za szybką latami. Zgasilem ją i położyłem się, by czekać na świt.

Zycie jednak toczy się swoim torem i nawet smutek samowiedzy nie pozwala człowiekowi zapomnieć o zołądku!

W sali dla pasażerów był tylko Pike. Zajmował miejsce pod oknem: oparł głowę na ramionach ułożonych na stole. Pomyślałem, że znowu jest pijany, ale gdy wszedłem uniósł głowę, uśmiechnął się sennie i zasnął. Zatem jest jeszcze inna kabina, w której nie można zaznać spokoju! Bates podał mi kufel cienkiego piwa... nie było nic innego... więc wzorem starożytnych wypilem swoje śniadanie. Wróciłem do kajuty, naciągnąłem buty i płaszcz przeciwdeszczowy, i już miałem wyjść na śródokręcie, kiedy w cieniu łańcuchów przy lewej burcie dostrzegłem pana Brock- lebanka. Zajął moje miejsce. W tej sytuacji, nie zdejmując stroju wierzchniego, usadowiłem się w swoim fotelu z żaglowego płótna i zająłem się moją skromną biblioteczką na półce nad koją. Myślałem o Charlesie i jego odzieżowym darze, który miałem na sobie. Zdjąłem więc "Iliadę" i w księdze zeta przeczytałem opowieść o Glaukosie i Diomedesie. Zdawać by się mogło, że lekkomyślnie wymienili zbroję miedzianą na złotą. Nie mogłem się zdecydo-

/

wać, czy moja walka o promocję dla Charlcsa jest klotem czy miedzią... z kolei jego troska o mnie, kąpiel i zmiana bielizny, które zaordynował — jakby był moją niańką — wydawały się zdecydowanie złotem w tej sytuacji! Czytałem dalej, lecz wkrótce litery zaczęły mi tańczyć przed oczami. Miałem za sobą krótką i niespokojną noc. Przypomniałem sobie przestrożę Charlesa, że płaszcz przeciwdeszczowy służy wyłącznie jako ochrona przed wilgocią, więc odłożyłem książkę i wyszedłem na śródokręcie. Pan Brocklebank zniknął. Przystanąłem na nawietrznej, wystawiając twarz na orzeźwiające podmuchy wiatru.

Nadszedł pan Benet.

— Płyniemy, panie Talbot!

— Zdaje się, że pogoda jest nadto rześka, by mógł pan zabrać się do majstrowania... powinienem powiedzieć: do naprawy fokmasztu.

— Na razie... Wiatr słabnie, a kołysanie nie przerwało produkcji węgla.

— Chwileczkę, sir. Słyszałem, że w razie konieczności można maszt zrąbać.

— Rozmawiał pan z pierwszym oficerem!

— Owszem, ale o niczym takim nie wspominał. Sam to wymyśliłem... możemy ściąć fokmaszt i nie ryzykować naprawy gniazda. Ja także mieszm różne pomysły.

— Nie wątpię, sir. Jeżeli jednak zrąbiemy fokmaszt, może zajść konieczność zrąbania bezanmasztu... dla równowagi. Poza tym, maszty nie padają dokładnie w zaplanowanym miejscu. Proszę sobie wyobrazić, że fokmaszt pada na bok, nadal przytwierdzony do statku, i okręca go, tak że wypadamy z wiatru. W ciągu paru sekund statek przewraca się i tonie. Świetnie, panie Talbot, ale to nie jest dobry pomysł. Jak tylko to będzie możliwe, nawiercimy blok i ponownie go dociśniemy. Jeszcze jedna albo dwie wachty...

Nie spodobało mi się to, co mówił, lecz nic nie mogłem na to poradzić. Mimo wszystko łączyły nas pewne interesy... dwie damy, które innym statkiem płynęły ku Indiom.

Benet odchodził. Pospieszyłem za nim.

— Chciałem prosić, by mi pan wytłumaczył pewien epizod, w którym pan, lady Somerset i panna Chumley...

— Później, panie Talbot. Co za pogoda! Aż chce się śpiewać!

Między jednym przechyłem a drugim przebiegł przez pokład i zniknął w forkasztelu. Z korytarza wyłonił się Charles w towarzystwie niższego rangą oficera i dwóch majtków. Zatrzymał się na mój widok,

— Co słyhać, Edmundzie?

— Miałem złą noc.

— Jesteś blady. Dokucza ci kołysanie?

— Nie. Nie spałem tej nocy.

— W każdej chwili możesz wrócić do pomieszczeń oficerskich.

Poczułem, że się czerwienię. Było jasne, że się domyśla, jak wyglądała ta moja "zła noc".

— Mam narazić się na drwiny? Nie ma mowy!

— W sytuacji niepewności i zagrożenia ludzie będą wdzięczni za każdy pretekst do śmiechu.

— Czy nadal nam coś zagraża?

Charles wydał jakieś polecenie oficerowi, który zasalutował, po czym cała trójka puściła się biegiem w stronę forkasztelu.

— Tak, Edmundzie. To samo co przedtem.

— Przynajmniej pogoda się poprawia.

— Mój drogi, podczas tej przerwy Benet będzie miał okazję dobrać się do fokmasztu. Nie podoba mi się ta pogoda. Znosi się na coś dużego, co nas niechybnie dopadnie. Muszę już iść.

- Czy mogę pójść z tobą?
- O, nie. Moje obowiązki to wyłącznie moja sprawa.

Zasalutował i odszedł. Liny sztormowe ledwie drżały. Charles nie zwrócił na nie uwagi.
— Panie Talbot.

Odwróciłem się. W wejściu do korytarza stała panna Granham w stroju marynarskim i za dużych marynarskich butach.

— Dzień dobry pani. Czym mogę służyć?

— Chciałam zaprowadzić pana do pana Prettimana. Czy ma pan teraz czas?

— Żeby złożyć mu wizytę? Oczywiście, madame, kiedy tylko pani zechce.

Uchyliła drzwi do jego kajuty, zerknęła do środka, po czym je zamknęła.

— Zasnął. Dostał środek przeciwbólowy. Może...

Wahała się. Ja natomiast nie widziałem żadnych powodów, by odkładać to spotkanie.

— Czy mogę wejść i poczekać?

— Skoro takie jest pana życzenie...

Wszedłem więc do kajuty Prettimana i zamknąłem

za sobą drzwi. Pomieszczenie niczym nie różniło się od pozostałych: koja, półka na książki, umywalka z żaglowego płótna, nad nią niewielkie lustro, a pod przeciwną ścianą blat do pisania i różne przybory. Pod umywalką stało wiadro, a przy blacie płócienny fotel. Pan Prettiman dał dowód swojej ekscentryczności, śpiąc odwrotnie niż inni: głową w stronę rufy, stopami do dziobu. W ten sposób głowę miał tuż nad wiadrem, co zapewne od początku tłumaczyło jego wybór kierunku spania. Przypomniały mi się nasze żałosne pierwsze tygodnie na statku i torsje, na które cierpieliśmy wszyscy bez wyjątku.

Prettiman spał tak mocno, że aż trudno było uwierzyć, by rano z kimś rozmawiał. W kabinie panował zaduch charakterystyczny dla pokoju osoby chorej, ponieważ, jak sądzę, świeże powietrze szkodzi zbolełemu ciału. Chociaż trudno sobie wyobrazić, by nasze panie, przywykłe przecież do opieki nad

chorymi dziećmi, mogły zaniedbać toalety cierpiącego, ten człowiek wydzielał szczególnie nieprzyjemną woń, która sprawiała, że samo zbliżenie się do jego koi napawało obrzydzeniem. Zorientowałem się, zrezygnowany, że czekają mnie tu trudne chwile. Przyznam jednak, że przykre przeżycia minionej nocy przybliżyły mi nieco moje wyjątkowe, niszczycielskie skłonności! Usiadłem więc ostrożnie, z niejasnym przeświadczeniem, że dopóki chory śpi, moja obecność jest tym,

co chodzi pannie Granham. Odór jego ciała walczył

o lepsze z zapachem laudanum. Nic dziwnego, że zasnął. Pościel miał podciągniętą aż pod brodę. Jego głowa spoczywała na poduszce znacznie bardziej miękkiej niż ta, jaką mi przydzielono. Między rudawą brodą i rzadką grzywką rysowała się jego bardzo blada twarz. Oglądałem kiedyś to samo oblicze, komicznie poczerwieniałe z oburzenia. Ta maska, na której każdy mógł odczytać wszystkie emocje, okazała się teraz bardzo nieregularna. Zakrzywiony nos i długą górną wargę dzieliła spora odległość niczym u Irlandczyka. Prettiman miał szerokie i pełne wargi, poorane liniami świadczącymi o uporze i krewkim usposobieniu. Choroba w dużej mierze pozbawiła tę twarz jej dawnego, komicznego wyrazu. Oczy, które kiedyś ciskały pioruny opętane społecznym fanatyzmem, teraz zniknęły pod sinymi powiekami, ginęły pod krzaczastymi brwiami. Można było naśmiewać się z tego człowieka, gdy nie spał, lecz tak, wyciągnięty na koi jak na katafalku, nie wydawał się śmieszny. Gdzie się podział tamten niedorzeczny Prettiman, zawzięty, czasami szalony, nachmurzony, drepczący u boku swojej nieprawdopodobnej narzeczonej? Ona także przeszła metamorfozę, chociaż nie za sprawą upadku: oschła stara panna okazała się osobką ładną, dystygowaną i rozsądną... a przy tym kobiecą! Prettiman... dziewiąta fala wstrząsnęła kabiną. Ten sam krzyk, który mnie tak nękał... który kazał mi

opuścić moją kajutę... udręka... cierpienie... Zerwałem się na równe nogi. To było ponad moje siły. Poczujęm się uwięziony w tej śmierdzącej klitce, gdzie w każdej chwili może się rozleć rozdzierający krzyk tego nieszczęśnika! Chwyciłem za kłamekę...

— Kto tu jest?

Prettiman przemówił słabym głosem tuż za moimi plecami. Odwróciłem się.

— Edmund Talbot.

Zapał ponownie w odrętwienie. Targały mną mieszane uczucia. Obiecałem przecież, że będę czekał. Zaledwie minionej nocy dowiedziałem się... odkryłem, co spoczywa w moich rękach! Opadłem na fotel. Pościel, spiętrzona na brzuchu chorego, kryła kontury środkowych partii jego ciała, za to niżej, pod kocem, nogi i stopy rysowały się całkiem wyraźnie. Zapach laudanum wzmógł się po tym, jak z ust chorego wyrwał się ów rozpaczliwy krzyk. Duch, na wpół obudzony w udręczonym ciele, znowu zatonął w otchłani. Powieki cierpiącego zadrżały, po czym znieruchomiały. Otworzył usta, ale tym razem tylko westchnął.

Usiadłem wygodniej i obserwowałem go. Gałki oczne poruszyły się gwałtownie. Zaczął nierówno oddychać. Oczekiwałem, że otworzy oczy, ale tego nie zrobił. Mamrotał coś przez sen. Z trudem wymawiał słowa.

— ...John Laity, do końca swoich dni. Hamilton Moulting Baronet jako pułkownik dragonów wynagrodzenie za odzież... wydatki oficera... Mungo Fitz-Henry, sędzia sądu londyńskiego, dożył czterech tysięcy i sześć funtów...

Na Boga... wymienił mojego kuzyna i całkiem niezłą sumkę! O czym on mówi? Zerwałem się z fotela i złapałem za kłamekę... która poruszyła się od zewnątrz. Do kajuty zajrzała panna Granham. Odezwała się szeptem:

— Panie Talbot? Jeszcze się nie obudził?

— Nie.

Znowu ten ledwie słyszalny głos.

— Letycjo? To ty?

— Pan Talbot przyszedł do ciebie z wizytą.

— William Collier, czternaście lat za nielegalne zebranie...

— Panie Prettiman, to ja, Edmund Talbot. Podobno chciał się pan ze mną widzieć. Jestem tutaj i czekam na pana.

Panna Granham zamknęła za sobą drzwi.

— Letycjo?

— Panna Granham wyszła. Myślała, że chce pan ze mną porozmawiać, chociaż przyznając, że nie wiem, czemu zawdzięczam ten nieoczekiwany zaszczyt...

Rzucił niespokojnie głową i zgrzytał zębami

— Nie mogę usiąść.

— Proszę się nie facygować. Stanę tutaj, żeby mógł mnie pan widzieć.

— Siadaj, chłopcze. Siadaj!

Miało to, bez wątpienia, zabrzmieć jak rozkaz. Chciałbym móc powiedzieć, że spełniłem to polecenie, aby sprawić mu przyjemność, lecz w rzeczywistości moje ciało usiadło samo, zanim zorientowałem się, co się dzieje! Nieznaczny ruch kajuty spowodował, że Prettiman zacisnęła szczęki i donośnie zgrzytnął zębami. Jego twarz stopniowo się rozpogadzała. Odezwałem się głośno, zirytowany swoim niezamierzonym posłuszeństwem.

— Czekam, co ma mi pan do powiedzenia.

— Zapewne wie pan, że ja i panna Granham...

Urwał. Nie wiem, czy z powodu kolejnego ataku

bólu, czy może poczuł się w naturalny sposób zmieszany, że porusza taki temat w rozmowie z obcą osobą. Doszedłem do wniosku, że postaram się mu pomóc, inaczej bowiem ta denerwująca rozmowa nigdy się nie skończy.

— Tak jak wszyscy na tym statku wiem, że panna Granham zgodziła się pana uszczęśliwić. Złożyłem jej już życzenia. Teraz chciałbym pogratulować panu...

— Niech pan da spokój tym bzdurom!

— Nie rozumiem.

— Zgodziła się zostać moją żoną.

— Właśnie to powiedziałem!

— Teraz! Gdzie się podziała pańska inteligencja?!

— Nie mamy pastora!

— Ceremonię odprawi kapitan Anderson. Czy pan o niczym nie wie?!

Milczałem. Najszybciej dobrniemy do końca, jeżeli nie będę mu przerywał. Prettiman przeciągnął językiem po wargach, po czym mlasnął.

— Podać panu coś do picia? Woda...

Odwrócił głowę, by mi się dokładnie przyjrzeć,

tak jak wcześniej ja jego obserwowałem. Cień uśmiechu pogłębił zmarszczki wokół jego ust i oczu.

— Jestem niesprawiedliwy, prawda? Uśmiechnąłem się, chociaż może nieco krzywo, z powodu tak nagłej zmiany.

— Jest pan cierpiący. To wszystko tłumaczy. Każdy... jeżeli pogoda się poprawi, będzie pan mógł wyjść...

— Ja umieram.

— Ależ panie Prettiman! Załamanie...

Krzyknął na cały głos.

— Niechże pan wreszcie przestanie wszystkiemu się sprzeciwiać! Jeżeli mówię, że umieram, to znaczy że umieram, i umrę!

To głośne wystąpienie zakończył kolejny paroksyzm bólu, który — mniemam — sam sobie zadał jakimś nieostrożnym ruchem. Zawierały się w nim zarówno niewyobrażalne cierpienie jak i wściekłość.

— Panie Prettiman, błagam pana!

Leżał teraz spokojnie. Pot spływał mu po twarzy.

Skrzypnęły drzwi i w progu stanęła panna Granham. Podeszła do koi, wyjęła chusteczkę spod poduszki i otarła mu twarz. Uśmiechnął się. Głosem znacznie łagodniejszym, niż do tej pory, szepnął: "Dziękuję ci, dziękuję".

Panna Granham stała już przy drzwiach, gdy odezwał się ponownie:

— Letycjo, nie ma potrzeby, żebyś czuwała. Czuję się znośnie, a laudanum jeszcze działa. Idź do siebie i się prześpij. Przykro mi na myśl, że nie sypiasz przeze mnie.

Zerknęła na mnie, posłała mu uśmiech, skinęła głową i zamknęła za sobą drzwi.

— Panie Talbot, chcę, żeby pan był świadkiem.

-Ja?

— Pan i Oldmeadow. Będziecie świadkami ceremonii... zawarcia związku małżeńskiego.

— Ależ to niemożliwe! Nie piastujemy żadnych stanowisk na tym statku! Co innego Charles Summers albo pan Cumbershum... Jeżeli pan chce, mogę wydać oblubienicę lub... podjąć się czegoś innego!

— Do tego nie jest mi pan potrzebny. Zrobi to pan East.

— Pan East?! Drukarz?!

— Niechże pan słucha! A może pan chce przeciągać tę rozmowę w nieskończoność?

Mogłem udzielić wielu odpowiedzi na to pytanie, ale poszukiwanie najtrafniejszej odebrało mi szansę repliki. Prettiman zamknął oczy i mówił dalej:

— Oficerowie rozproszą się po całym świecie. Kto wie, dokąd ich poniesie? W każdym razie trudno na nich liczyć. Na tym starym statku, rzecz jasna, daleko nie odpłyną. Pan i

Oldmeadow zostajecie w Sydney Cove. Czy pan tego nie rozumie, panie Talbot? Panna Granham otrzyma w spadku po mnie skromną fortunę. Niemniej jednak bez świadków

cieszących się nieposzlakowaną opinią, osiemnaście tysięcy mil od naszych jakże skorumpowanych sądów...

— O, nie! Nasze sądy nie są skorumpowane! To bzdura! Brytyjski wymiar sprawiedliwości... Natychmiast otworzył oczy.

— A ja powiadam, że są skorumpowane! Owszem, w kwestii pieniędzy można im zaufać... ale we wszystkich innych dziedzinach gubią je przywileje, prawo posiadania własności ziemskiej oraz przerażająco nieadekwatny system reprezentacji...

Coraz bardziej podnosił głos, lecz czując niejako bliskość anioła cierpienia nagle przeszedł do szeptu, co parę minut wcześniej wydałoby mi się komiczne.

— Nie muszę się w to zagłębiać, Talbot. Rozmawiam przecież z przedstawicielem... sam pan rozumie. Podsumowując: pan oraz Oldmeadow będziecie gwarantami jej schedy jako świadkowie ceremonii zawarcia związku małżeńskiego.

— Chętnie pomogę pani Prettiman w miarę swoich możliwości... — Wymawiając te słowa zdałem sobie sprawę, że mówię prawdę. — Oczywiście, sir. Jestem jednak pewien, że upłyną lata nim...

Poczerwieniał.

— Nedorzecznosc! Zostało mi zaledwie kilka dni, a może nawet godzin.

— Zapowiedzi...

— W tej sytuacji obejdziemy się bez nich. Uważam sprawę za zamkniętą.

Milczeliśmy. Prettiman poruszył się niespokojnie. Uniosłem się z fotela, lecz mnie powstrzymał gestem dłoni.

— Jeszcze nie skończyłem. Nie lubię prosić o przysługi. Teraz jednak...

— Proszę mówić, sir. Przez wzgląd na dobro tej damy.

— Pan Summers powiedział mi, że wierzy pan w zasadę fair play. To bardzo dziecinny zwrot...

— To jest bardzo trafny zwrot, panie Prettiman. Fair play w gwarze uczniowskiej znaczy tyle, co "sprawiedliwość" w języku dorosłych.

— Pan wierzy w sprawiedliwość.

Znowu milczeliśmy. Patrzyłem na półkę z książkami nad jego głową. Same poważne dzieła.

— Jestem Anglikiem.

— Panna Granham z uznaniem wyrażała się o pańskich postępkach...

— Moich postępkach...?

— Nie mam pojęcia, jak światłe obyczaje panują w koloniach, lecz obawiam się najgorszego. Mam wrażenie, że kultury trzeba tam szukać ze świecą. Chcę pana prosić, by postarał się pan, aby moją małżonkę traktowano jak w cywilizowanym społeczeństwie.

— Jej przyjaźń będzie dla mnie zaszczytem, sir. Daję panu moje słowo, że zrobię wszystko, by ją chronić.

Uśmiechnął się słabo, wyczerpany rozmową.

— Jest wiele dziedzin, w których ona nie potrzebuje ochrony, lecz są i takie, gdzie z powodu niesprawiedliwości matki Natury dama zawsze jest pokrzywdzona. Być może w kolonii jeszcze nie wiedzą, na czym polega właściwy stosunek do słabej płci.

— Nie mam pojęcia.

— Jest jeszcze jedna sprawa.

Czekałem, ale on milczał.

— Jaka, sir?

Nie odpowiedział. Wydawało mi się, że walczy z bólem.

— Czy mam panu pomóc zmienić tę niewygodną pozycję? Ta pościel spiętrzona na pańskim

brzuchu...

Niespokojnie kręcił głową.

— To nie jest spiętrzona pościel, tylko opuchlizna dolnej części brzucha i górnej części kończyn dolnych.

— Wielki Boże!

— Czy musi pan zaczynać co drugie zdanie od bluźnierstwa? Nie może mnie pan przesunąć. Najmniejszy ruch, nawet podyktowany potrzebą naturalną, jest dla mnie torturą nie do zniesienia...

Urwał.

— Przejdźmy do tej drugiej sprawy. Tym razem poufnej. Moje sumienie każe mi wierzyć, że postąpiłem słusznie. Proszę podejść bliżej.

Przysunąłem się razem z fotelem. Pochyliłem się nad jego twarzą. Odór jego pościeli i ciała był po prostu odrażający. Czy to jest początek rozkładu? Nie znałem się na tych sprawach.

— Mam dla pana pewien dokument.

— O?

— Widnieje na nim mój podpis. Sam pan widzi, w jakim jestem stanie: bezradny i konający. Znajdą się tacy, którzy zechcą obalić mój testament... tych nigdy nie brakuje... na przykład krewni tak odlegli, że nikt nie wiedział o ich istnieniu. Mogą twierdzić, że małżeństwo nie zostało... nie mogło być... skonsumowane i w związku z tym jest nieważne, a panna Granham nie ma prawa do żadnych roszczeń.

Cisza zaległa w kajucie.

— Nie pojmuję, na czym ma polegać moja rola, panie Prettiman.

Myślę, że bardzo cierpiał.

— Napisałem oświadczenie, w którym stwierdzam, że odbywałem stosunki cielesne z panną Granham w trakcie podróży i przed ślubem.

— O Boże...

— Słucham pana?

— Nic. Nic nie mówiłem.

Podniósł głos.

— Czy ty sobie wyobrażasz, chłopcze, że taki kołtuński rytuał jak ślub, może mieć jakieś znaczenie dla kogoś takiego jak ja i ona?!

Już otworzyłem usta, chociaż nie wiem, co powi-

nieniem był wówczas powiedzieć. Wzburzenie bowiem przyprawiło go o nowy paroksyzm.

Zawył z bólu, jakby wymierzono mu karę za te bluźniercze słowa! Wspominam tamtą scenę z pewnym rozrzewnieniem, ponieważ sam nie wierzyłem w żadne kołtuńskie rytuały przekonany, że służą jedynie utrzymaniu porządku. Chrzest, ślub, pogrzeb... tylko one odróżniają nas od zwierząt.

Prettiman wracał do siebie.

— Na górnej półce leży teczka oprawna w zieloną skórę. Proszę mi ją podać.

Położył ją sobie na piersi, by wydobyć złożony i zapieczętowany arkusz papieru. Przysunął go bliżej oczu.

— Tak. To ten.

— Dlaczego ten dokument jest taki ważny? Bez problemu stanę przed sądem i zaświadczę, że wyjawiał mi pan, jak się sprawy miały między panem i tą damą.

— Ja im nie wierzę... po prostu.

Ledwie się powstrzymałem, by nie uderzyć w moralizatorski ton! Zamierzałem, ze swadą typową dla przedstawiciela społeczeństwa, którym tak gardził, powiedzieć mu: "Należało o tym wcześniej pomyśleć!" Lub: "Te kołtuńskie rytuały stanowią pewną wartość, sir!" Wybrałem jednak milczenie. Moja sytuacja była tym dziwniejsza, że czułem, iż przestaję im współczuć... a szczególnie jej. Żeby dama, i to ta, którą obdarzyłem szacunkiem, pozwoliła sobie na coś takiego... jak dziewczka! Nie wiedziałem, czy mam się śmiać, jak powinienem zareagować. Zachowywała się prowokująco. To bardzo przykre. Jej... uchybienie wprowało mnie w ponury nastrój.

— Uważam, panie Prettiman, że nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Rozumiem,

że zostaną powiadomiony o terminie tego kołtuńskiego rytuału.
Wczytałem zdumienie w jego oczach.
— Oczywiście!

Odstawiłem zieloną teczkę na półkę i podniosłem się z fotela.

— Zgadzam się wziąć ten dokument na przechowanie i okazać go w sytuacjach, które pan wskaże. Nie zamierzam go czytać.

— Dziękuję.

Ukłoniłem się sztywno. Zanim otworzyłem drzwi, Prettiman odezwał się jeszcze raz.

— Panie Talbot.

— Słucham?

— Panna Granham nie wie o istnieniu tego dokumentu. I chcę, żeby tak pozostało możliwie najdłużej.

Ponownie złożyłem ukłon i w wielkim pośpiechu opuściłem tę cuchnącą norę.

Okazało się, że stoję w wejściu na śródpokład i wpatruję się w poszarpany płaszcz pana Brocklebanka. Nie potrafię powiedzieć, jak się tam znalazłem. Wiał ostry wiatr, który przenikał nawet przez mój marynarski strój.

Wyczuwałem coś szczególnie wstrętnego w tym potajemnym związku cielesnym dwojga podstarzałych ludzi! Przecież Prettiman ma blisko pięćdziesiąt lat, a ona...

— Plugastwo, zezwierzęcenie, rozpusta!

Starzec chyba niczego nie słyszał, wyglądał bowiem jak ktoś pogrążony w rozmyślaniach. Na jego twarzy malowała się melancholia. Zacząłem się zastanawiać. Co mnie to obchodzi? Popatrzyłem na zapieczętowany dokument, który ciągle trzymałem w ręce. Wziąłem na siebie zobowiązanie, chociaż w niegodziwej sprawie. Wróciłem do swojej kabiny, szarpnąłem drzwi i zamknąłem się w środku. Cisnąłem papier do dolnej szuflady, a sam rzuciłem się na fotel tak gwałtownie, że gdybym był tuszy pana Brocklebanka, na pewno bym go połamał.

Ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę wejść.

W progu stanął Charles Summcrs.

— Czy możesz mi poświęcić trochę czasu?

— Oczywiście. Usiądziesz tutaj, czy na koi? Przepraszam, że Phillips jeszcze nie posprzątał. Wszystko jest takie brudne, takie podłe, takie nikczemne! O, jaki jestem zmęczony tą podróżą! Tyle wody! Chciałbym umieć chodzić po wodzie. Och, przepraszam, przepraszam cię! Co mogę dla ciebie zrobić?

Usadowił się ostrożnie na zmiętoszonej pościeli.

— Mam pewną propozycję. Czy podjąłbyś się roli aspiranta?

— Mówisz poważnie?

— Poniekąd, powiedzmy. Zaraz ci wyjaśnię. Mamy jeszcze dwóch oficerów, Cumbershuma i Beneta, oraz jednego podoficera, który posiada takie same uprawnienia jak oni... czyli pana Smilea, naszego nawigatora...

— Jego rola nadal pozostaje dla mnie tajemnicą.

— Można powiedzieć, że jest to pewnego rodzaju... anomalia. Pan Smiles jest już ostatni. Stanowisko to obsadzała Admiralicja w czasach przekazywania nawigacji w ręce oficerów królewskich. Otóż razem ze Smilesem jest ich zaledwie trzech. Pan Askew zgadza się trzymać wachtę od czasu do czasu. Jeżeli i ja stanę na wachtce, możemy podzielić czas czuwania między nas pięciu, z korzyścią dla każdego...

— Oprócz ciebie! Przecież ty kręcisz się po statku przez całą dobę! Kiedy ty śpisz? Jestem przekonany, że ta twoja ciągła krzątanina nie jest konieczna.

— Nie masz racji. Nie znasz powiedzenia, że najlepszym nawozem są stopy rolnika?

Wracając do sprawy: jeżeli wezmę środkową wachtę, która... jak już zapewne wiesz, trwa...

— ...od północy do czwartej rano.

— Tak jest. Czy zechciałbyś pełnić ze mną wachtę jako aspirant?

— Chcesz mi powierzyć takie odpowiedzialne zadanie?

— Poradzisz sobie lepiej niż biedny Willis. No jak? Zgadzasz się?

— Oczywiście. W ten sposób dołożyłeś sobie cztery godziny pracy. To doprawdy za dużo... Przyznam jednak, że podniosłeś mnie na duchu!

— Dlaczego potrzebowałeś pociechy? Czy to z powodu wiszących nad nami zagrożeń?

— Ach, nie! Dowiedziałem się... o czymś. Otóż pewna młoda dama, którą... Obawiam się, że miała więcej do czynienia z nieczystymi uczynkami, niż powinna... Ktoś napomknął dzisiaj o tych sprawach i obudził moją bolesną niepewność... To tyle. Kiedy zaczynamy?

— Każę sternikowi obudzić cię za kwadrans dwunasta.

— Będę stał na wachtce! Czy powierzysz mi jakieś zadania?

— Może postawię cię przy tablicy kursowej.

— Od kiedy opuściliśmy Anglię, nie spotkało mnie nic równie emocjonującego! “Panie przewodniczący. Ci, którzy stali na pokładzie okrętu marynarki Jego Królewskiej Mości...”

— A jeżeli podczas wachty popełnisz jakiś okropny błąd? “Panie przewodniczący. Ci, którzy musieli odsiedzieć swoje na topie masztu na jednym z okrętów marynarki Jego Królewskiej Mości...”

— Widzę, że potrafisz być okrutny.

— Owszem.

— A propos, jak ma się Coombs i wypalanie węgla?

— Jest już odpowiednia ilość. Kapitan Anderson czeka z wydaniem rozkazu, aż morze uspokoi się jeszcze trochę.

— Muszę obejrzyć ten maszt i jego gniazdo.

— Akurat teraz zachciało ci się chodzić tam, gdzie nie powinienes. Czy mam ci wydać rozkaz?

— To wielka pokusa. Jak myślisz? Czy pogoda może się poprawić?

— Tak. Teraz mnie słuchaj. Radzę ci przespać się ze cztery godziny w ciągu dnia. Myślę, że powinienes potraktować to jak rozkaz.

— Aj, aj, sir!

Kiwnął głową i odszedł. Ja natomiast siedziałem, niezmiernie podekscytowany, jeszcze przez czas jakiś. Perspektywa wachty była tak emocjonująca, jak wówczas gdy w dzieciństwie rodzice pozwalają nam “balować całą noc”... tajemnicze doświadczenie związane z przechodzeniem jednego dnia w następny. Było w tym coś... dorosłego! Otrzymałem oto zaproszenie do świata mężczyzn, którzy robili coś nadzwyczajnego, nie z zamiłowania do przygody lub chęci dokonania jakiegoś odkrycia, lecz dlatego, że należało to do ich obowiązków. Są oni bowiem panami nocy. Tworzą coś na podobieństwo tajnego stowarzyszenia! Na razie moim głównym problemem było spędzenie tych godzin, które pozostały mi do północy. Spożyłem posiłek i dowiedziałem się od Batesa, że wkrótce wszyscy zaczniemy głodować. W holu pozdrowiłem pannę Granham chłodnym uśmiechem, lecz chyba mnie nie zauważyła. Postanowiłem uciąć sobie drzemkę, ponieważ zostałem kandydatem na marynarza i miałem już pełne prawo posługiwać się językiem ludzi morza. Przespałem dwie z czterech godzin zaordynowanych przez Char-lesa. Zasiadłem do pisania listów. Próbowałem skreślić parę słów do panny Chumley, której widok wystarczył, by cały mój świat i moja przyszłość stanęły na głowie, ale nie potrafiłem ująć tego w słowa. Nie mogłem przecież zapytać ją wprost: “Czy jest pani zdeprawowana?” Ilekroć przywoływałem jej cudowny i niewinny obraz, moje serce odrzucało możliwość tego ohydneho zespolenia. Poza tym, po co to wszystko? Nie miałem pewności, czy ten list do niej dotrze. Zrezygnowałem z pisania i zwróciłem się ku czytaniu poezji, wierszom pana

Ben eta, ku Glaukosowi i Diomedesowi, przekartkowałem kilka książek, odkryłem, że grzbiet “Medytacji wśród grobowców” jest spękany i zastanawiałem się, jak do tego doszło. Czytałem “Iliadę”, dopóki nie naszła mnie senność. Wyciągnąłem się na koi i ponownie zasnąłem, by ocknąć się dopiero, gdy tuż przy uchu usłyszałem głos sternika, który przyszedł mnie obudzić. Latarnia dogasała, więc mocno przykręciłem knot... i wyszedłem.

Okręt wyglądał jak duch, jak zjawa ze srebra i kości słoniowej. Przedemną księżycowa poświata zalewała cały pokład. Gdy odwróciłem się, by wejść na drabinkę, poraził mnie blask księżycy. Biel żagli wręcz oslepiła. W końcu znalazłem się wśród marynarzy spieszących na rufę, aby stanąć przy kole lub wykonać rozkazy oficera wachtowego. Na drabince pojawił się Charles. Pan Cumbershum oficjalnie przekazał mu służbę. Wybiła ósma szklanka.

— Pan Talbot, aspirant, gotowy do służby, sir!

— Dobrze, że jesteś, Edmundzie. Można czytać przy takim księżycu, nie sądzisz?

— Z łatwością. Wszystkie latarnie są wygaszone.

— Tylko latarnia główna... boczne palą się ledwo, ledwo. Musimy oszczędzać naftę, jak wszystko inne.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, bo jako właściciel nielegalnie zdobytej latarni, która teraz paliła się w mojej kabinie, wyczuwałem, że sprawa jest delikatna.

— Gdzie jesteśmy?

— Masz na myśli nasze współrzędne? Sam chciałbym je znać! Mogę cię natomiast pocieszyć, że znamy naszą długość. Kolumb kierował się tylko długością.

— Długość?

— Na naszych chronometrach... zachowaj to dla siebie... nie można już polegać. Po tak długim czasie ich wskazania nie mają sensu, a poza tym zamokły.

— Nie wynieśliście ich na wyższy pokład?

Wydało mi się, że Charles woli nie wspominać tego wydarzenia.

— Ja... my... zapewne należało tak zrobić. Ale też mogłoby to pogorszyć sytuację. Wracając do kwestii naszej długości, można powiedzieć, iż nasza wiedza jest wynikiem “zliczenia nawigacyjnego wspomaganego”.

— Z akcentem na “wspomaganiu”?

Położył dłoń na poręczy... i natychmiast ją oderwał, jakby drewno mogło parzyć.

— Co ja robię?! Dojrzały mężczyzna nie powinien ulegać tak nikczemnym przesądom!

— Drogi przyjacielu, przesadzasz. Jeżeli pukanie w niemalowane drewno dodaje otuchy, to dlaczego z tego nie skorzystać!

— No cóż, zapewne masz rację. Nawigacja nadal nie jest dyscypliną ścisłą... kiedyś zapewne poczyni postępy, chociaż nie wyobrażam sobie, w jaki sposób.

— Czy Admiralicja nie może dokooptować pana Beneta? Albo nieco dokładniej przestudiować dzieła dziekana Swifta?

— Nie wiem, co dziekan Swift ma wspólnego z nawigacją. Masz natomiast słuszość w przypadku pana Beneta. On uważa, że potrafi ustalić naszą długość bez posługiwania się tymi zamokłymi chronometrami!

— Zabłądziliśmy!

— Niezupełnie. Znajdujemy się na obszarze o szerokości mniej więcej dziesięciu mil i długości około pięćdziesięciu.

— To właśnie nazywam błędzeniem!

— Masz do tego prawo. Jesteś podobny do mnie, kiedy zaczynałem od stopnia aspiranta... stawiając stopę na najkrótszej bodaj drabince... w tamtych czasach stopień porucznika wydawał mi się nie lada osiągnięciem...

. — Bo to jest nie lada osiągnięcie!

. — Posiadałem już wówczas sztukę żeglowania, wiedziałem niemal wszystko o statku. To nie są przechwałki.

— To samo powiedział mi któregoś dnia pan Gibbs: “Huncwot, każdy jego włos to splot liny, każdy ząb to marszpikiel, każdy palec haczyk rybacki, a krew ma niczym smołę drzewną!”

Charles wybuchnął gromkim śmiechem.

— Bez przesady! Nie miałem zielonego pojęcia

o teoretycznych i obliczeniowych aspektach nawigacji. Pewnego dnia pierwszy oficer zjawił się z własnym sekstantem. Nazywał się Bellows. Staliśmy wtedy w cieśninie Plymouth... zanim wybudowano falochron, więc mieliśmy przed sobą cały południowy horyzont. Pan Bellows pokazał mi, jak posługiwać się tym przyrządem, po czym powiedział: “Panie Summers, posługując się tym sekstantem proszę określić nasze położenie względem południa czasu lokalnego”. “Ależ panie Bellows”, powiedziałem sądząc, że ze mnie żartuje. “Jesteśmy w cieśninie Plymouth”. “Proszę o dowody. Ma pan tutaj sekstant, chronometry są w ładowni, a pan Smith użył panu swojego kieszonkowego zegarka”. “Panie Bellows”, upierałem się, “stoimy na kotwicy!” “Słyszał pan, co powiedziałem”, warknął i wyszedł.

— Pamiętasz każde słowo!

— Noszę tę scenę w sercu! Nie wyobrażasz sobie, jak delikatnie obchodziłem się z tym cennym przyrządem... nie, Edmundzie, ty nie potrafisz sobie tego wyobrazić! Dla mnie to nie był jakiś tam sekstant. To było coś... nie wiem, jak ci to wytłumaczyć.

— Rozumiem cię, wierz mi.

— Ciekawe... chociaż na pewno się starasz. Wróć- mmy do tematu... Zmierzyłem wysokość

słońca... kilkanaście razy, przed i po południu. Nie należę do

osobników łatwo poddających się emocjom, Edmundzie...

— W rzeczy samej!

— Powiedziałbym nawet, że bywam niewzruszony. Ale kiedy wyniki moich pomiarów wzrosły, po czym zmalowały, nie potrafiłem się opanować... krzychałem, drżałem na całym ciele, zęby mi szczykały, śmiałem się na głos... Nie, ty tego nie możesz zrozumieć.

— Odkryłeś swoje powołanie.

— Wyobraź sobie, jak raz po raz mierzę wysokość słońca, a młody Smith zapisuje czas każdego pomiaru według swojego zegarka... najpierw sekundy, potem minuty i godzina; następnie kąty... sekundy, stopnie. Następnie... po co się męczyć? Przewertowałem "Zarys nawigacji" Noriego. Tę księgę stawiam tuż po Biblii.

— Nic mi to nie mówi.

— W końcu ustaliłem naszą pozycję. Znajdowaliśmy się w cieśninie Plymouth!

Przeniosłem ją na mapę... dwie skrzyżowane linie, każda nie dłuższa niż jedna dziesiąta cala, a na nich kółeczko, narysowane najcieniej zatemperowanym ołówkiem na całym statku. Kiedy powrócił pan Bellows, wyskoczyłem z kabiny sternika, stanąłem na baczność i zameldowałem się: "Panie Bellows, obliczyłem naszą pozycję za pomocą sekstantu, chronometrów i Noriego". "Proszę mi to pokazać", odrzekł wchodząc do kabiny, gdzie na stole leżała mapa. "Boże, panie Summers, czy ma pan mikroskop? Toż to ledwie widać gołym okiem. Chyba włożę okulary". Przyjrzał się uważnie. "Zdaje się, że to jest nasz pokład rufowy. Nie zdziwiłbym się, gdyby zaznaczył pan tę kabinę. Czy brał pan pomiary stojąc na dachu?" "Nie, sir".

Pogrzebał w kieszeniach i wyjął ogryzek ołówka, grubego jak palec. Chwycił go jak sztylet i dookoła mojej "pozycji" narysował wielkie kółko. "O, tak"

powiedział. "Teraz możemy stwierdzić, że nie znajdujemy się na Dartmoor, ani też dalej niż pięć mil od skały Eddystone, ale gdzie stoimy wewnątrz tego koła, wie tylko sam pan Bóg".

— Niewdzięcznik.

Charles parsknął śmiechem.

— Skądże znowu. To nie była przyjemna lekcja, ale z czasem ją doceniłem. Taką samą lekcję dałem Taylorowi, który bardzo czegoś takiego potrzebuje i wyobraża sobie, że znamy nasze położenie co do szerokości deski, chociaż jest prawdziwym, jak to powiedziałeś, "huncwotem" i bardziej się przyda marynarce niż niejeden z nas.

— Zdaje się, że ta lekcja miała cię nauczyć ostrożności.

— Otóż to. Rzadko się zdarzało, by ostrożność nie pomogła mi obrać prawidłowej linii postępowania.

— Czy to dlatego nie chcesz, aby naprawiono fokmaszt?

— Chcę, żeby go naprawiono! Gdyby wiatr opadał stopniowo, aż do zupełnej ciszy...

— Dlaczego stopniowo?

— Nagła cisza pozostawia wzburzone morze i wówczas nie ma jak manewrować statkiem. To nie pora na stawianie podpór i naciąganie masztu.

— Ach, jaki księżyc... można się zanurzyć w jego blasku... pływać nawet. Czy jest coś równie pięknego? Matka Natura wszelkimi sposobami kusi nas, abyśmy uwierzyli, abyśmy przystali na przeróżne filozoficzne anodyny.

— Nie znam tego słowa.

— Kiedy poznam tajniki nawigacji?

— Obawiam się, że musimy odłożyć to na później.

— Zajmę się tym już na łądzie. Ale wówczas nie będę miał horyzontu. No cóż... pojedę wtedy nad morze.

— Nie musisz. Możesz przecież zmierzyć wysoko-

ści biorąc kąt między, powiedzmy, słońcem i jego odbiciem w kąpeli rtęciowej.

— I wziąć połowę kąta! Jakie to proste!

— Wiedziałaś to od razu?

— Przecież to oczywiste.

— Dla młodego Willisa takie rozwiązania wcale nie są oczywiste, a nawet dla Taylora.

— Pan Benet natomiast nie potrzebuje nawet sekstantu. Posłużyłby się zliczeniem nawigacyjnym albo kąpielą rtęciową.

— Zliczenie nawigacyjne nie jest takie złe, pod warunkiem, że wiadomo, co się robi. Pan Bellows potrafił mówić jak z książki, kiedy miał na to ochotę. Kazał mi wpisać do mojego dziennika i nauczyć się na pamięć takiego zdania: “Dokładność zliczeń nawigacyjnych więcej zadziwia żeglarzy, niż rozczarowuje ich niedokładność”.

— Rzeczywiście potrafił mówić jak z książki!

Naszą rozmowę przerwała ceremonia rzucania logu. Czynność tę wykonywano co godzina, a do moich obowiązków należało wpisywanie odczytów na tabliczkę kursową. Ogromnie mnie to interesowało, chociaż wkrótce spowszedniało mi do tego stopnia, że prawie nie zauważałem, co się dzieje. Po pierwszym razie zapadło długie milczenie. Żaden z nas nie miał ochoty rozmawiać. Od czasu do czasu wielkie chmury przesłaniały księżyc, lecz ponieważ były poszarpane na brzegach, docierało do nas tyle samo światła, co od pełnego księżyca. Wspiąłem się na pokład rufowy, skąd obserwowałem nasz kilwater. “Ciało”, które wcześniej wnoszono z takim mozołem, leżało teraz przywiązane linami do relingu na prawej bakburcie. Przymocowano do niego dwie liny, które przechodziły ponad relingiem rufowym i ginęły pod sterem. Oczywiście! Jedna z nich była liną z wychodka, za to ta druga wydała mi się nader tajemnicza. Niespodziewanie nasz spokojny kilwater wybuchnął

fontanną brylantów. Księżyc wypływał zza chmury. Odwróciłem się i zszedłem na dół, gdzie Charles stał tuż przy schodkach. Chciałem zadać mu pytanie, lecz w tej samej chwili coś mi przerwało.

— Charles... co to jest?

— Marynarze na wachcie.

— Śpiewają?

Widziałem ich wyraźnie, nie w cieniu relingu czy po przeciwnej stronie masztu, lecz przy kołowrocie na forkasztelu. Opierali się o niego. Ich śpiew... prawdziwy śpiew... płynął ku nam, delikatny jak fale i wiatr, tajemniczy jak blask księżyca. Podszedłem do relingu pokładu rufowego i wychyliłem się, żeby lepiej słyszeć. Może mi się tylko wydawało, ale chyba zwrócili się w naszą stronę, jakby dostrzegli publiczność i byli jej radzi. Śpiew przybrał na sile.

— Co się stało, Edmundzie?

Charles stanął obok mnie.

— Śpiew!

— To tylko marynarze.

Umilkli. Ktoś wyszedł z forkasztelu i coś do nich mówił. Koncert dobiegł końca. Pozostał księżyc, gwiazdy i migoczące morze.

— To przerażające, że wykorzystujemy wszystko, co jest tam, w górze... posługujemy się gwiazdami, a słońce traktujemy jak zwyczajny drogowskaz!

W głosie Charlesa wyczułem wahanie, a może nawet nieśmiałość.

— Nie można wpatrywać się w niebo, nie myśląc jednocześnie o swoim Stwórcy.

Nowa chmura pochłaniała księżyc. Woda i statek znieruchomiały.

— Naiwny pogląd. Kiedy patrzę na mój repetier, nie myślę za każdym razem o rzemieślniku, który go wykonał!

Obrzucił mnie przeciągłym spojrzeniem. Miał na twarzy księżycową maskę; zapewne miałem taką samą. Przemówił z namaszczeniem:

— “Gdy się przypatruję niebiosom Twoim, dziełu palców Twoich, miesiącowi i gwiazdom, któreś wystawił...”

— To wiersz! Sam Milton by się tego nie powstydział!

— Psalmi pisane są prozą.

— Dlaczego myśl przełożona na język poezji brzmi prawdziwiej niż wyrażona liczbami, jak Norie?

— Jesteś dla mnie za mądry, Edmundzie.

— Nie chciałem... och, zachowałem się jak imper- tynent! Wybacz mi!

— Czyżbym został obrażony? Nie zauważyłem tego. Jest jednak pewna różnica między nieboskłonem i zegarkiem.

— Tak, oczywiście. To prawda. Usiłowałem sprowokować dyskusję, co — jak myślę — jest jednym z bardziej paskudnych efektów edukacji dżentelmena. Poezja sama w sobie jest tajemnicą... jak i proza... jak wszystko inne... kiedyś traktowałem poezję jak rozrywkę. Ona jednak jest czymś więcej, znacznie więcej. O, Charlesie, jestem tak strasznie, tak beznadziejnie, tak bardzo zakochany!

Charles Summers milczał. Księżycowe maski na naszych twarzach sprawiły, że moje wyznanie stało się nieuniknione. Wyrwało mi się mimo woli:

— Milczysz. Czy sprawiłem ci przykrość? Przepraszam, że poruszam sprawy, które muszą wydawać się nieistotne wobec tego, co tu się dzieje... że wplątuję je do rozmowy o religii, która tyle dla ciebie znaczy. Doprawdy nie rozumiem, dlaczego chcesz mnie słuchać. Ale ty już taki jesteś.

Pierwszy oficer podszedł do steru i zaczął rozmowę z marynarzami. Długo wpatrywał się w kompas. Zaniepokoiłem się, że coś się stało, ale po chwili stał już przy mnie.

— Czy to jest ta młoda dama, którą poznałeś na pokładzie Alcyone?

— A któż by inny?

Zamyślił się.

— Rzeczywiście. Nie wątpię, że jest równie cnotliwa jak piękna....

— Nie mów tak, jakby cnota była cechą starości! Nie wiem czy należy się tym radować, czy martwić?

— Nie rozumiem.

— Pewien człowiek popełnił akt cudzołóstwa z pe

wną kobietą... a ona, Marion Chumley, stała na straży, musiała na to przystać, widziała, współuczestniczyła zatem... Och, serce mi pęka na samą myśl!

— Chyba nie chcesz powiedzieć...

— Jeżeli nawet odegrała tam rolę najbierniejszą z biernych, to jest zupełnie inną istotą niż ta, którą wtedy ujrzałem, poznałem, z którą rozmawiałem. Na domiar złego ja płynę do Sydney Cove, a ona do Kalkuty! Trudno o większą odległość między dwojgiem ludzi. Nie wyobrażasz sobie, co to znaczy.

— Znam przynajmniej tę młodą damę. Widziałem ją. Pamiętasz chyba, że jako człowiek, który stroni od tańców, podczas balu pełniłem wachtę. Widziałem, jak tańczyliście.

— No i co?

— Czego ode mnie oczekujesz?

— Nie wiem.

— Widziałem ją także następnego dnia o poranku. Stała przy prawej bakburcie Alcyone i wpatrywała się w burtę naszego statku, jakby chciała zobaczyć, co dzieje się w jego wnętrzu. Ty tam byłeś, nieprzytomny, trawiony gorączką. Rozmyślała o tobie.

— Skąd to wiesz?

— Jak myślisz?

— Od Beneta?

Machnął ręką.

— Nigdy w życiu!

— Kto ci to powiedział?

— Nikt. Sam to wiem.

— Och, zmyślasz, żeby mnie pocieszyć!

Charles odpowiedział mi z uśmiechem:

— Zatem to jest ta młoda dama “dziesięć, może dwanaście lat młodsza ode mnie, z dobrej rodziny, zamożna...”

— Czy to są moje słowa? Zanim ją spotkałem, rzeczywiście myślałem w taki paskudny, wyrachowany sposób. Musisz mną za to gardzić.

— Wcale nie.

podszedł do relingu, zatrzymał się i popatrzył na bok statku. Wrócił i oparł się o barierkę pokładu rufowego.

— Księżyc schodzi coraz niżej.

Od strony forkasztełu dolatywał do nas cichy śpiew. Przemówiłem, zniżając głos do szeptu:

— Póki żyję, nie zapomnę tej środkowej wachty. Będę ją wspominał jak... wyspę... nie z tej ziemi... wyspę z blasku księżycyca... porę zwierzeń, kiedy mężczyźni mogą sobie powiedzieć... wyznać tej przeobrażonej twarzy to, czego nigdy nie wyznaliby w świetle dnia.

Charles milczał.

— Pomyśl tylko, Charlesie. Gdyby Deverel nic wymknął się pod pokład, żeby się napić, nie stracilibyśmy steng i ona nigdy by się nie dowiedziała o moim istnieniu!

Parsknął śmiechem.

— Oboje nie wiedzielibyście o swoim istnieniu! Przez chwilę mignął mi dawny “lord Talbot”.

— Myślisz, że możesz robić głupie miny, bo cię nie widzę w cieniu tej budy? Wcale nie musiałyby tak być. Przecież mogliśmy się poznać w zaciszu jakiegoś salonu. A jednak... Czy ona może powrócić do dziewczęcych marzeń o kimś innym... To niemożliwe!

— Nie zapomni o tobie.

— To ładnie z twojej strony, że tak mówisz,

— Nie. Znam się na kobietach.

Musiałem się roześmiać.

— Mówisz poważnie? A to skąd? Ty, wytrawny wilk morski, huncwot, niezrównany mistrz w swoim zawodzie i znawca życia na statku?!

— Nie zapominaj, że angielskie statki są rodzaju żeńskiego. Rozumiem kobiety. Ich uległość, delikatność, podatność na wpływy... a przede wszystkim ich przemożną potrzebę dawania...

— Panna Granham, pani Brocklebank! A sawan- tki? To nie leży w naturze kobiecej! Milczał czas jakiś, po czym odezwał się cedząc słowa, jakby uznał się za pokonanego w dyskusji.

— Chyba nie.

Przeszedł na rufę, gdzie odbywało się kolejne rzucanie logu.

— Pięć i pół węzła, Edmundzie. Zapisz.

— Wspominając tę podróż... jeżeli dożyję jej końca... będę pamiętał, że pomimo wielu niebezpieczeństw łączyły się z nią także pewne korzyści.

— Niezależnie od tego, czym się okażą, pozwoliły ci dotrzeć prawie do końca środkowej wachty.

— Nie jesteś miły.

Udał, że to, co dzieje się na statku, pochłania go bardziej niż moje sprawy. Rozległ się gwizdek i pokład ożył. Następna wachta ustawiała się przed for- kasztelelem. Ujrzałem pana Smilesa, a tuż obok pana Taylora, który ziewał jak kot. Smiles i Charles dokonali rytualnej zmiany. Marynarze rozbiegli się, by zająć swoje miejsca przy sterze, na rufie i na pokładzie górnym. Członkowie wachty schodzącej znikali w forkasztele. Rozległo się osiem szklanek, dwa razy po cztery.

Charles stanął obok mnie.

— Aspirant Talbot jest wolny do północy w dniu jutrzejszym.

— Wobec tego dobranoc, a może dzień dobry. Będę pamiętał tę wachtę do końca swoich dni... przez pięćdziesiąt lat... albo i dłużej!

Roześmiał się.

— Powiedz to po roku albo po dwóch latach służby!

To ja miałem rację, nie on.

Nagle poczułem ogromną senność. Ziewałem jak pan Taylor. Otworzyłem drzwi do swojej kabiny i spostrzegłem, że latarnia zgasła. Nadal wydawało mi się, że rozmawiam z Charlesem. Po ciemku zdjąłem płaszcz przeciwdeszczowy i buty, rzuciłem się na koję, zahaczając o jakąś śrubę lub kółko. Zakląłem, lecz nie bacząc na nic zapadłem w kamienny sen.

Upłynęło wiele dni, zanim w swojej ignorancji zorientowałem się, co zaszło. Charles podjął się środkowej wachty częściowo z myślą o pozostałych oficerach, chociaż — jestem tego pewien — w większej mierze w trosce o mnie. Chciał oszczędzić mi nocy w tej ponurej kabinie! Postąpił podobnie jak wówczas, gdy dał mi suchą odzież. Ten nadzwyczajny człowiek odwzajemniał okazywany mu respekt tak wielką dobrocią, ciepłem i troskliwością, jakich nie zaznałem od czasów starej Dobbie, a może nawet jeszcze dawniej! Cechowała go troskliwość wyrażana gestami pozornie nieistotnymi. Dysponował czymś w rodzaju nauki lub wiedzy o gospodarskiej zapobiegliwości, skrętnie gromadzonych drobiazgach, małych podstępach, fortelach, do których nigdy się nie przyznawał, chociaż ostatecznie spotykały się ze zrozumieniem wdzięcznego odbiorcy. Cecha ta w przypadku tego wytrawnego marynarza wydała mi się zaskakująca... chociaż wcale nie taka niezwykła, jeżeli wziąć pod uwagę, że był tu gospodarzem czyli właścicielem sklepu i “ochmistrem” statku lub oficerem odpowiedzialnym za jego zasoby!

Zapadłem w sen, księżyc zaszedł i wstało słońce, chociaż nie w mojej mrocznej kabinie. Przyznaję, że Phillips musiał mnie mocno szarpać, abym się obudził. Nie pozwalał mi ponownie zasnąć.

— Odejdź, człowieku. Zostaw mnie w spokoju.

— Sir! Proszę się obudzić!

— Czego chcesz?!

— Musi pan wstać, sir. Kapitan pana wzywa.

— Po co?

— Zaraz będzie ich ślub!

Ślub na morzu! Taki pomysł nie obejdzie się bez

przeróżnych komentarzy. Także na naszym statku. Komentarze! Ile ich było podczas zaręczyn! Teraz... Gdybyś, czytelniku, dowiedział się o tym fakcie dopiero w tej chwili, mógłbyś najpierw pomyśleć: "Nie mogą poczekać?", a następnie: "Aha, widocznie nie mogą!" Ale cały statek wiedział znacznie więcej. Wiadomo było (w szacownej przedniej części statku!), że ten człowiek leży na łożu śmierci. Jego powody nie mogły stać się źródłem żartów. Zorientowałem się, że na rufie panują opinie neutralne lub nawet przychylne. Należy pamiętać, że osoba, którą zamierzał poślubić, przeszła na morzu prawdziwą przemianę. Panna Granham wychowała się w dostatku, lecz przez śmierć ojca, pastora Granhama, została niejako zmuszona przejąć manieri i wygląd skromnej guwernantki. W obliczu nieoczekiwanej perspektywy związku z człowiekiem sytuowanym lepiej nawet niż pastor kościoła anglikańskiego, pospieszenie odrzuciła zarówno owe manieri, jak i wygląd. Czy mogę mieć pewność w kwestii manier? Myślę, że zawsze była istotą dystygowaną, inteligentną i... poważną. Zaczynałem także odkrywać w niej pewne, nieoczekiwane i zarazem pożądane, ciepło. Wszystko to razem sprawiło, że jej uległość wobec względów, jakie w przedziwny sposób okazał jej ten człowiek, sprawiła mi przykrość większą, niż potrafiłem to sobie wytłumaczyć! Zdaje się, że była pierwszą damą, która zwróciła moją uwagę na godność przynależną płci... czułem się zawiedziony! Ach, ten młody człowiek! Niemniej jednak, okoliczności ich ślubu nie napawały radością. Równie dobrze można było uronić nad nim łzę, do czego zawsze skore są słabsze przedstawicielki kobiecego rodu.

Postaram się o możliwie wierną relację z tego wydarzenia. Moje sprawozdanie musi dorównać raportowi kapitana Cooka, chociaż zebrani na pokładzie nie byli czarnymi dzikusami, lecz należeli do białej rasy, a niektórzy spośród nich do szlachetnie urodzonych. Wyglądało to tak, jakby wszyscy postanowili pokazać chociaż cząstkę prawdziwej natury ludzkiej... wrodzoną zabobonność, dwomość i radość, kiedy przymus prokrecji nakazuje słać zwierzę ukryte w człowieku!

Oto szczegółowa relacja. Będzie tu więcej o niej niż o nim. O świcie panie East, Pike i Brocklebank odwiedziły pannę Granham. Podobno musiały ją długo przekonywać, aby zrezygnowała z marynarskiego przyodziewku. Cała żeńska część naszego grona uważała, że panna młoda musi złożyć tę ofiarę w stosownym stroju! Gra pozorów! Prettiman konał... chociaż one o tym nie wiedziały... a ofiara i tak już została... to bardzo skomplikowana sprawa. Niemniej jednak wszyscy wymieniali serdeczności, żarciki, a nawet całkiem' sprośne dowcipy, wychylono także kilka toastów, jak to zwykle bywa przy podobnych okazjach. Pan Tommy Taylor, co było nieuniknione, przebrał miarę. Nawiązując bowiem do hipotetycznego i nierealnego miodowego miesiąca, rzucił tym swoim dyszkantem, przerywanym jak zwykle śmiechem hieny... piszę "jak zwykle", chociaż w miarę upływu czasu coraz częściej odnosiłem wrażenie, iż młodzieniec ów przemienia się w prawdziwą hienę... straciłem wątek. Otóż w obecności co najmniej jednej damy pozwolił sobie zauważyć, że panna Granham niedługo stanie się podobna do liny. Zapytany, na czym ma polegać to podobieństwo, odparł, że panna młoda wkrótce zostanie "wypełniona, uszczelniona i owiązana". W przypiływie słusznego oburzenia przyłożyłem mu w głowę, aż zadudniło, i z prawdziwą radością zauważyłem, że przez dłuższy czas nie mógł dojść do siebie.

Grono zebrane w holu przedstawiało widok wspaniały i wzruszający. Procesja emigrantów nadciągnęła z niewłaściwej strony, przez pokład działowy, gdzie nie wolno było im wchodzić. Nieproszeni, wymieszali

się z pasażerami... pan Brocklebank zrezygnował ze swojego płaszcza i wystąpił spowity w jakiś różowy materiał! Panowie przypięli kokardy, niektóre, mniemam, pamiętające znacznie weselsze czasy. Damy przygotowały się nader starannie i wszystkie wyglądały bardzo schludnie. Ma się rozumieć, że i ja przywdziałem odpowiedni strój. Bowles i Oldmeadow nie musieli się przebierać. Mały pan Pike nie pokazał się. Rozmowom i śmiechom nie było końca. W pewnej chwili nastąpiła niezwykła przemiana, niczym "uśmiech niebios" przeznaczony dla uczestników tej uroczystości! Rozległ się nie znany nam hałas. Okazało się, że od strony pokładu marynarze ściągają płócienną osłonę, a następnie pokrywę świetlika. Do holu wpadło rozproszone światło dzienne, co sprawiło, że nasze pomieszczenie upodobniło się do wnętrza starego wiejskiego kościołka. Jestem przekonany, że wydarzenie to, przywołując wspomnienie odległych miejsc, dało asumpt do niejednej łzy i niejednego uśmiechu.

Wybiła szóstka szklanka, obwieszczając przedpołudniową wachtę. Wniesiono płócienny fotel z kabiny Prettimana. Zapadła cisza. Wkroczył kapitan Anderson, bardziej posępny niż zazwyczaj, tuż za nim Benêt z grubą brązową księgą pod pachą, która — jak słusznie wywnioskowałem — okazała się naszym dziennikiem okrętowym. Kapitan miał na sobie ten sam wspaniały mundur, w którym wystąpił podczas kolacji na pokładzie Ałcyone. Wyobraziłem sobie, jak pan Benêt (jako oficer flagowy) radzi mu półgłosem: "Mniemam, sir, iż wypada pokazać się w stroju galowym". Benêt, oczywiście, nie omieszkał ubrać się w swój odświętny uniform. Nie wykluczam, że kierował się intencją oddania poetyckiego hołdu pannie młodej. Nieszczęsny pan młody pozostał, rzecz jasna, na łóżu boleści.

Weszła panna Granham. Wszyscy wstrzymali oddech, po czym zapanowało poruszenie, aż wreszcie zapadła cisza, jak makiem zasiał. Panna Granham wystąpiła w bieli! Suknia mogła być jej własna, trudno mi wypowiadać się w tej sprawie. Welon natomiast, za którym się skryła, dawniej zasłaniał oblicze pani Brocklebank. Tego jestem pewien, dobrze bowiem pamiętam tę prowokującą zasłonę. Za oblubienicą wyłoniły się z jej kabiny... jak one się tam pomieściły?... panie: East, Pike i Brocklebank. Panna młoda przeszła kilka kroków do kabiny pana Prettimana. Stąpała z wdziękiem, którego wcale nie umniejszał fakt, iż na wszelki wypadek trzymała dłoń tuż nad poręczą. Kobiety dygały, mężczyźni składali ukłony lub chylili głowy. Panna Granham przestąpiła próg i znalazła się w kabinie narzeczonego. Benet zatrzymał się przed progiem. Wraz z Oldmeadowem przepchnęliśmy się do drzwi. Benet, jak w transie, wpatrywał się w plecy panny Granham. Pociągnąłem go za rękaw.

— Jesteśmy świadkami. Proszę nas przepuścić. Benet nareszcie się odsunął. Przez tłum przeszła fala szeptów. Panna Granham stanęła przy koi, tuż przy ramieniu Prettimana. W tej samej chwili spostrzegłem coś... coś tak oczywistego, że nikt chyba nic zwrócił na to uwagi. Prettiman leżał głową w kierunku rufy!

Panna Granham podniosła woalkę. Wydaje mi się, że zazwyczaj oblubienica nie stoi twarzą do kongregacji... ale tutaj wszystko było niezwykle. Miała zaróżowione policzki, zapewne z powodu onieśmienia. Barwiczka nie daje takiego odcienia.

Przejdę teraz do opisu całej serii odkryć, które wstrząsnęły Edmundem Talbotem. Po pierwsze, panna młoda odsłaniając twarz potrząsnęła głową, co sprawiło w ruch jej kolczyki. Były to granaty, które ostatnio widziałem w uszach Zenobii Brocklebank podczas tego przelotnego epizodu, kiedy to miałem z nią sprawę. Przypomniałem sobie, jak te łańcuszki

fruwaly, gdy ich właścicielka dała się ponieść namiętności! Poczulem się zażenowany, chociaż muszę przyznać... może pod wpływem ogólnie panującego nastroju usankcjonowanej frywolności... że ów fakt mi pochlebiał.

Panna Granham trzymała w dłoniach wiązanekę. Nie wiedziała, co z nią zrobić, ponieważ nie miała żadnej drużyny, a jedyną osobą, która oficjalnie mogła przejąć ów bukiet, była panna Brocklebank, złożona niemocą w swojej kabinie. Kwiaty nie były z materiału, jak kokardy niektórych uczestników zebrania. Wiązanekę zrobiono z prawdziwych kwiatów, z prawdziwym przybraniem! Panna młoda, pozbawiona drużyny, wyciągnęła rękę i wcisnęła bukiet w moje dłonie! Każdy wie, co czeka szczęśliwą wybrankę losu, która otrzyma ślubną wiązanekę. Z piersi Old- meadowa wyrwał się krótki okrzyk, po czym wszyscy zebrani ryknęli śmiechem. Natychmiast poczerwieniałem bardziej niż panna Granham. Ścisnąłem ten dar, czując pod palcami kruchość i chłód prawdziwych łodyg i liści. Zebrano je, nie było innej możliwości, w prywatnym rajku kapitana Andersona! Niechybnie nakłonił go do tego Benêt: "Mniemam, sir, że wszyscy będą zadowoleni, jeżeli uhonoruje pan tę damę kwieciem z pańskiego ogrodu!"

Następnego, i ostatniego, wstrząsającego przeżycia dostarczył wszystkim, którzy go słyszeli, kapitan Anderson. Otworzył książeczkę do nabożeństwa, odkaslnął i zaczął:

— Człowiek, narodzony z niewiasty...

O Boże, toż to egzekwie! Panna Granham, jako osoba wykształcona, pobladła. Nie wiem, jak ja zareagowałem, lecz gdy ponownie popatrzyłem na mój bukiet, wyglądał nader żałośnie. Jeżeli po tej strasznej pomyłce padły jakieś słowa, nie dosłyszałem ich w eksplozji histerycznego śmiechu, po czym od strony naszego irlandzkiego kontyngentu dobiegł mnie szelest, ponieważ wszyscy tam zebrani raz po raz zegnali się znakiem krzyża. Benêt pchał się do kajuty, więc musiałem go przyciągnąć na właściwe miejsce. Kapitan Anderson nerwowo przerzucał kartki modlitewnika, który w tak niefortunnym miejscu otworzył... a może książeczka sama dokonała wyboru... upuścił ją, podniósł i znowu wertował. Trzęsły mu się ręce, skądinąd tak przywykłe do działania w nagłych i niebezpiecznych sytuacjach. Korzenie naszego istnienia zostały obnażone i zadrżeliśmy z trwogi.

Czytał głosem stanowczym i nabrzmiałym wściekłością.

— Kochani...

Atmosfera z trudem powracała do normalności. Pan East, mamrocząc pod nosem coś, co zapewne było przeprosinami, wepchnął się przede mnie i kapitana, i ujął dłoń panny młodej. Benêt znowu rwał się do przodu, więc znowu starałem się go powstrzymać. Syknął tylko pod moim adresem:

— Ja mam obrączkę!

Stało się. Wydawało mi się, że na twarzy panny młodej dostrzegłem cień przygany, gdy zorientowała się, że jest, dosłownie, przekazywana z ręki do ręki. A może to tylko moja wyobraźnia..? Wszyscy starali się zachować spokój. Ponieważ nie zgłoszono żadnych obiekcji, od tej chwili ta stara panna i ten stary kawaler mogli razem robić wszystko, na co mieli ochotę. Anderson nie złożył życzeń ani pannie młodej, ani panu młodemu. Uchybienie to może nawet było całkiem na miejscu, biorąc pod uwagę, jak niewiele radości mogli oczekiwać od tego związku. Kapitan pochylił się nad pulpitem i zajął się dokumentami. Otworzył dziennik okrętowy, sygnował akta na otwarte; stronicę, po czym podał księgę Prettimanowi, który nie sprawił się najlepiej, złożył bowiem swój podpis do góry nogami. Panna Granham, łamiąc tradycję, podpisała się swoim nowym

nazwiskiem, Letycja Prettiman, dużymi literami. Przyszła kolej na mnie i Oldmeadowa. Kapitan wyrecytował formułkę przeznaczoną dla panny młodej, jakby wręczał jej jakiś kwit, mruknął coś pod adresem Prettimana, pozdrowił zebranych skinieniem głowy i wymaszerował, zabierając ze sobą dziennik okrętowy. Jestem przekonany, że wychodził z uczuciem, iż ta zacna księga została nieco ośmieszona tak niezwykłym wpisem.

Do nas należało zamknięcie ceremonii. Szeptem złożyłem życzenia pani Prettiman i dotknąłem ręki pana Prettimana. Była zimna. Strumienie potu spływały mu po opuszczonych powiekach. Przypomniałem sobie mój genialny pomysł polepszenia jego doli i już chciałem się nim podzielić, kiedy solidny kuksaniec w plecy uprzytomnił mi, że Benét i Oldmeadow czekają na swoją kolej. Odwróciłem się urażony, gotowy do kłótni, sam nie wiem dlaczego. Wszyscy zebrani usiłovali wepchnąć się do środka, więc miałem pewne trudności z odstąpieniem od koi. Ci ludzie nie mieli żadnych manier. Wydawało się, że zależy im wyłącznie na uściśnięciu dłoni konającego. Pierwszy z nich chciał całować Prettimana w rękę, lecz ten powstrzymał go słabym głosem.

— Daj spokój, człowieku! Wszyscy jesteśmy równi!

Prześliznąłem się na zewnątrz. Chciałem zaczerpnąć świeżego powietrza. W rękę ścisnąłem wiązanekę, która była w opłakanym stanie. Jeden kwiat wydał mi się bardzo egzotyczny... zdaje się, że to orchidea. Wydostałem się na pokład, żeby wyrzucić bukiet za burtę, czego jednak nie uczyniłem. Mój służący, Phillips, właśnie wychodził z kabiny Prettimana.

— Phillips! Wstaw to do wody i zanieś do kabiny panny... pani Prettiman.

Otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, ale wyminąłem go, wszedłem do swojej kabiny i zamknąłem drzwi. Przebrałem się w marynarskie sorty i usiadłem przy pulpicie, chociaż nie wiedziałem po co. Oparłem na nim czoło, potem przekartkowałem jakąś książkę. W końcu przeniosłem się na koję i kompletnie ubrany leżałem, bezmyślnie i beczynnienie.

Właśnie spojrzałem na dwa ostatnie wyrazy. Jakie dziwne i zupełnie obce! Mógłby je napisać Chińczyk albo Hindus... bezmyślnie i beczynnienie. Nic, nic, nic. Roześmiałem się na głos, co zabrzmiało jik prawdziwa caccia, która mimo woli wyrwała mi się z płuc. Charles zapewniał, że panna Chumley mnie nie zapomni. Panna Granham... pani Prettiman... dała mi znak. Rzuciła mi swoją wiązanekę! Teraz kolej na mój ślub!

Mimo to dalej leżałem na plecach i czułem, jak łzy spływają mi z kącików oczu do uszu i na poduszkę.

Zasnąłem! Stało się to za sprawą nagle odmienionego zachowania naszego otoczenia. Przez cały czas żyliśmy osaczeni przeróżnymi dźwiękami. Towarzyszył nam nieustannie chlupot wody, odgłosy charakterystyczne dla życia na morzu, klaskanie bosych stóp o pokład, świst rur, przekleństwa miotane przez mężczyzn i kobiety, skrzywienie i stukot olinowania, jęk drewna, kłótnie coraz częściej wybuchające to tu, to tam... raz nawet zdarzyła się nam bójka. Uśpiła mnie po prostu cisza! Być może uroczystość ślubna wyczerpała mieszkańców tej części statku. Charles zwolnił sporą część załogi, pozostawiając tylko kilku marynarzy na wachtcie. Reszta, jak zwykle, skorzystała z okazji, by pójść spać. Ja również.

Obudził mnie szczeł łańcuchów, w które zakuwano Deverela! Podniosłem głowę i dopiero wtedy dotarło do mnie, że ten metaliczny zgrzyt dochodzi z części dziobowej, z kuźni Coombsa! Nadeszła ta chwila! Wyskoczyłem z koi, naciągnąłem buty i popędziłem na śródkręcie. Morze wyglądało jak bladoniebieski jedwab, a słońce, przesłonięte delikatną mgiełką, przypominało księżyc w pełni. Ani śladu wiatru. Benêt i kapitan doczekali się upragnionej ciszy!

Wróciłem do kabiny po latarnię, zapaliłem knot i zmniejszyłem płomień. Zacząłem schodzić po drabinkach... minąłem mesę... zszedłem jeszcze niżej, aż do kwater młodszych oficerów. Po raz pierwszy nie zastałem tam nikogo oprócz zgrzybiałego aspiranta Martina Daviesa, który obdarzył mnie tępym uśmiechem, nie ruszając się z hamaka. Odwzajemniłem to pozdrowienie, nie miałem bowiem innego wyjścia, i ruszyłem dalej ku dziobowi. Musiałem zwiększyć płomień, ponieważ z powały kapała woda, ale tym razem, dzięki Bogu, nie kołysało. Nawet latarnie w mesie wisały nieruchomo. W taką ciszę na morzu mógłbym biec z latarnią nawet wąskim przejściem wyłożonym deskami między stosami towarów. Miałem teraz okazję zobaczyć to, co wcześniej poznałem tylko dotykiem, węchem czy słuchem... potężny słup, chyba kabestan cumowniczy, niewyraźny blask dwu- dziesiętcofuntowego działa "zaszpuntowanego, nasmarowanego i opuszczonego"... a za nimi połyskującą taflę wody i żwir w zęzie. Szedłem korytarzem między dwiema ścianami o nieregularnych zarysach, utworzonymi ze skrzyń, skrzynek, toreb, worków różnej wielkości, z których część zdawała się wisieć tuż nad moją głową... Nie sposób opisać tę ładownię, po części widoczną, po części tylko wyczuwalną, przedzieloną wąskim korytarzem wzdłuż nadstępk! Po prawej stronie dostrzegłem drabinkę, zamocowaną przez pana Jonesa, która prowadziła do czegoś w rodzaju strychu, gdzie teraz mieszkał i urzędował! Zbliżałem się do potężnego cielska grotmasztu i pomp...

— Stać! Kto idzie?

— O co chodzi, do diabła?

— Boże! Lord Talbot! Znaczy się, pan Talbot! Co pan tu robi, sir? Mało brakowało, a nadziałby się pan na bagnety.

— Idę na przód statku...

Rozległ się tak potworny łoskot, że aż krzyknąłem:

— Idę na przód!

Kapral też wrzasnął:

— Mam inne rozkazy, sir! Niestety, sir!

Łoskot ucichł na chwilę.

— Ale... tam jest pierwszy oficer. Zapytaj go!

Strażnik wahał się, lecz kapral okazał się bardziej

roztropny i wysłał do Charlesa jednego ze swoich ludzi. Majtek wrócił z poleceniem, bym zaczekał, co mnie wcale nie zniechęciło... oparłem się wygodnie o coś... nie wiem nawet, co to było... i czekałem z obojętną miną. Nonszalanckim gestem zgasilem swoją latarnię. Marynarze nie kwapili się z żadnymi uwagami.

Przed sobą widziałem blask, słyszałem harmider. Wydawało mi się, że po części musi to być światło dzienne, sączące się przez świetliki i luki otwarte z uwagi na rangę tej operacji. Wyodrębniłem też przydymiony blask, który od czasu do czasu czerwieniał. Kilka iskier przecięło widoczną z mojego miejsca część pomieszczenia, gdzie odbywały się roboty. Rozległ się miarowy odgłos młota kującego żelazo, jakby ktoś podkuwał nasz statek. Dym i metaliczny dźwięk przywiodły mi na pamięć świat stajni, uprzęży, koni i żar paleniska w kuźni! Nie trwało to długo, bowiem nastąpiła zmiana... teraz doszedł nas głuchy odgłos bicia drewnianym młotem w drewno. Wytężyłem wzrok i unosząc do góry, absurdalnym gestem, zgaszoną latarnię... nie można nie podnieść latami, jeżeli chce się coś zobaczyć i akurat trzyma się ją w ręce... ujrzałem fragment konstrukcji unieruchamiającej maszt. Usztywniały go grube, naprężone liny przeciągnięte od jego pnia do śrub w ścianie ładowni. Dodatkowo po obu stronach umocniono go belkami. Głuchy łoskot ustał niespodziewanie, padł rozkaz i jedna z belek puściła z hukiem. Przestraszyłem się, nie ja jeden, ponieważ wokół masztu podniosło się straszliwe larum, natych

miast stłumione sławetnym rykiem kapitana. Prawdę mówiąc, przyjąłem go z zadowoleniem, bo niósł ze sobą poczucie bezpieczeństwa oraz wiedzę, co należy zrobić. Wkrótce... po kolejnych rozbłyskach, kuciu i biciu drewnianym młotem... zwała się druga belka³ tym razem na miękkie podłoże, bo doszedł nas jedynie głuchy odgłos upadku. Czekałem jeszcze dosyć długo, aż przydymiony blask poczerwieniał, zbladł i w końcu zgasł.

Teraz przyszła kolej na jęk i zgrzytanie metalu

o metal, które powtórzyły się kilkakrotnie, po czym ucichły. Światło zaczęło przygasać.

Trzask! Metal się kurczy, pomyślałem. Potem znowu zgrzyt i jeszcze raz trzask!

Podniósł się krzyk, który kapitan uciszył swoim rykiem. Był tam... widziałem go... jego trójgraniasty kapelusz! Stał przy gnieździe, pięcie, czopie, wypuście, czy jak to się nazywa... i raz jeszcze jego ryk zagłuszył odgłos upadku ostatniej belki.

— Spokój!

Buch.

Buch.

Buch!

Cisza.

Kapitan przemówił swoim normalnym głosem:

— Proszę kontynuować. Panie Benêt, można kontynuować.

Usłyszałem głos Benêta.

— Co teraz, panie Coombs?

— Niech się rozgrzeją, sir.

Znowu cisza. Jęk kurczącego się żelaza i przenikliwe zgrzytanie i trzeszczenie masztu.

Benêt:

— Woda. Żwawo!

Przeraźliwy syk i wznoszące się kłęby pary.
W nie kończącej się ciszy opary niknęły, maszt skrzypiał i jęczał.

— W porządku, chłopcy. Do roboty.

Ciemne postacie mężczyzn zaczęły wspinać się na drabinki. Kapitan odezwał się bardzo głośno, tak żeby wszyscy słyszeli:

— Panie Benêt, może pan sobie pogratulować. To przecież pan to wymyślił. Wraz z Coombsem.

— Dziękuję, sir.

— Wasze nazwiska zostaną wpisane do dziennika.

— Dziękujemy, sir.

— Panie Summers, proszę ze mną.

Widziałem, jak wspinają się na drabinkę za grotmasztem. Podszedł do mnie jakiś marynarz.

— Pan Benêt powiada, że może pan już wejść.

— Tak powiedział?

Zatrzymałem się przy maszcie, żeby się rozejrzeć. Spostrzegłem Benêta. Nawet w tym słabym świetle zauważyłem, że rozsadza go uczucie tryumfu. Nigdy jeszcze nie widziałem tak zadowolonego oblicza. Rozglądałem się z zaciekawionym. Operacja chyba się udała. Mogłem jedynie widzieć jej rezultat i zastanawiać się nad metodą. Ogromny walec masztu przechodził przez strop i zagłębiał się w drewnianym bloku. Nietrudno sobie wyobrazić jego wielkość, jeżeli sam maszt miał jard średnicy. Moim zdaniem bok tego bloku mógł mieć blisko sześć stóp. Jak wielkie było to drzewo! Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek przedtem widział tak ogromny kawał drewna. Blok spoczywał na kilsonie, elemencie konstrukcyjnym statku biegnącym nad stępką przez całą długość kadłuba. Miałem przed sobą bok kłoca, skierowany ku rufie, a na nim żelazną płytę, z której wystawały wielkie śruby. Tak zatem wyglądają te żelazne pręty, które po rozgrzaniu do czerwoności, do białości nawet, wrażono w suche jak hubka drewno, ryzykując spalaniem całego statku! Na górnej płaszczyźnie bloku nie było już śladu szerokiej szczeliny spowodowanej pracą masztu. Zamknęła się! Wielki Boże, wystarczyła moc kurczącego się żelaza, aby ścisnąć potężny drewniany blok do tego stopnia, że na jego powierzchni pojawiły się równoległe zmarszczki! Przerazające. Słowa same wyrwały mi się z ust:

— Dobry Boże! Dobry Boże!

Wyraz tryumfu nie zniknął z twarzy pana Benêta. Porucznik wpatrywał się w płytę. Poruszał ustami.

Twe oblicze skryte, choć forma tchnie mocą ta suchość, ten chłód, to ciepło i gorąco, wszelkie stany... wszelkie stany...

Zamilkł. Nareszcie mnie zauważył. Nie podejrzewam, by wcześniej udawał, że mnie nie dostrzega. Na jego twarzy pojawił się przyjazny grymas.

— Co pan na to, panie Talbot? Czy pojmuję pan, o co tu chodzi?

— Mniemam, że z tamtej strony znajduje się taka sama płyta...

— Obydwie są połączone prętami.

— Ale drewno... tam w środku... się pali!

Benêt machnął ręką lekceważąco.

— Tylko przez krótki czas.

— Czy zamierza pan spalić cały statek, zanim osiągną nas inne katastrofy? A może chce pan to trzymać w rezerwie, na wypadek gdybyśmy je szczęśliwie przeżyli?

Benêt był łaskaw się roześmiać.

— Proszę się nie niepokoić, panie Talbot. Kapitan Anderson wyrażał podobne obawy, lecz posługując się modelem, przekonaliśmy go wraz z Coombsem. Tunele w drewnie są znacznie szersze niż pręty. Nie ma tam dostępu powietrza. Po wyczerpaniu denu... głównego składnika

powietrza... żelazo zacznie stygnąć, a w kanałach zostanie jedynie cienka warstwa sadzy. Czy pojmuje pan, jak ogromną siłę wykorzystaliśmy do naszego celu?

— Straszliwą.

— Nie ma powodu do obaw. Nieczęsto zdarza się widzieć coś tak majestatycznie pięknego. Maszt wyprostował się w ciągu kilku minut!

— To znaczy, że możemy zacząć go używać. A także bezanmasztu. Nasza prędkość wzrośnie. I wcześniej dotrzemy do celu.

Benét uśmiechał się łagodnie.

— Nareszcie zaczyna pan rozumieć...

Miałem już ciętą ripostę na końcu języka, bo zaczynał mnie irytować ten protekcyjny ton, ale w tej samej chwili wewnątrz kłoca rozległ się huk, aż podskoczyłem.

— Co to było?!

— Jakieś naprężenia. Nic ważnego.

— Należało się tego spodziewać!

Ironia uszła jego uwagi.

— Ten odgłos to wydatek energii o średniej mocy. Twe oblicze skryte, choć forma tchnie mocą...

Pan Benét nie miał już ochoty rozmawiać.

— Drewno ciągle się pali... w środku!

— Ależ nie. Tam jest mnóstwo luzu. Pierwsza linijka to tetrametr. Do licha, przecież to nie jest pentametr jambiczny. Brakuje jednej stopy! Naturo, twe oblicze skryte, choć Forma tchnie mocą... Będę miał teraz problem z rymem, personifikując bowiem Naturę i wplatając Formę uderzam w tony platońskie, a wcale mi o to nie chodziło.

— Panie Benét... zdaję sobie sprawę, że znalazł się pan w pułapce żeglarstwa, inżynierii i poezji, lecz byłbym zobowiązany, gdyby zechciał pan podjąć naszą rozmowę. Wiem, że nie należy wtrącać się w prywatne sprawy dżentelmena, ale w związku z pańskim pobylem na Alcyone... kiedy zawarł pan znajomość z panną Chumley...

Ten dziwak dalej trwał w objęciach poezji.

— Nocą, migocą, wilgocą... To proste rymy, miłe

dla ucha. Może raczej: po co, bo co... plebejskie, nieznośnie wulgarne. Suchość i chłód, wilgoć, gorąco... a dlaczego nie wilgoć i suchość, gorąco, chłód...

Na nic moje wysiłki. Znowu coś strzeliło wewnątrz kłoca, aż echo poszło. Wyszedłem po drabince ku rozproszonemu światłu dnia, i dalej aż na śródokręcie, gdzie spostrzegłem, że słońce zniknęło za chmurami, a morze zaczyna się burzyć. W przedniej części pokładu panował tłok. Przy relingu na lewej burcie stali żołnierze Oldmeadowa z muszkietami. Oldmeadow cisnął do wody pustą butelkę i w tej samej chwili jeden z żołnierzy wystrzelił, robiąc przy tym wiele huk i dymu, i rozpryskując fontanny morskiej wody. Zebrane nie opodal młode kobiety wydały okrzyk strachu i podziwu, a butelka zaczęła powoli się oddalać. Nareszcie płyniemy! Podniosłem wzrok i spostrzegłem wydęte żagle na fokmaszcie i marynarzy wciągających reję na grotmaszt. Oldmeadow rzucił drugą butelkę. Rozległ się kolejny huk i ponownie ujrzeliśmy bryzgi wody. Druga butelka zachowała się podobnie jak jej poprzedniczka. Podsunąłem temu zacnemu wojakowi myśl, że można uwiązać butelkę na sznurku, przez co wystarczyłoby tylko jedna, lecz zignorował moją radę. Obcowanie z pospolitym i nieokrzyszonym żołdactwem bez wątpienia nie wychodziło mu na dobre. Nie zauważyłem żadnego z pasażerów.

Prawdopodobnie postanowili spędzić tę chwilę spokoju na swoich kojach.

Poczułem lekki wiatr na policzku. Wróciłem do holu i zajrzałem do sali jadalnej. Nie było tam nikogo, nawet małego Pike'a.

— Bates! Gdzie o tej porze jest pierwszy oficer?

— Nie mam pojęcia, sir. Może poszedł się przespać. Zszedłem do mesy.

— Webber, gdzie jest pan Summers?

Steward kiwnął głową w kierunku kabiny Charlesa

i dorzucił szeptem:

— U siebie, sir.

Podszedłem do drzwi i zapukałem.

— Charlesie! To ja!

Bez odpowiedzi. Ale od czego są przyjaciele? Zapukałem jeszcze raz i otworzyłem drzwi. Siedział na koi. Oburącz trzymał się drewnianej krawędzi. Utkwił wzrok w przeciwległej ścianie. Nie spojrzał na mnie, ani nie odwrócił się w moją stronę. Zauważyłem, że ma ściągnięte rysy i pomimo opalenizny jest bardzo blady.

— Wielki Boże! Go się stało?

Drgnął.

— Charlesie!

Wykrzywił usta w grymasie. Przysiadłem obok niego i położyłem rękę na jego dłoni.

— To ja... Edmund!

Podniósł drugą rękę i otarł twarz.

— Musisz mi powiedzieć! Czy coś ci dolega?

Milczenie.

— Charlesie, mam dobre wiadomości! Już wciągają żagle na wszystkie maszty!

Nareszcie przemówił.

— Trudności.

— Jakie trudności?

— Trudności. Tak mi powiedział. Poleciał mi, żebym przestał robić trudności.

— Anderson!

Charles zadrżał. Cofnąłem dłoń.

Mówił niewyraźnie.

— Czuję, że płyniemy. Udało mu się, co? Kompletna cisza podczas operacji... wiatr dopiero teraz. Dwa węzły więcej, twierdzi Anderson. Podał mi swoje racje. Bez ogródek.

— Jakie racje?

— Za tym poleceniem. Trudności. Jestem... nie podejrzewałem, że można czuć się aż tak upokorzonym. Najpierw ta lina... przecież uszkodziła kadłub. Nie ma żadnej pewności... Teraz... dla półtora węzła,

może dwóch, Benét wpuścił rozgrzane do białości żelazo w drewniany blok i... je tam zostawił!

— Twierdzi, że wewnątrz powstanie tylko cienka warstwa sadzy.

Spojrzał mi w oczy.

— Widziałeś go? Rozmawiałeś z nim?

— Owszem...

— Kapitan przykazał mi nie przeszkadzać Benétowi, rozumiesz? Taki znakomicie zapowiadający się młody oficer... i ja: tępy, niepotrzebny...

— On ci to powiedział?!

— Anderson powie wszystko w obronie swojego faworyta! Na razie nie podejmie żadnych działań, ale muszę się mieć na baczności... — Przerwał, po czym zasyczał z wściekłością, jakiej się po nim nie spodziewałem... — Muszę się mieć na baczności!

— Przysięgam ci, że spotka go za to należyta zapłata! Poruszę... poruszę wszystkie władze kolonii przeciwko niemu! Przysięgam...

Wciągnął powietrze, po czym odezwał się ostrym tonem:

— Miarkuj się! To jest bunt!

— To jest sprawiedliwość!

Milczeliśmy. Ukrył twarz w dłoniach. Ledwie dosłyszałem jego słowa, które sprawiły mi wielki ból.

— Nie pragnę sprawiedliwości.

Nie odzywaliśmy się przez dłuższą chwilę.

— Charlesie... wiem, że jestem tylko pasażerem... ale ta potworna...
Wyczułem gorycz w jego śmiechu.

— Owszem, jesteś pasażerem, ale mimo to możesz napytać sobie biedy! Czy wyobrażasz sobie, że — gdybyś zrobił to, o czym przed chwilą wspomniałeś — zatrudniono by cię ponownie albo że otrzymałbyś awans?

— Benét jest jak. meteor, pędzący błysk. Meteory zawsze spadają.

Charles wyprostował się.

— Czujesz, jak się posuwamy, nawet przy tym słabym wietrze? On chce podwoić naszą prędkość. Wspomnisz moje słowa... z każdym węzłem będziemy nabierać więcej wody!

— Benêt układa "Odeę do Natury".

— Doprawdy? Powiedz mu, że ona nigdy niczego nie oddaje za darmo.

— Nie omieszka, chociaż zabrzmiałoby to podejrzanie w moich ustach. Na pewno się domyśli, czyje to słowa.

Kolor powracał na wargi Charlesa.

— Dzięki ci, przyjacielu... czy nadal mogę cię tak nazywać?

— Na niebiosy! Nazywaj mnie, jak chcesz!

— Jesteś prawdziwym przyjacielem. Tylko ty potrafiłeś mnie szukać, aby przynieść mi pociechę, nikt inny... Wybacz. Nie zachowałem się jak mężczyzna.

— Jesteś wart stu Benêtów... dwustu Andersonów!

— Czy to jest moja latarnia?

Jego pytanie zbiło mnie z tropu. Powiodłem wzrokiem za jego spojrzeniem i uniosłem prawą rękę, w której trzymałem lampę.

— Nie. Prawdę mówiąc...

Wolałem niczego nie wyjaśniać. Po chwili milczenia wzruszył ramionami.

— Fasowana w porcie... Kto by się tym przejmował?

Nagle uderzył pięścią w otwartą dłoń.

— Taka poniżająca, zawstydzająca reprimenda! Jakże niesprawiedliwa... ja tylko odważyłem się mieć odmienne zdanie niż mój podwładny!

— Czy ktoś postronny to słyszał?

Potrząsnął głową.

— On przestrzega form. Sam widzisz... w tej sytuacji jestem bezradny. Kiedy dotarliśmy na pokład rufowy, odezwał się oficjalnym tonem: "Proszę do mojej kabiny, panie Summers". I dopiero tam

popatrzył na mnie spod tych swoich krzaczastych brwi, wysunął szczękę...

— Wiem! Już to widziałem!

— Jego słowa zraniły mnie do żywego.

— To dobrze, że możesz mi się zwierzyć. Wyobrażam sobie, jak się czułeś. Poprzysiągłem sobie, że sprawiedliwości musi stać się zadość... zgodnie z zasadą fair play \ Pamiętasz?

— O, tak! To było dawno temu... w czasach Colleya!

— Co można zrobić w tej chwili? Czy potrafisz się uśmiechnąć?

— Zauważyłeś?! Wiatr się nasila. Kapitan i oficer dyżurny... niech sami sobie radzą.

Pomyśl, Edmundzie, co by było, gdyby wiatr zerwał się kilka godzin wcześniej... Sam się dziwię swojej nikczemności! Chciałem wtedy... nie, nie. Maszt już naprawiony, nasza prędkość rośnie, a ja jestem zadowolony!

— Wszyscy musimy być zadowoleni.

— Ale powiadam ci, Edmundzie, ten ogień w gnieździe masztu... Postawię tam kogoś na wachcie, dopóki żelazo nie wystygnie. Nic więcej nie można zrobić. Muszę o tym wszystkim zapomnieć i dotrzeć do końca kontraktu... Dlaczego jesteśmy tak zrobieni, że kilka ostrych słów z ust rozłószonego człowieka znaczy dla nas więcej niż perspektywa śmierci?

— Za żadną cenę nie możemy dopuścić, żeby ktokolwiek się dowiedział...

— Na tej łajbie? Nie widziałem drugiego podobnego statku, na którym wiadomości i plotki roznosiłyby się w tak błyskawicznym tempie!

— Ta sprawa musi pójść w zapomnienie.

— Na pewno nikt nie zapomni tej podróży, która zasługuje na miano najdłuższej w historii.

— Ty, w każdym razie, musisz przejść do potomności jako porucznik, który został

komandorem Summersem, a następnie słynnym kontradmirałem!

Charles poczerwieniał.

— Obawiam się, że to pozostanie w sferze marzeń.

— Kiedy uratowałeś mnie od obłądu, dając mi suchą odzież... czy wiesz, że już nic mnie nie świerzbi?... opowiedziałem ci przypowieść o Glaukosie i Diomedesie. Wątpię, czy mówi ci ona coś więcej, niż poszczególne części masztu lub tajemnice nawigacji mają mnie do powiedzenia. Ale do rzeczy... W trakcie wielkiej bitwy dwóch przeciwników odkryło, że są spokrewnieni...

— Już raz ci mówiłem, że nie mam żadnej rodziny i że wolę to niż pokrewieństwo z Benetem albo Andersonem!

— Zastanów się! Tak jest lepiej. Zwyczajna ludzka zawziętość. Można by napisać niezłą powieść, gdyby się okazało, że zarówno ty jak i Benet jesteście żabojadami! Ale ja przyrównałem tych wojowników do ciebie i do mnie.

— O! Przepraszam.

— Rzucili broń i na pamiątkę zamienili się zbrojami. Bogowie odebrali im rozum, żeby nie zorientowali się, że zamieniają miedzianą zbroję na złotą! Traktowałem tę opowieść jak jedną z wielu... ale teraz jest ona dla mnie głęboką alegorią przyjaźni. Jeżeli zajdzie potrzeba, przyjaciel bez zastanowienia odda wszystko!

— To prawda!

— Moim zdaniem, sorty marynarskie, które mi dałeś, były zbroją ze złota! Teraz przyszła kolej na moją miedź! Pierwszym statkiem z Sydney Cove wyślę nie tylko mój dziennik, a w nim pełen uznania opis twojej osoby, ale także list do mojego ojca chrzestnego, zawierający moje uzasadnienie i oświadczenie, że zasłużyłeś na natychmiastową nominację na kapitana okrętu.

Charles poczerwieniał i zbladł.

— Dziękuję ci z całego serca, chociaż wiem, że to nie jest możliwe. Fortuna i awans już mnie nie dotyczą. Czy ty możesz to zmienić?

— Tak jak powiedziałem.

— Postaram się w to uwierzyć. Postaram się! Widzisz... ja nie przywykłem... do czego? Do zaszczytów... do...

— Do nagród.

Wstał.

— Czuję się jak wtedy, gdy admirał Gambier uczynił mnie aspirantem!

Wyciągnął rękę w stronę półki i dotknął jednej z książek... wyglądała jak modlitewnik.

— Chyba jeszcze nie potrafię spojrzeć w oczy moim towarzyszom.

— Co zamierzasz zrobić? Och, rozumiem. Chcesz... chcesz teraz medytować.

— Edmundzie... czy staniesz na środkowej wachcie?

— Oczywiście. Już się nawet przespałem, mając ją na względzie!

Nagle zachwiałem się i upadłem na kolę. Charles roześmiał się.

— Wiatr! Teraz dopiero się okaże, jak pracuje ten jego maszt!

— Chyba... wyjdę już na zewnątrz.

V*

Ostrożnie przeszedłem do mesy. Webber pracowicie pucował róg długiego stołu, lecz jego zapach był całkowicie zbyt czysty, ponieważ zniszczone drewno nie wchłaniało już wosku. Wdrapałem się do naszego korytarza, a następnie dobrnąłem na pokład, gdzie uczepiłem się sztagu. Płynęliśmy z dużą prędkością. Najwyraźniej, kiedy siedziałem pod pokładem z Charlesem, sprawy przybrały jeszcze bardziej pomyślny obrót, ponieważ na grotmaszcie przygotowano żagle boczne, zapewne w oczekiwaniu na jeszcze silniejszy wiatr. Przed dziobem wprawdzie panowała jasność, lecz za rufą ogromne skłębione chmury nie tyle doganiały nas, co piętrzyły się niczym gigantyczne wieże. Nadarzała się okazja do kolejnej kąpieli, ale nie miałem na to ochoty. Wyglądałem ze swojej kryjówki, aż pierwsze strumienie deszczu, które zaczęły sieć pokład, kazały mi cofnąć się głębiej. Potem przysłała fala gradu, zmuszając marynarzy na wachcie do szukania schronienia gdzie się dało, inni musieli osłaniać głowy ramionami. Grad przeszedł nim się spostrzeżliśmy. Za nim, jak po rozsunięciu kurtyny w teatrze, uderzył w nas wiatr. W ciągu kilku minut cały świat pociemniał, a morze zrobiło

się brudnoszare. Niespodziewanie ta ponura sceneria ustąpiła miejsca wiatrowi i słońcu: otoczył nas blask zachodu. Płynęliśmy w ostrym, żółtym świetle pozbawionej promieni słonecznej kuli, zawieszanej nad linią horyzontu niczym złota gwinea. W miarę jak słońce opadało, ciężkie chmury pochłaniały jego blask. Patrząc w stronę rufy widziałem, jak zachodzi nieco na północ. Wysoko na niebie dostrzegłem niewielką chmurę, która zdawała się zbliżać powoli wraz z wiatrem, umiarkowanym i niezmiennym, jakby razem stanowili zapowiedź czegoś o wiele poważniejszego.

Dzwon oznajmił połowę wachty. Rytuał odbył się wśród wiatru i kołysania morza. Panowie Smiles i Taylor schodzili z pokładu rufowego.

— Witam pana, panie Smiles. Jak się panu podoba ta pogoda?

Zdaje się, że pan Smiles nie miał nic do powiedzenia. Z przyzwyczajenia zajrzałem do sali dla pasażerów.

Pod wielkim oknem siedzieli Bowles i Pike. Tak już się utarło, że środkowe miejsce było zarezerwowane dla mnie. Nie mam pojęcia, dlaczego. Usiadłem tam na początku podróży i tak już zostało. Na podobnej zasadzie Bowles zajmował miejsce na prawym krańcu stołu, z widokiem na całą jego długość. Pike natomiast, jako element ruchomy, siadał gdzie popadło. Teraz ujrzałem go na moim miejscu!

— Proszę się posunąć, panie Pike.

Pike trzymał łokcie na stole, opierając brodę na dłoni. Kapelusz zsunął na tył głowy. Kiedy do niego przemówiłem, zaczął się ociężale przesuwac, nie odrywając łokci od blatu.

— Co się z panem dzieje, Pike... przepraszam, Richardzie.

Bowles odpowiedział za niego:

— Tak się niefortunnie złożyło, że minionej nocy pan Pike zbyt sobie pofolgował, panie Talbot.

— I teraz ma ciężką głowę, co? Dobry Boże, Pike, ty nie miałeś w zwyczaju pić! No cóż, czegoś cię nauczyliśmy! Koją to jest to, czego ci teraz potrzeba, Richardzie...

Bowles kręcił głową.

— O co ci chodzi, Bowles?

— To nie jest najbardziej odpowiedni moment. Co pan sądzi o pogodzie, sir?

— Proszę mi wierzyć... pan Smiles nie miał nic do powiedzenia w tej materii.

Pan Bowles pokiwał smętnie głową.

— Kto by pomyślał, że będę kiedyś głodny i jednocześnie pogodzony z tym faktem!

Wydawało mi się, że niemożliwością jest żyć w stanie ciągłego strachu!

— Jak Wheeler!

— Nie zazdroszczę panu tej kabiny, sir.

— Nie chcę, aby przesady oddzielały mnie od moich podopiecznych.

— Pewna obojętność może okazać się bardzo pomocna w takiej sytuacji. Jakich podopiecznych?

— Obojętność? Niech się pan dowie, panie Bowles...

Statek nagle przechylił się na bok i równie szybko powrócił do pionu. Kapelusz Pike'a spadł na podłogę, lecz właściciel nie zareagował.

— Kogo miał pan na myśli, mówiąc o swoich podopiecznych, panie Talbot!

— To moja sprawa, panie Bowles!

Milczeliśmy we trzech. Jedyny ruch wykonał mały

Pike. Zamknął oczy.

Wszedł Bates na szeroko rozstawionych nogach.

— Co powiesz o tej pogodzie, Bates?

— Będzie gorzej, zanim się poprawi, sir.

Wziął dwie latarnie i wyszedł. Rozległo się bicie deszczu lub wody w szerokie okno.

— Wszyscy tak mówią.

— Czy Bowles to "wszyscy"?

— Wszyscy... Cumbershum, Billy Rogers, i teraz Bates.

— Czeka nas niezła przeprawa.

Zapanowała cisza. Wrócił Bates z latarniami. Jedna z nich była zapalona.

— Gdzie mam ją zawiesić?

Bowles oparł łokieć na stole. Palcem tej samej ręki wskazał sufit. Bates przeszedł na prawą stronę, zawiesił lampę. Drugą umieścił po przeciwnej stronie. Nasze cienie rozpoczęły monotony taniec na ponurych ścianach. Wydawało mi się, że kołysanie wzmaga się z minuty na minutę.

— Dobrze się składa, że maszty...

— ...są stabilne. Tak, panie Talbot. To był genialny pomysł i genialne wykonanie. Uważam, że pasażerowie powinni postarać się, aby dokonanie tego młodego oficera nie pozostało nie zauważone.

— Niech Marynarka Królewska sama się zajmuje swoimi sprawami, panie Bowles.

— Czy zawsze był pan tego zdania?

Statek podskoczył. Wrócił Bates.

— Podam paniom do kabin. Czy panowie życzą sobie wieprzowinę z fasolą, jak zawsze?

— A coś ty myślał, Bates? Podawaj! Odwróciłem się i osłaniając wzrok od światła, starałem się określić stan morza. Woda bielila się. Nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Bates wniósł talerze z wieprzowiną i fasolą. Pike niepewnie stanął na nogach, zachwiał się i opadł na ławę przy mniejszym stole. Oparł na nim łokieć i przyjął poprzednią pozycję.

Patrzyłem z niechęcią na swój talerz.

— Piekielnie mało, Bates!

Steward drobił w miejscu, by utrzymać równowagę.

— Ale za to bardzo twarde, sir. Będzie pan jadł dwa razy dłużej niż w domu, sir.

— Idź do diabła!

— Aj, aj, sir. Słucham, panie Bowles?

— Zabierz tę wieprzowinę, Bates. Nie mam na nią ochoty.

— Przepraszam, panie Bowles, ale radziłbym ją zjeść. Nie mamy nic innego, sir, a lepiej jest mieć coś w żołądku.

— Dla mnie brandy, Bates.

— Brandy to dobry pomysł, sir. Mamy dużo brandy. Nie ma już mocnego piwa, został tylko cienkusz, sir. Czy życzy pan sobie trochę brandy dla poprawienia wody, panie Talbot?

— Czy to coś pomoże?

— Pan Cumbershum dodaje brandy, żeby poprawić piwo.

— Spróbuję. Dobry Boże! Ta Świnia była z żelaza!

Ku mojemu zdumieniu Bates zaczął biec tyłem!

Pod koniec tej eskapady znalazł się nieco wyżej niż my, przy stole, i wówczas podbiegł do przodu. Bowles zasłonił usta dłońmi, wstał, po czym ciężko usiadł.

— Wszystko w porządku, Bowles? — zaniepokoiłem się.

— Głupie pytanie!

Znowu wstał i zataczając się wybiegł z sali. Bates otworzył mu drzwi.

— Zdaje się, Bates...

Wstałem i ja, i ostrożnie podszedłem do wyjścia. Udało mi się dotrzeć do swojej kabiny i nie dostać torsji. Zmieniłem jednak zdanie i doznałem na śródkręcie, gdzie uchwyciłem się sztagu... czasami nazywam je sztagami, kiedy indziej łańcuchami. Obydwa określenia nie są wprawdzie właściwe, ale się nie wykluczają. Nie zadałem sobie trudu, by zgłębić tajniki tej złożonej części olinowania, o której wiedziałem zaledwie tyle, że trzyma maszty i że do pewnego stopnia można ją regulować. Chwytałem się byle czego. Tym razem był to ogromny kawał

drewna z dziurą, nazwaną jufers... a może inaczej. Trzymałem się go i spoglądałem na niewyraźną linię horyzontu przed nami, która przechylała się raz w jedną stronę, raz w drugą. Wiatr nasilał się stopniowo już od paru godzin. Zrozumiałem, że to właśnie ów stały przyrost jego siły krył się za lekliwą reakcją załogi i wymijającymi odpowiedziami na pytania zadawane przez pasażerów.

Będzie gorzej, zanim się poprawi.

Znowu ten Tarpaulin, język oszczędny i rzeczowy! Marynarz powie: "Będzie trochę wiało" albo: "Trochę nami pohuśta". W tych przewidywaniach jednak nieodmiennie kryje się przyznanie do niewiedzy, jakby ci ludzie zaprawieni w morskich trudach pogodzili się z tym, że morze zawsze potrafi ich zaskoczyć.

Odwróciłem się i spoza uskołu forkaasztelu wyjrzałem za rufę. Nad niewidocznym już horyzontem zobaczyłem, co nas czeka. Wiatr wiał nieubłaganie z tą samą nieuchronnością, z jaką mija czas. Nagle ogarnęła mnie wielka słabość. To nie był głód ani choroba morska, lecz obezwładniająca świadomość ryzyka oraz próby, przed jaką wkrótce stanie ta nasza szalona krypa. Marzyłem wyłącznie o zapomnieniu, co mogłem osiągnąć tylko w jednym miejscu. Odwróciłem się, zszedłem na dół i rzuciłem się na koję.

Obudziłem się nie czując już nudności, ale nie ruszałem się z miejsca, ponieważ statek kołysał teraz całkiem mocno. W końcu wziętem się w garść, poszedłem do jadalni dla pasażerów i wmusiłem w siebie skromny posiłek. Byłem sam. Nie chciałem wychodzić na śródkręcie, bowiem fale przelewały się przez burty. Kilka minut przed północą, kiedy szedłem na pokład rufowy, zauważyłem, że choroba morska już mi nie zagraża. Zapewne kilka godzin bezruchu lub względnego bezruchu, jeśli coś takiego jest możliwe, przypomniało moim członkom o istnieniu ładu, więc musiały przystosować się do nasze

go smętnego położenia. Noc wcale nie wydawała się ciemna, bo — choć chmury zasnuły księżyc — jego światło przebijało przez cienką warstwę. Nie była to biała noc, jak poprzednia, lecz jasna! Wiatr, który niestrudzenie wiał od zachodu, znowu przybrał na sile, nakładając falom białe grzywy piany. Summers przyszedł przede mną, więc podczas zmiany wachty stałem z boku. Już po wszystkich Charles skulił się w cieniu, ja natomiast oparłem się o drabinkę.

— Ta sprawa gnębi cię coraz bardziej?

Nie odpowiadał. Patrzył w stronę dziobu, chociaż wątpię, czy widział nasz statek.

— Bądź dobrym kumplem, Edmundzie.

— Oczywiście! Ale jak?

— Nie poruszaj tego tematu. Nigdy. To jest bolesna sprawa dla mnie i niebezpieczna dla nas obu.

— Jak mógłbym...

— Zostaw ją w spokoju!

— Jasne. Jak sobie życzysz.

Wspiąłem się na pokład rufowy. Rozproszona jasność oświetlała obłok żagli rozpiętych na wszystkich masztach. Nie miałem wątpliwości, że statek robi wszystko, aby doprowadzić nas do Sydney Cove. Jedna fala rozbiła się o dziób, druga o burtę w pobliżu bezanmasztu.

Widziałem, jak wygładzona a zarazem wirująca tafla wody płaszczy grzbiety kolejnych fal zbliżających się do statku. Poda mną Charles wyszedł z cienia i oparł się o reling. Stał na szeroko rozstawionych nogach, z rękami w przepastnych kieszeniach kurtki. Najwyraźniej ta wachta miała różnić się od poprzedniej nie tylko pogodą. Wydawało mi się, że Charles potrzebuje otuchy.

— Jak szybko płyniemy, Charlesie?

Nie słyszał, jak szedłem, bo poderwał się na dźwięk mojego głosu.

— Nie wiem. Siedem węzłów. Może siedem i pół...

— Około stu osiemdziesięciu mil lądowych na dobę. Czy bierzemy więcej wody?

— Zbiornik jest pełny po godzinie. Natura nas pogania i każe sobie płacić za tę pomoc.

— Czy wobec tego nie powinniśmy zrzucić trochę żagla?

— Nie jesteś głodny, jak wszyscy inni?

— Rozumiem. Jasne. Jesteś w niezręcznej sytuacji.

— Jeszcze sporo musisz się nauczyć, Edmundzie. Ten wiatr nie wróży nic dobrego.

— Skąd wiesz?

— To kwestia skali... czasu, w jakim wiatr się nasila... jego charakter.

— To niepokojące, co mówisz.

Powiedziałem to, by zajął się pocieszaniem mnie

i w ten sposób zapomniał o własnych kłopotach. Nie udało mi się jednak, bo nadal spoglądał w stronę dziobu, skąd moim zdaniem nic nam nie groziło. Zbył mnie skinieniem głowy. Jak bardzo ta sytuacja przypominała to, co pan Benet określił mianem *congel* Podeszedłem do tablicy i odczytałem zapisane liczby. Osiem węzłów, siedem i pół, osiem i pół, siedem i pół. Pod pokładem pompujący zmieniają się nie co wachtę, lecz co godzinę. Jakby czytali w moich myślach, na pokładzie rufowym marynarze rozpoczęli rytuał rzucania logu. Osiem węzłów! Sternik złożył meldunek mnie! Z całą powagą przekazałem dane Charlesowi, który na pewno usłyszał je w tej samej chwili, co ja.

— Proszę to zapisać, panie Talbot.

— Aj, aj, sir.

Od forkaasztelu rozległy się dwa uderzenia w dzwon, a następnie jedno!

— Charles! On się pomylił! Powinno być jedno uderzenie!

— Na Boga, człowieku... nigdy nie słyszałeś o znosie na wschód? Płynąc na wschód, co

piętnaście stopni zyskujemy jedną godzinę. Mniej więcej raz na

tydzień opuszczamy jedno uderzenie w dzwon podczas środkowej wachty, ale za to zaczynamy od trzech uderzeń.

— Zdaje się, że ci z forkasztelu wyobrażają sobie, że tracą godzinę życia... jak wtedy, gdy kalendarz juliański zastąpiono kalendarzem nowego stylu.

— Nie interesuje mnie, co myślą. Mają wykonywać swoje obowiązki, a myśleć mogą, co chcą!

— Panie Summers! Charlesie! To do ciebie niepodobne! Tego się po tobie nie spodziewałem! W moim mniemaniu jesteś uosobieniem pogody ducha!

Milczeliśmy. Po jakimś czasie Charles powoli się wyprostował.

— Żelazo ciągle jest gorące.

Nie odzywałem się, gdyż zrozumiałem, że jest bez reszty pochłonięty rozpamiętywaniem sprawy fok- masztu i Beneta. Nie wiedziałem, jak się zachować, więc dla zabicia czasu zacząłem przechadzać się po pokładzie. Godzinę później znowu rzucono log. Operacja przebiegała jak zwykle, z tą tylko różnicą, że nasza prędkość przekroczyła osiem węzłów, chociaż w stopniu nieistotnym! Wpisałem osiem węzłów i oparłem się o drabinkę. Ta wachta trwała trzy godziny zamiast czterech. Przez większą jej część Charles nie odzywał się, ani nawet na mnie nie spojrział. Zaniepokoiło mnie to tak bardzo, że gdy schodziliśmy ze służby, odezwałem się z wyrzutem:

— Potrafię znieść twoje milczenie... ale nie odwrócony wzrok... Czym ci zawiniłem?

Zatrzymał się na drabince prowadzącej pod pokład. Nawet na mnie nie spojrział.

— To nie twoja wina. Zostałem upokorzony... nic więcej.

Powoli schodził na dół. Z równie ciężkim sercem dowlokłem się do swojej koi, ale smutek nie pozwalał mi zasnąć.

Zbliżało się południe, gdy obudziło mnie pukanie do drzwi. Spozrzegłem, że spałem w ubraniu! Dopiero co położyłem głowę na poduszce!

— Wejść!

W drzwiach stanął Charles... ale odmieniony... z radosnym obliczem.

— Możesz mi robić wymówki, Edmundzie! Ale obszedłem cały statek, zaglądałem ludziom w twarz, patrzyłem im prosto w oczy. Andersonowi, Cum- bershumowi, Benetowi nawet! Ty jeszcze śpisz! Wstawaj! Muszę ci coś pokazać.

Miałem właśnie zamiar dać wyraz swojemu zdumieniu, lecz przeszkodził mi w tym przeraźliwy krzyk Prettimana. Nawet Charles, człowiek odporny na ludzkie cierpienie, wykrzywił twarz w grymasie.

— Chodźmy na pokład. Pospiesz się, Edmundzie! Uważaj, bo zgodnie z moimi przewidywaniami, pogoda się pogorszyła.

Wyszliśmy na śródokręcie, gdzie woda pieniała się na wysokości moich kolan.

— O Boże!

— Na górę!

Zacynałem pojmować, czym jest Ocean Południowy. Płynęliśmy na prawie zwiniętych żaglach. Odniosłem wrażenie, że kołysanie osłabło. Walcząc z naporem wiatru wspinałem się po schodkach, a gdy stanąłem na pokładzie doświadczyłem czegoś, co dotychczas wydawało mi się niemożliwe. Wiatr, który przy wcześniejszych okazjach był tak silny, że wdzierał się do ust, tym razem uparł się, bym miał otwarte oczy. Chociaż zaciskałem powieki, wdzierał się pod nie, ukazując mi jedynie zamazany obraz mojego otoczenia. W drodze na zawietrzną pokładu rufowego nauczyłem się osłaniać oczy dłońmi, dzięki czemu widziałem już nieco lepiej.

— Teraz na górę. Wystarczy ci odwagi? Wspinał się po schodkach. Ja za nim. Znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni. Wszystkie latarnie drżały. Dotarliśmy do relingu, gdzie wicher zmusił nas,

abyśmy odwracając się do niego plecami otworzyli oczy i rozejrzeli się. Nic dziwnego, że niczego nie mogliśmy zobaczyć. Nie było żadnej różnicy między wiatrem i wodą, bryzgami i pianą, chmurami i światłem, strumieniami morskiej wody i deszczu! Pochyliłem głowę i popatrzyłem po sobie. Leżał na mnie cień, nie z powodu braku lub ograniczonej ilości światła, lecz za sprawą nieobecności jakiegokolwiek mgiełki, deszczu, czy bryzgów wody. Cień Charlesa wyglądał tak samo. Popatrzyłem kątem oka, wbrew naporowi wiatru, i spostrzegłem, że na poszczególnych elementach relingu kładzie się podobny cień.

— Po co tu przyszliśmy? Stąd nic nie widać! Nie wystarczy ci pokład?!

W odpowiedzi tylko machnął ręką. Marynarze wciągali dziwne kolebiące się worki, które w półmroku wyglądały jak zwłoki. Zorientowałem się, że są wypełnione cieczą i przyczepione do lin. Charles nakłuwiał je w kilku miejscach długą żeglarską igłą.

— Za burtę!

Marynarze przerzucali worki przez reling. Podniosła się fala, ogromna masa skłębionej wody. Na jej powierzchni wzbierała druga fala, która — oderwana silnym podmuchem wiatru — parła prosto na nas.

— Trzymać!

Odwróciłem się akurat w chwili, gdy nasz dziób pochylił się, spadając w masy wody, która już nas wyprzedziła. Jednocześnie poczułem, jak unosi się rufa. Popatrzyłem w tamtą stronę i ujrzałem kolejne fale, jedna za drugą, jak potworna procesja, która nieustrudzenie wędruje dookoła świata, tworząc miejsca z pewnością nie przeznaczone dla istot ludzkich!

— Co ty robisz?

— Popatrz.

Powiodłem wzrokiem za jego palcem. Masa wody wznosiła się ciężko z zamiarem powalenia nas. W jednej chwili na jej odległym końcu zobaczyłem srebrzysty połysk. Plama rozpełzała się, tworząc za rufą jasny pas podobny do tego, jaki rzuca na powierzchnię wody słońce lub księżyc. Srebrzysty, połyskliwy i idealnie gładki szlak był tak wyraźny, jak droga wśród wapiennych skał. Lśnił pod bryzgami wody, które unosiły się nad spienioną kipiela niczym upiorne ptaszyska.

— Olej!

To nie było miejsce przeznaczone dla ludzi: być może dla morskich bóstw. Dla tej wspaniałej i ostatecznej potęgi, która bez wątpienia wspiera cały widzialny świat. W jej obliczu ludzie mogą co najwyżej deklamować swoje definiujące i warunkujące opinie o doświadczeniu, jakim jest życie.

— Uspokajanie żywiołu.

Tak, to było to. Fale, które nas uporczywie ścigały i starały się pochłonąć statek, łagodniały napotkawszy srebrzystą plamę. Uspokajała je skuteczniej niż potężna skała czy, gdyby to było możliwe, falochron lub keja. To istny cud, że — w naszym świecie, którym rządzą prawa fizyki — olej, wyciśnięty z najdelikatniejszych i najbardziej efemerycznych tworów matki Natury, potrafi ujarzmić rozszalały żywioł na podobieństwo Orfeusza usypiającego Hadesa! Zdaję sobie sprawę, że fakt ten bywa postrzegany jako rzecz codzienna... lecz tylko przez tych, którzy nie zawdzięczają życia tak cienkiej, tak niestałej smudze! Srebrzysta ścieżka miała teraz pięćdziesiąt jardów i na tym odcinku, za rufą, napastliwe morze nie potrafiło ukierunkować swojej wściekłości. Statek nadal wznosił się i opadał] woda przewalała się przez burty zalewając pokład, nad którym czarne liny prężyły się i drżały, lecz mimo to posuwaliśmy się teraz ruchem zbawiennie jednostajnym.

— Charlesie! To nie do wiary!

Przywołał mnie. Gdy zszedłem na pokład, pociągnął mnie na zawietrzną grodzi.

— Chcę ci pokazać, że i ja miewam różne pomysły.

— Nigdy w to nie wątpiłem!

Roześmiał się radośnie.

— Zazwyczaj sztormuje się na wiatr i wylewa olej z dziobu. W ten sposób statek jest mniej więcej unieruchomiony i można pokryć olejem większy obszar. Jednak tym razem nie mamy na to czasu. Musimy przeć naprzód. Powiem ci jeszcze, że nasze zapasy oleju są ograniczone, ale na razie będziemy bezpiecznie umykać falom... w miarę bezpiecznie.

— Dopóki mamy olej.

— Oczywiście.

— A pompy?

— Naturalnie, trzeba będzie więcej pompować. Ale tylko nieco więcej.

Pokiwał głową, przeszedł na drugą stronę, wymienił jakąś uwagę ze sternikiem, po czym pchany wiatrem zszedł na śródkręcie i zniknął mi z oczu. Ruszyłem w jego ślady, nie zwracając uwagi na oficera wachtowego, jak rzadko posłuszny regulaminowi! Wszedłem do jadalni i kazałem podać sobie fasolę z niewielką porcją wieprzowiny.

— I brandy, Bates.

Steward zniknął, a ja siedziałem nad swoim posiłkiem, popatrując na plamę oleju, na nasz lśniący ślimaczy ślad. W oddali rozległ się przeraźliwy krzyk dogorywającego Prettimana. Należało mu dać laudanum w prezencie ślubnym, pomyślałem. Wszyscy powinniśmy je zażywać. Z olejem, czy bez, byłoby lepiej, gdybyśmy wszyscy przeszli w stan nieświadomości. Przesiedziałem tak kilka godzin otumaniony huśtaniem statku, aż mrok wypędził mnie do kabiny. Jednostajność kołysania, pomimo ogromu fal, sprzyjała rozmyślaniom. Nie nazwę tego snem. Stale towarzyszyła mi świadomość, że statek nadal płynie oraz że nadal jesteśmy wśród żywych. Nic poza tym. Brak snu zaczynał mącić mi zmysły. Niewiele pamiętam z tej wachty, chociaż wydała

mi się krótka. Kiedy usłyszałem sygnał, skulony przedarłem się przez ścianę wiatru na pokład rufowy. Pamiętam tę poświatę, która towarzyszyła gwałtownej wichurze i wymykała się wszelkim opisom... z tego też powodu ci, którzy tego nie widzieli na własne oczy, nie są w stanie uwierzyć żadnym relacjom. Zdawała się być częścią składową powietrza!

Charles przykucnął obok mnie.

— Kiedy to się skończy?

■— Nie mam pojęcia... ale ty musisz zejść na dół. Cumbershum spadł...

— To straszne! Jeżeli nawet on...

— Nic mu nie jest. Ale skoro człowiek tak doświadczony... rozumiesz? Chodźmy.

Odprowadzę cię do końca pokładu. Twoje miejsce jest na koi. Nie opuszczaj jej!

W tej wymianie zdań nie było heroizmu. Na swoją obronę mogę jedynie oświadczyć, że owej doby jako jedyny pasażer odważyłem się wyjść na pokład. Nie wiem, czy moi towarzysze czuli się bardziej przerażeni niż ja. Prawdopodobnie wykazali się większą roztropnością. W jadalni Bates powiedział, że emigranci oraz marynarze, którzy akurat nie pełnili służby, otrzymali od Charlesa pozwolenie na pozostawanie w swoich hamakach. Nie wyobrażam sobie, co działo się na ich przepelnionym pokładzie, czasami bowiem fale zalewały śródokręcie i niczym wodospad spływały z dziobu. Trochę kołysało, ale statek unosił się na falach, jakby płynął wąskim tunelem, w którym morze było całkiem spokojne.

W końcu dotarłem do swojej kabiny i, kompletnie wyczerpany, rzuciłem się na koję, chociaż nie miałem prawa być zmęczony. Udało mi się zasnąć. Kiedy obudziłem się o szarej godzinie, sztorm ani trochę nie zelżał. Nieustanny huk przyprawił moje skołatanę serce o drżenie! Biedne dzieci! Może ich rodzicom i przyjaciołom udało się je przekonać, że nic im nie grozi? Na pewno nie! Pobladłe twarze i drżące usta mówią więcej niż słowa. Głos zniżony do szeptu nagle przybiera na sile, wybuchy złości, łyzy, przerażenie... nie, nie wierzę, aby dzieci trwały w nieświadomości. Biedactwa!

Opuściłem koję dopiero po południu, mimo że sytuacja nie uległa zmianie. Wstałem, ponieważ przypiliła mnie najbardziej podstawowa z potrzeb; następnie ubrałem się w przeciwdeszczowy płaszcz i zajrzałem do baru. Zastąpiłem tam pana Bowlesa, który z bezmyślnym wyrazem twarzy siedział pod oknem. Zająłem miejsce obok niego i też patrzyłem przed siebie. Łączyło nas cierpienie. Bowles odezwał się pierwszy.

— Pompują.

— Owszem.

— Niedługo nas także wezwą.

— Tak.

— Prawdę mówiąc...

Urwał. Milczeliśmy przez dłuższy czas, po czym Bowles przełknął ślinę i przemówił:

— Zastanawiam się, czy nie należałoby porzucić wszelkiej nadziei, wyczołgać się stąd i skulić na koi...

— Ja to już zrobiłem. Nie pomaga.

Drzwi do baru otworzyły się gwałtownie. Oldmeadow, nasz młody oficer wojsk lądowych, wpadł do środka i zataczając się usiadł na ławie przed nami. Oddychał ciężko. Miał ubrudzoną twarz.

— Odnoszę wrażenie... panowie, zdaje się, wyobrażacie sobie, że inni będą się troszczyć o statek tylko dla waszej wygody.

— Czy to ma być obelga?

— Jakie to do pana podobne, Talbot! Będzie panu wolno tak się odzywać, kiedy będziesz miał takie ręce!

Pokazał nam dłonie: zakrwawione i całe w bąblach.

— Zawdzięczam to pompie. Wziął moich żołą-

nierzy, nawet nie pytając o pozwolenie! “Pańscy ludzie muszą iść do pomp”, oświadczył.

— Pan Summers!

— Pański przyjaciel, cholerny porucznik Summers...

— Niech pan odwoła te słowa!

— Panowie, panowie!

— Mam już pana dosyć, Oldmeadow! Odpowiesz mi za to!

— Wyobrażasz sobie, Talbot, że cię zastrzelę, żeby nie sprawiać kłopotu falam?

Powiadam Summersowi: “Nie może pan wziąć pasażerów? Bowlesa, Pike’a, Talbota, Weekesa, Brocklebanka?” Nawet ten przeklęty starzec popompuje przez kilka minut. Ja tutaj...

Oldmeadow rzucił się na blat. Bowles obszedł stół i zbliżył się do niego. Oficer tylko warknął:

— Odwal się ode mnie!

Podniósł się z trudem i powlókł do swojej kabiny. Bowles najpierw musiał się wspinać, potem schodził w dół, aż wreszcie dotarł do swojego miejsca, na które opadł akurat w tej samej chwili, gdy statek uniósł się do góry. Siedzieliśmy bez słowa.

Pod wieczór opuściłem Bowlesa i udałem się do wygodki, gdzie zasiadłem obok liny, na której ciągnęliśmy worki z olejem. Pomimo ślimaczej ścieżki, w tym miejscu nie było wiadomo, czy jesteśmy pod wodą, czy nad wodą. Kiedy omyty morskim prysznicem wróciłem do baru, Bowlesa już tam nie było. Ledwie zasiadłem na swoim miejscu, kiedy znowu wszedł Pike. Człowiek ten miał niewiele do zaoferowania ludzkości, lecz należy przyznać, że jego nikczemny wzrost okazał się nieoceniony, gdy szło o ochronę przed urazami. Sunął lekko, a może nawet lewitował nad rozkołysaną podłogą, po czym przysiadł na ławie na wprost mnie, niczym ptak na gałęzi. Był blady, ale trzeźwy.

— Dobry wieczór, Edmundzie. Straszna nawałnica.

— Kiedyś się skończy, panie Pike.

— Miałeś mówić mi po imieniu, Edmundzie.

— O Boże! Najpierw Bowles, potem Oldmeadow... a teraz ty... Richardzie.

— Nie uważasz, Edmundzie, że to brzmi tak jakoś ciepłej?

— Wcale nie.

— Bardziej przychylnie.

— Och, daj... jak się czuje twoja rodzina... Richardzie?

— Pani Pike... zapewne słyszałeś już, że się poróżniliśmy. To się zdarza w każdej rodzinie, Edmundzie... między małżonkami...

— Wątpię.

— Ty przecież nie jesteś żonaty, prawda?

— O co ci chodzi?

— Człowiek żonaty to rozumie. Od kiedy państwo East pomagają pani Pike, nasze dziewczynki mają się znacznie lepiej.

— Nareszcie jakaś dobra wiadomość.

— Oczywiście. Kilka tygodni temu, kiedy lina wyrwała kawał stępki...

— Wyraża się pan jak prawdziwy marynarz, panie Pike.

— ...byłem przekonany, że umrą. Ale od kiedy wykorzystaliśmy pomysł pana Beneta, nastąpiła zdecydowana poprawa.

— Kolejny pomysł pana Beneta?

— Przypisał ich osłabienie chorobie morskiej i ciągłemu kołysaniu. Powiedział, że Nelson cierpiał na to samo.

— Niebywałe!

— Admirał kazał swoją koję zawiesić tak, aby kołysała się zgodnie z ruchem statku. Pan Benet powiedział...

Zerwałem się na równe nogi.

— To był mój pomysł!

— Poradził nam zawiesić dla nich hamaki, w któ

rych łatwiej im będzie znieść kołysanie, a po2a tym... twierdził, że dla nich to stanie się zabawą...

— Mówiłem dokładnie to samo!

— Nie jest ważne, kto to wymyślił, Edmundzie. Pomysł się sprawdził i stan dziewczyniek stale się poprawia.

— Byłem tam. W kabinie. Zapukałem i zajrzałem do środka. Ujrzałem pannę Granham. Patrzyła na mnie, kiedy otworzyłem usta, żeby powiedzieć jej to samo, lecz zanim zdołałem wydobyć z siebie słowo, kazała mi... milczeć! Rzuciła mi lodowate spojrzenie! “Proszę nic nie mówić, panie Talbot. Niech pan wyjdzie!”

— Przecież to nieważne, czyj to był pomysł, Edmundzie. Ważne, że dziewczynki czują się lepiej.

— Uduszę tę kobietę!

— Kogo, Edmundzie?

— To dlatego, że on ma żółte włosy i dziewczęcą urodę... Boże, skaz moją duszę na wieczne potępienie!

— Edmundzie, co ty wygadujesz?!

Ciężko opadłem na ławę. Czułem, że się pocę pod płaszczem przeciwdeszczowym. Zakląłem jeszcze raz i szarpnięciem rozpiąłem go.

— Uwzięła się na mnie od pierwszej chwili!

— Dlaczego się złościysz? Przecież dziewczynki powracają do zdrowia!

— Cieszę się, Pike...

— Richard.

— Niech będzie Richard. Cieszę się niezmiernie. Twoje córki czują się lepiej i tylko to jest ważne. Postaram się...

— Pani East okazała się bardzo pomocna: uczy je różnych piosenek, śpiewa razem z nimi. Moim zdaniem Phoebe nie ma słuchu, za to Arabella śpiewa jak skowronek. Ja mam całkiem niezły głos, wierz mi.

— Nie wątpię.

— Dziwnie się wyrażasz, Edmundzie. Piłeś?

Zdaje się, że mówił dalej, lecz go nie słuchałem. Po jakimś czasie stwierdziłem, że jestem sam.

— Bates! Gdzie ta moja brandy?!

— Proszę. To od Webbera, proszę pana. Musimy oszczędzać.

— Podaj mi jeszcze jedną.

— Słucham?

Podąłem mu pustą szklanę.

Tak to się zaczęło. Myślę, że do końca moich dni będę wspominał ten okres z uczuciem wstydu. Narastał we mnie gniew. Oczywiście, wszystkiemu zawiniła pani Prettiman... lecz to on, Benêt, ukradł mój pomysł, jak pomóc dziewczynkom Pike’a... a ona wzięła go od niego, przyjęła od niego to, czego nie chciała przyjąć ode mnie. “Proszę nic nie mówić, panie Talbot. Niech pan wyjdzie!” Zmówili się...

Pewnego razu stałem w mrocznym korytarzu, do którego wpadały strugi wody, rozbijając się o drzwi i ściany. Pożądałem konfrontacji z nimi... ale gdzie jest Benêt? Aby go odszukać wyszedłem na pokład, gdzie czarne liny drżały nad i pod wodą. Właśnie tam, zrządzeniem losu, pojawił się człowiek, którego szukałem: wyszedł akurat z for- kasztelu, gdzie oddawał się jakimś zajęciom, albo może doglądał żelaznych prętów! Nie widział mnie. Zdjął kapelusz i potrząsnął żółtymi lokami, opuszczając z wyraźną ulgą cuchnącą atmosferę, jaka panuje pod pokładem. Chciałem zastąpić mu drogę, lecz przeszedł mimo, jakbym był powietrzem! Sze-

dłem za nim aż do korytarza. Z marsową miną studiował regulamin, poddając się kołysaniu statku, podczas gdy morska woda oblewała mu buty.

— Czyżby nie znał pan regulaminu, panie Benêt? Radziłbym zająć się swoimi sprawami... wykradaniem pomysłów, wrywaniem kawałków kadłuba albo wbijaniem masztów w dno statku!

Pan Benêt popatrzył na mnie “z góry”. Mógł to

zrobić pomimo mojego słusznego wzrostu, ponieważ byłem uczepony poręczy w pobliżu mojej kabiny.

— Jedna czy dwie dziury w dnie statku to nic takiego, Talbot. Można w łodzi wyciągnąć czop, wetknąć sztylet w otwór i, pod warunkiem, że płynie się z odpowiednią prędkością, woda sama wypłynie z zęzy.

— Komu pan ukradł ten pomysł?

— Ja się nie zajmuję kradzieżą!

— Nie byłbym taki przekonany.

— Pańskie przekonania są nieistotne.

— Życie dziewczynek zawisło na włosku! Wszyscy żyjemy w stanie zagrożenia, głupcze!

— Nie jestem głupcem! Niech mnie pan zostawi w spokoju!

— A właśnie, że jest pan głupcem!

— Nie puszczę tego płazem! Odpowie mi pan za to!

— Słuchaj, Benć!

Od tej chwili moje wypowiedzi w tej rozmowie były pozbawione sensu, co nie znaczy, iż stały się niezrozumiałe, poszczególne bowiem zdania i uwagi miały swoją wymowę. Razem natomiast tworzyły galimatias. Zdaje się, że pan Benć, z rosnącą zgryźliwością, powoływał się na historię swojej rodziny, ja zarzucałem mu nieszczerść. Odparł, że jestem przewrotny jak “wszyscy ludzie mojego pokroju”! Zagroziłem użyciem siły i nawet zasugerowałem, iż mogę użyć pistoletu wobec pewnego młodzieńca rodem z Francji. Wówczas on uciekł się do krótkiej charakterystyki...

— Ach, ci Anglicy! Podczas pierwszej wizyty nie dają się polubić... a kiedy pozna się ich lepiej, napawają wstrętem!

Pani Prettiman wyjrzała zza drzwi kabiny swojego małżonka. Ponownie przebrała się w sorty. Na nasz widok wycofała się pospiesznie. Miała fryzurę w wielkim nieładzie. Mignęła nam jedynie jej twarz i włosy. Ciszę, jaka zapanowała między jej pojawieniem się i nagłym zniknięciem, rozdarł krzyk pana Prettimana.

Ta sama cisza przywołała nas do porządku i pogłębiła nasz spór.

Krótko mówiąc, kontynuowaliśmy wymianę zdań. Zarzuciłem mu wprost kradzież pomysłu ulżenia doli córek pana Pike’a... czyli hamaki à la Nelson. Zaprzeczył, twierdząc że do takiego samego wniosku doszedł samodzielnie. Podejrzewał nawet, że to ja przywłaszczyłem sobie jego rozwiązanie! Doszliśmy do niedorzecznego etapu przepychanek, w trakcie czego rzuciłem, iż wiem, jak można pomóc panu Prettimanowi. Wydaje mi się, że jednocześnie Benć obstawał przy tym samym i oznajmił, iż właśnie w tym celu znalazł się na korytarzu. Brandy bardzo mnie rozgrzała. Być może zrozumiałem go opacznie. W tym momencie pani Prettiman, która zdążyła już stosownie zakryć włosy, stanęła w drzwiach i złała nas słowami, które zmusiłyby nas do odejścia, gdyby nie nasze zacierzowanie. Nie przerywając wymiany zdań ani nie rezygnując ze szturchańców, wtargnęliśmy do kabiny. Przekrzykując się nawzajem, przedstawiliśmy nasz plan.

— Róbcie co chcecie, co tylko chcecie, byle to już się skończyło! Tak! Możecie mnie odwrócić!

Benć chwycił go za ramiona, pomimo protestów pani Prettiman. Nogi chorego, który starał się nie krzyknąć, zwisły z koi. Podłożyłem mu rękę pod plecy, na wysokości pasa... z obrzydzeniem dotykałem opuchniętego ciała, twardej i gorącej skóry. Benć krzyknął coś i jednocześnie pchnął mnie, tak że upadłem na nogi nieszczęśnika. Gdyby nie krawędź koi, ściągnąłbym go na podłogę. Na moich oczach jego twarz stała się biała jak kreda. Zemdlał. Zakłopotani i zawstydzeni, wspólnymi siłami przełożyliśmy bezwładne ciało, przenieśliśmy poduszki, jak najstaranniej poprawiliśmy pościel... Pani Prettiman odezwała się lodowatym głosem guwernantki:

— Zabiliście go.
Oczy potrafią ciskać błyskawice. Widziałem je.

Pierwszy opuściłem kabinę. Wybiegłem stamtąd, ponieważ nie miałem odwagi stawić czoła ani temu spojrzeniu, ani słowom, które mogły paść pod moim adresem. Nie widziałem jej oblicza, lecz tylko przerażoną, bladą i strapioną twarz Beneta. Zamknąłem się u siebie i skuliłem na koi, jak w norze. Chyba nawet zasłoniłem uszy rękami. Zabiliście go. Nie sposób opisać, co czułem. W trakcie tej podróży przeżyłem kilka wstrząsów, które ukazały mi moją osobę w nie najkorzystniejszym świetle. Jednak to wydarzenie pchnęło mnie w mrok bezdennej otchłani. Doszło nawet do tego, że w tych ciemnościach zacząłem się modlić, świadom jednocześnie nieskuteczności takiego działania, ponieważ zanosilem modły do Boga, w którego nie wierzyłem. Mniemam, że w ten właśnie sposób wymyślono bogów. Modliłem się o cud... "Spraw, żeby to się nie wydarzyło"! Uważam, że takie "modlitwy" nie zasługują, by ich wysłuchano. Jediną stosowną reakcją mogłoby być ich wyszydzenie. Poświęciłem w nich bardzo niewiele miejsca panu Prettimanowi, nieco więcej jego małżonce, owdowiałej jeszcze wcześniej niż się tego spodziewała; głównie jednak modliłem się za Edmunda Talbota! Człowiek ten posunął się nawet do analizy konsekwencji prawnych morderstwa, zabójstwa, obrażeń cielesnych oraz zamiarów! Powoli, w miarę jak wycie wichru przybierało coraz niższe tony, docierało do mnie, że z punktu widzenia prawa, w tym przypadku nie można zastosować żadnego z tych pojęć oraz że największą karą, jaka może mnie spotkać, będzie dezaprobata pasażerów i kadry oficerskiej, a także bezgraniczna odraza, wściekła kobieca nienawiść ze strony pani Prettiman! Opiszę tutaj moje szaleństwo do końca... Oczami duszy widziałem, jak po śmierci tego człowieka proszę ją o rękę w geście największego poświęcenia! I chociaż znajdowałem się na dnie rozpacz, zdawałem sobie sprawę, że to się nie uda. Pani Prettiman będzie zamożną wdową, a co za tym idzie, to ona dokona wyboru, który na pewno nie padnie na Edmunda Talbota! Jej wybrańcem może okazać się... byłem przekonany, że tak się stanie... Benêt! Kupi sobie złotowłosego Benêta!

Odważyłem się opuścić swoją kabinę dopiero pod wieczór. Przemknąłem przez pustą jadalnię w poszukiwaniu Batesa, odnalazłem go i szeptem poprosiłem o kubek wody. W drodze powrotnej zatrzymałem się na moment pod drzwiami kabiny Prettimana, ale nie dobiegały stamtąd żadne odgłosy. Od tamtej strasznej chwili nie słyszałem ani jednego krzyku czy jęku. Już w kabinie usiadłem w brezentowym fotelu. Nie chciałem krzywdzić tej damy. Mimo iż zdecydowanie nie pochwalałem sposobu, w jaki się prowadziła, nie chciałem, aby cierpiała. Upominałem sam siebie, że kto mieszka w szklarni, nie powinien rzucać kamieniami, co tylko ilustruje zamęt, jaki panował w moich myślach i uczuciach. Jeżeli czasami pozwalałem sobie uszczknąć "przydrożną stokrotkę", postępowałem zgodnie z tym, czego oczekuje się od młodzieńca, natomiast jeżeli pani Prettiman... to już coś zupełnie innego!

Po raz drugi wyszedłem z kabiny dopiero wieczorem, przed jedenastą. W kajucie Prettimana nadal panowała cisza. Zapukałem nieśmiało, lecz ani ona nie podeszła do drzwi, ani on słowem się nie odezwał. Szedłem do baru z myślą o brandy, która miała umożliwić mi spożycie posiłku, wiedziałem bowiem, że muszę coś zjeść niezależnie od samopoczucia. Otworzyłem drzwi i stanąłem jak wryty. Pani Prettiman siedziała na moim miejscu pod wielkim oknem. Bates właśnie sprzątał jej talerz i sztućce. Zerknął na mnie, ale się nie odezwał. Ja też milczałem.

— Proszę wejść, panie Talbot.

Bates zamknął za mną drzwi. Ostrożnie podszedłem do najbliższego stołu i usiadłem na wprost niej. Zapalono tylko jedną z dwóch lamp zawieszonych pod sufitem. Jej blask rozjaśniał lewą stronę twarzy pani Prettiman. Czekąca.

— Jest mi niezmiernie przykro, madame.

Milczała.

— Madame... jak mam to powiedzieć?

Wpatrywała się we mnie bez słowa.

— Na Boga! Czy on... czy on...

Siedziała sztywno jak sędzia.

— Jeszcze oddycha.

— O, dzięki Bogu!

— Ciągłe jest nieprzytomny i ma ledwo wyczuwalny puls.

Teraz ja milczałem, wyobrażając sobie serce, które przestaje pracować, i pierś z trudem unoszącą się, by zaczerpnąć stęchłego powietrza. Pani Prettiman złożyła przed sobą dłonie.

Bardziej przypominała sędziego niż osobę pogrążoną w modlitwie.

— Jest przy nim pan East. Zaraz tam wracam. Pan East wszystkich poinformował.

— O czym?

— O tym, że pan Prettiman jest w agonii.

Chyba tylko jęknąłem. Nie stać mnie było na słowa.

Pani Prettiman odezwała się ponownie. W jej głosie brzmiał z trudem hamowany gniew.

— Nic panu o tym nie wiadomo, prawda? Do pana to nie dotarło. Ta podróż, panie Talbot, przejdzie do historii... nie dzięki panu, nie dzięki nim, ale dzięki niemu. Pan myślał, że to komedia, panie Talbot. A to jest tragedia... o, nie dla pana!... ale dla świata, tego nowego świata, do którego mamy nadzieję dotrzeć. Pańskie sprawy pójdą w zapomnienie i znikną jak piana za rufą. Widziałam, jak wchodził pan na pokład tego statku otoczony glorią przywilejów... tandetną pozłotą! Teraz te pańskie niezdarne stopy przywiodły pana do miejsca, którego nie jest pan w stanie zrozumieć... w którym jest pan intruzem. On będzie spoglądał na pana z obojętnością, nie jak na człowieka, lecz jak na przyczynę swojej śmierci, jak na drzewce, które spadło z masztu. On będzie ponad to i panu przebaczy. Ja natomiast nie przebaczę nigdy, przenigdy!

Wstała niepewnie. Zerwałem się z miejsca, lecz powstrzymała mnie gestem.

— Proszę mnie nie obrażać, stojąc w mojej obecności. Pamiętam, jak pewnego razu — gdy kołysanie okazało się za silne dla moich słabych członków, odprowadził mnie pan do kabiny. Proszę nie wstawać, panie Talbot. A nade wszystko proszę mnie nie dotykać!

W jej głosie było tyle gniewu, że włosy stanęły mi dęba. Oddaliła się pospiesznie. Słyszałem, jak za moimi plecami otwiera i zamyka drzwi, ale się nie odwróciłem. Siedziałem skulony przy stole... innym nawet niż ten, przy którym zwykłem siadywać... upokorzony i zrozpaczony. Wszystkie słowa, które mogłem powiedzieć, wszystkie wymówki, zakłęcia, nawet pyszałko- wata nonszalaną legły u mych “niezdarnych stóp”.

Nie mam pojęcia, ile czasu tak siedziałem, aż

poczułem czyjaś dłoń na ramieniu i usłyszałem znajomy głos.

— Oto pańska brandy, sir. Dobrze panu robi.

Jego współczucie dopełniło miary. Gorące łyżki pociekły mi pomiędzy palców na blat stołu.

— Dziękuję ci, Bates... dziękuję...

— Nie trzeba się tak przejmować, sir. Ta kobieta to istny potwór... nie chciałbym być smarkaczem oddanym jej pod opiekę!

Aż się zakrztusiłem ze śmiechu.

— Ja też nie, Bates. Czuję się jak smarkacz, wierz mi, Bates!

W słowach Batesa dźwięczała niechęć:

— Takie są te wasze damy, sir. Prawdziwe kobiety są inne. Można im dać w ucho, jak za dużo pyskują.

— Zdaje się, że nieźle się na tym znasz.

— Jestem żonaty, sir.

— Dziękuję, Bates. Możesz już odejść.

Zostałem sam ze szklanką. Wydawało mi się, że

kołysanie się nasila, lecz było mi to obojętne. Przyznaję, iż w owej chwili czułem, że jest mi wszystko jedno czy zatoniemy, czy nie.

Rozległ się gwizdek bosmana. Przyszła pora mojej wachty, czas służby pełnionej wraz z Charlesem w ciemnościach. Wstawiłem szklankę do odpowiedniej dziury w półce i wyszedłem na korytarz, gdzie ujrzałem kilka osób. Nie byli to marynarze z mojej wachty. Czworu emigrantów... trzy kobiety i mężczyzna... czekało pod drzwiami kajuty Prettimana. Zrozumiałem. Przyszli pożegnać się z konającym. Jeszcze tak niedawno pozdrawiali go w roli pana młodego! Tego już było mi za wiele! Po omacku wyszedłem na śródokręcie i zacząłem przedzierać się przez wicher. Inni robili to samo, wśród nich Charles, który przejął służbę od Cumbershuma. Oparłem się o ścianę pokładu rufowego. Wkrótce dołączył do mnie Charles.

— Wiatr nieco słabnie. Myślę, że stopniowo ucichnie. Ale to może potrwać jakiś czas.

Z trudem oderwał się od ściany, przeszedł do burty i obserwował, co dzieje się za rufą. Po chwili wrócił.

— Olej działa nadal. Może nawet nie jest już potrzebny. Sądzę jednak, że gdybyśmy wciągnęli worki na pokład, kołysanie nasiliłoby się i trzeba by znowu je wyrzucać. Ważne jest też, by nie dopuścić do rozlania oleju na pokładzie. Właśnie dlatego kazałem wywiesić worki w taki skomplikowany sposób pod rufą zamiast od strony dziobu. Gdybyśmy je wypuścili z dziobu, każda fala wlewałaby nam olej na pokład. Wyobraź sobie, jak trudno byłoby utrzymać się na nogach przy takiej pogodzie!

Przeszedł do drugiej burty, nucił okiem na dziób

i na rufę, i wrócił do mnie.

— Jak na statek pod gołymi rejami mamy całkiem niezłą prędkość. Prawie pięć węzłów!

Mnie to wystarcza... co ci będę mówił, dobrze o tym wiesz. Cieszymy się, dopóki nie wydarzy się coś nowego.

Podszedł oficer pokładowy.

— Wiadomość od pana Cumbershuma, sir. Na pokładzie działowym panuje wielkie zamieszanie, sir. Ludzie usiłują przedostać się na rufę do pana Prettimana, ale nie mogą przejść z powodu rozwieszonych hamaków. Pan Cumbershum prosi, aby zakazać wstępu na śródokręcie komukolwiek oprócz członków wachty, na wypadek gdyby tym ludziom przyszło do głowy pchać się tędy, sir.

Marynarz wziął głęboki oddech.

— Wzorowy meldunek!

— Tak jest, sir. Dziękuję, sir.

- Przekaż panu Cumbershumowi, że wyrażam zgodę. W taką pogodę niepotrzebni mężczyźni nie powinni się nam plątać pod nogami.
- Ani kobiety, sir.
- Zdecydowanie. Odmaszerować.

Bosman pobiegł do Cumbershuma. Przez chwilę na pokładzie lśniła biała piana, nad którą czerniły się liny zabezpieczające.

— Ty milczysz, Edmundzie.

Przełknąłem ślinę, ale się nie odezwałem.

— Powiedz mi, co się stało?

— Zabiłem Prettimana.

Charles milczał przez chwilę. Podeszedł do kompasu, przez burtę popatrzył na połyskujący kilwater, aż w końcu wrócił do mnie.

— Masz na myśli sprzeczkę z Benetem?

— Te ręce zabiły. Bezwiednie przynoszę ludziom śmierć.

— To brzmi zbyt teatralnie.

— Colley, Wheel er, a teraz... Prettiman.

— Jeśli się nie mylę, nikogo nie zabiłeś. Gdybyś rzeczywiście kogoś zabił, jak prawdziwy marynarz nie mówiłbyś o tym.

— O Boże!

— Słuchaj. Czy masz pewność, że Prettiman umarł?

— Jest nieprzytomny. Puls i oddech ma słaby. Ludzie gromadzą się pod jego drzwiami. Ta kobieta...

— Byłeś pijany? Czy może, jak ty to nazywasz, “nie byłeś sobą”?

— Wypiłem kilka szklaneczek brandy. Nie więcej niż zazwyczaj. Odwracałem go “dziobem do rufy”...

Ku mojemu zdumieniu Charles wybuchnął gromkim śmiechem, lecz szybko się opanował.

— Wybacz, stary, ale doprawdy... dziobem do rufy! Posługujesz się językiem marynarzy lepiej niż niejeden wilk morski! Opanuj się trochę. Nikogo nie zabiłeś, więc nie rób z tego takiej tragedii.

— Wszyscy... to znaczy emigranci, a nawet marynarze... aż się pchają, żeby się z nim pożegnać.

— I ty i oni zbyt pochopnie wyciągacie wnioski. Zdaje mi się, że chcieliście mu pomóc...

— Skąd to wiesz?

— Wielkie nieba! Czy wyobrażasz sobie, żeby wiadomość o waszej kłótni i jej konsekwencjach nie dotarła do każdego zakątka statku? Chociaż na chwilę można zapomnieć o swoim położeniu.

— Upadłem na niego.

— Chyba rzeczywiście nie panujesz nad swoimi członkami. Śmiem zauważyć, że kiedyś się tego nauczysz... będziesz starszy.

— He to jeszcze potrwa?

— Co takiego?

— Zanim Prettiman skona.

— Wzruszająca jest twoja wiara we mnie, Edmundzie. Nie mamy pewności, że on kona. Organizm ludzki to wielka tajemnica. Czy poczujesz się lepiej, jeżeli kogoś pošlę, aby się dowiedział, jaki jest jego stan?

— Proszę, zrób to.

Przywołał oficera pokładowego i wydał mu polecenie udania się pod pokład. Czekaliśmy w milczeniu. Charles powiódł krytycznym spojrzeniem po masztach, na których, od mojej poprzedniej wizyty na pokładzie, pojawiły się żagle. Wciągnięto nawet nowy marsel na miejsce starego, który ongiś wiatr zerwał na moich oczach. Spostrzegłem także zmiany na powierzchni morza, które wydało mi się znacznie spokojniejsze.

Oficer pokładowy zmagął się z wiatrem.

— Pani powiedziała, że jego stan nie uległ zmianie.

— Dziękuję.

Marynarz wycofał się na swoje miejsce na pokładzie rufowym. Charles przerwał milczenie.

— Słyszałeś? Nie trzeba się martwić na zapas.

— Nie potrafię inaczej.

— Co ja zrobiłem najlepszego?! Drogi chłopcze, zachowałeś się nierozsądnie, gwałtownie i niezręcznie. Jeżeli ten człowiek wyzionie ducha, albo może powinienem powiedzieć, kiedy wyzionie ducha...

— To znaczy, że on umrze!

— Prettiman był w agonii, zanim na niego upadłeś! Dobry Boże! Czy ty myślisz, że w naszym położeniu można przeżyć z ciałem spuchniętym jak dynia, i to koloru przejrzałego buraka?! Jemu w środku wszystko popękało... wątpię, czy jakikolwiek lekarz byłby w stanie mu pomóc. Wy dwaj mogliście co najwyżej przyspieszyć ten proces, nic więcej.

— To wystarczy. Ona mnie nienawidzi! Jak ja mogę żyć na tym samym statku!

— Nie masz innego wyjścia. Bądź rozsądny... Chciałbym tylko z takich powodów jak twoje odczuwać wyrzuty sumienia.

— To nonsens! Jesteś najlepszym z ludzi.

— Nie mów tak!

— A właśnie, że będę. Odkryłem, że środkowa wachta sprzyja męskim rozmowom. W przyszłości te wachty niewątpliwie dostarczą mi cennych wspomnień.

— Mnie również.

Milczeliśmy, dopóki Charles nie odezwał się pierwszy.

— To zdumiewające, że mamy sobie tak wiele do powiedzenia, chociaż obracamy się w tak odmiennych światach.

— Poznałem twoją wartość, która jest niezależna od jakichkolwiek “światów”... ale nie rozumiem, dlaczego to akurat ty wspominasz o czymś takim...

— O to ci chodzi... To sprawa jeszcze bardziej tajemnicza niż ludzkie ciało. Nie mówmy już o tym. Poza tym — z tonu jego głosu wyczułem, że się uśmiecha — kto by się nie przyjaźnił z młodzieńcem, który obiecuje gwiazdkę z nieba?

— Promocja to sprawa znacznie bardziej przyjemna.

— A jak określisz moją promocję... bo to była promocja... z majtka na aspiranta?

Zawdzięczam ją nieposłuszeństwu.

— Trudno mi sobie wyobrazić, że potrafisz być nieposłuszny!

— Muszę ci się wydawać strasznie nudnym człowiekiem! Może rzeczywiście taki jestem?

— Opowiedz mi, jak to było.

Jego twarz zajaśniała w ciemnościach.

— Nie będziesz się śmiał?

— Przecież mnie znasz!

— Czy rzeczywiście? Otóż... w forfttoztelu przestrzega się zasady “żyj i pozwól żyć”, ponieważ nawet hamaki ledwie tam się mieszczą. Człowiek, który czyta książkę, nie przeszkadza nikomu. Słuchasz?

— Z zapartym tchem.

— Staliśmy na kotwicy. Większość załogi miała wolne, ale ja pełniłem akurat wachtę. Oficer przyłapał mnie na czytaniu, chociaż nie było w rym nic złego. Łajał mnie, żeby wszystkim pokazać, jaki jest surowy, kiedy nagle postawiono na nogi całą załogę. Zjawił się admirał Gambier.

— Posępny Jimmy?

— Niektórzy tak go przezywali, ale to był dobry człowiek. Zapytał, na czym polega moje wykroczenie, a ja przyznałem się, że czytałem podczas wachty. Zażądał, abym mu pokazał, co czytam. Podałem mu książkę, którą chowałem za plecami, a on uważnie przyjrzał się mojej lekturze.

— “Na wszystko jest odpowiedni czas i miejsce”, oświadczył i odszedł. Oficer polecił oficerowi dyżurnemu, aby ukarał mnie pracami porządkowymi w czasie wolnym dla reszty załogi. Jednak przed końcem dnia wezwał mnie do siebie kapitan Wentworth.

— “Summers, powiada, jesteś wyjątkowo sprytny. Pakuj manatki. Przechodzisz na okręt flagowy jako aspirant. Zawiodłem się na tobie, Summers. Nie chcę cię więcej widzieć”.

— Co to była za książka? Już wiem! Biblia!

— Kapitan Wentworth nie był człowiekiem pobożnym.

— I tak wspiąłeś się na pierwszy szczebel drabiny?

— Nie inaczej.

W moich myślach zapanował zamęt. Jak wielka dzieli nas przepaść! Nie wiedziałem, co powiedzieć. Skorzystałem z okazji, że przyszła moja kolej, by przez reling obserwować morze za rufą. Kiedy ponownie znalazłem się u boku Charlesa, udałem wielkie zainteresowanie żaglami.

— Masz rację, Edmundzie. Możemy nieco zwiększyć powierzchnię żagli.

Krzyknął do mata, który przekazał jego rozkaz ze swojego stanowiska na pokładzie rufowym, po czym brodząc po kolana w wodzie, przedarł się na przód statku, aby powtórzyć rozkaz z forkaasztelu. Czarne sylwetki marynarzy wpęzły na reje.

— Czy nasza prędkość wzrośnie?

— Nie bardziej niż poprzednio.

Znowu zamilkłem.

— Dobrze i to, że się nie śmiałeś, Edmundzie.

— To do ciebie nie pasuje. Jesteś wobec siebie niesprawiedliwy!

— Ależ tak. Wszystko zawdzięczam temu szlachetnemu człowiekowi... po tobie, oczywiście!

— Admirałowi Gambierowi? Możesz posądzić mnie o cynizm, ale jestem pewien, że będzie lepiej, jeżeli relacja o surowości opinii kapitana Andersona i opowieść o tym, co wpłynęło na decyzję Gambiera, by awansować cię na aspiranta, pozostaną między nami.

— Zgadza się z tobą w pierwszej kwestii. Ale dlaczego ta druga?

— Drogi przyjacielu! Rekomendacja Posępnego Jimmy'ego byłaby przydatna, gdybyś chciał podjąć się służby na rzecz Kościoła... co ci jest?

— Nic.

— W marynarce wojennej jednak daleko cię nie zaprowadzi. Mój Boże! Równie dobrze mógłbyś się powołać na świadectwo twojej odwagi wystawione przez tego nieszczęśnika Bynga!

— Nisko oceniasz tę służbę!

— Skądże znowu!

— W każdym razie osiągnęliśmy chociaż tyle, że na jakiś czas zapomniałeś o swoich troskach. Możesz już zakończyć wachtę i pójść spać.

— Muszę dotrzeć do końca razem z tobą.

Zdziwiony moim poważnym i stanowczym tonem, zaśmiał się cicho. Jak już chyba wspominałem, nie zdawałem sobie wówczas sprawy, dlaczego Charles dostarcza mi pretekstu do czterogodzinnej nieobecności w mojej kabine w porze nocnej, i byłem święcie przekonany, że jestem na pokładzie niezbędny! Teraz i ja się śmieję tak, jak on wtedy. Wachta wkrótce dobiegła końca. Udałem się do kabiny, brodząc po wodzie chlupoczącej w korytarzu. Tymczasem wiatr już nie huczał, a jedynie wył. Trudno powiedzieć, że spałem, czekałem bowiem na krzyk Prettimana. Doszedłem do wniosku, że śpi odurzony laudanum, ponieważ z jego kabiny nie dobiegały żadne odgłosy.

Nie spałem dobrze tej nocy. Zasnąłem dopiero nad ranem. Po przebudzeniu postanowiłem nie ruszać się z miejsca, ponieważ w ten sposób nikomu nie mogłem wyrządzić żadnej krzywdy. Chciało mi się krzyczeć tak, jak nawet Prettiman nie potrafił.

Kiedy nacisnąłem sprężynę repetiera, wybił za kwadrans dziesiątą! Wyjąłem go spod poduszki i przyglądałem się z niedowierzaniem, lecz niestety wskazówki potwierdziły wcześniejszą informację. Doszedłem do wniosku, że musiałem zasnąć, chociaż nie bardzo wiedziałem, jak to się stało ani kiedy. Wcale nie czułem się wypoczęty. Okazało się, że zasnąłem w ubraniu, więc natychmiast zgañem się za takie uchybienie dobrym obyczajom. Wystarczy, że człowiek raz rzuci się na posłanie “jak stoi”, i już nie wiadomo, czym się to może skończyć! Stąd tylko krok do skandalicznych manier Europejczyków lub zupełnego zaniku wszelkich form. Niestety, tej gafy nie byłem w stanie naprawić. Włożyłem buty, które stały tuż przy koi, i wyszedłem z kajuty; najpierw udałem się do wygodki, a następnie do sali dla pasażerów. Chociaż było dopiero wczesne przedpołudnie, zastałem tam Pike’a ze szklanką brandy. Bez trudu zorientowałem się, że w jego przypadku pora jest już całkiem późna. Doniesiono mi potem, że jego nieczuła małżonka oddaliła go... chociaż mnie się wydaje, że to raczej on sam się oddalił... oraz że zerwał Batesa z koi o nader nieprzyzwoitej porze, domagając się napitku. Był podekscytowany i obojętny na huk wiatru. Zaproponował, że mi “postawi drinka”. Podziękowałem uprzejmie i zapytałem o samopoczucie rodziny.

—Rodzina, panie Talbot? Nienawidzę rodziny.

Popatrzył na mnie spod półprzymkniętych powiek.

—Ona mnie nienawidzi.

— Mam wrażenie, że nie czuje się pan najlepiej, panie Pike. Nie powinien pan mówić słów, których potem pan będzie żałował.

Pike patrzył już gdzie indziej, pogrążony w zadumie. Po chwili, jakby doszedł do konkretnych wniosków, odwrócił się w moją stronę, w czym znacznie mu pomogło kołysanie statku.

— Ponura sprawa, no nie? Ja jej nienawidzę. Nienawidzę. Cholera. Pardon.

—Nie powinien pan...

— Ja ich nie darzę nienawiścią. Ale one mnie nienawidzą, bo im nagadała... nagadała...

Ogarnęła mnie ślepa wściekłość. Używam tego wyrazu celowo. Po chwili przejrzałem: widziałem przed sobą czerwone płyty. Czerwone. Otworzyłem usta i zacząłem na niego wrzeszczeć. Obsypałem go stekiem wyzwisk, nie unikając najgorszych obelg, jakie mi ślina na język przyniosła. Kiedy skończyłem, nie pamiętałem z tego ani słowa. Nagły wybuch tak bardzo mnie osłabił, że chociaż siedziałem, panowanie nad kołysaniem statku kosztowało mnie wiele wysiłku. Pike oparł się łokciami o stół i cicho rechotał. Nie odrywając łokcia od blatu, podniósł dłoń i wycelował we mnie palcem. Utrzymał rękę w powietrzu z takim trudem, jakby trzymał w niej ciężki pistolet. Ruch statku i pijackie kiwanie się Pike’a, nie wspominając już o jego rechocie, sprawiły, że palec zataczał kręgi jak... jak obluźowany maszt! Dochodziłem do siebie. Wcale nie czułem potrzeby składania przeprosin. Uważałem wręcz, że moje oburzenie było w pełni uzasadnione.

— Prawdę mówiąc, Pike, jesteś wstrętną kreaturą.

Nie przestawał rechotać.

— Ona też tak twierdzi!

Zaniósł się śmiechem. Zjawił się Bates z kuflem piwa w ręce i serwetką przewieszoną przez ramię. Kroczył na szeroko rozstawionych nogach, pośliznął się na mokrej podłodze, zręcznie złapał równowagę, a następnie pchany force majeure przebiegł przez salę i zgrabnie postawił kufel w zasięgu mojej ręki. Wychyliłem piwo do dna i chciałem zażyczyć sobie jeszcze jedno, lecz już Batesa nie było. Pike skręcał się ze śmiechu.

— Bates! Bates!

Nagle ten mizerny człowieczek zmienił zdanie: oparł głowę na blacie i zasnął. Jego szklanka spadła ze stołu, potoczyła się pod ścianę, gdzie przez chwilę pobrzękiwała, po czym przeturlała się z powrotem w naszą stronę. Chciałem zatrzymać ją nogą, lecz chybiłem. W drzwiach stanęli Bowles i Oldmeadow. Zatoczyli się na środek sali, wpuszczając za sobą strumienie wody, akurat bowiem u wyjścia na pokład rozbiła się kolejna fala. W tej samej chwili Bates, który miał dar jasnowidzenia, wniósł trzy kufle: w prawej ręce dwa, w lewej jeden. Zatrzymał się przy stole wykonując tajemnicze gesty, jakby zamierzał pokazać nam jakiś magiczny trick. W rezultacie dokonał czegoś takiego, ponieważ udało mu się wszystkich obsłużyć i wyjść z sali bez szwanku. Pike osunął się na Oldmeadowa.

— Umarł, czy co?

— Zalany w trupa.

Oldmeadow odepchnął Pike'a, który odsunął się nieco, zaraz jednak wrócił do poprzedniej pozycji.

— Też bym tak chciał!

— O, nie! Mamy wystarczająco dużo kłopotów. Cumbershum się rozchorował, więc powinniśmy bardzo się szanować i nawzajem sobie pomagać.

Oldmeadow z całej siły odepchnął Pike'a, który wylądował na samym brzegu długiego stołu. Ramię nieszczęśnika zsunęło się poza krawędź, tak że przy kolejnym kiwnięciu statkiem uniemożliwiło mu powrót na dawne miejsce.

Bowles popatrzył na mnie sponad kufła.

— Pani Prettiman twierdzi, że stan jej małżonka jest bardzo poważny... wręcz krytyczny, i że pan Prettiman już długo nie pociągnie, Przestał nawet krzyczeć.

— To znaczy, że umrze spokojną śmiercią, Bowles. Dobrze i to.

— Panie Oldmeadow... czy rozmawiał pan z panią Prettiman?

— Nie, Bowles, nie rozmawiałem. Unikam jej, od kiedy zaczęła nosić się jak prosty majtek. Uważam, że ten strój jest nieprzyzwoity.

— Bates! Bates! Gdzie on się podział?! Zabierz kufle!

— Spokojnie, Talbot! Ja nie skończyłem! Boże...

i do tego jeszcze ten Summers!

Oldmeadow zazwyczaj zachowywał się nienagannie, więc bez trudu wybaczyłem mu rozdrażniony ton.

— Czym ci się naraził?

— Zabrał moich ludzi, ot co. Powiedziałem mu, że nie uważam za stosowne, aby ich wykorzystywał, mając do dyspozycji tylu emigrantów. Dlaczego te darmozjady nie mogą wypocić trochę tłuszczu? Nie chciał o tym słyszeć. "Pańscy ludzie są zdyscyplinowani", stwierdził. "Są młodzi i silni, i nieraz mi się zwierzali, że z braku zajęcia zdarza im się popełniać nieczne czyny! Zapewniam pana, że kilka godzin przy pompach każdego dnia uczyni z nich istoty łagodne jak baranki".

— I na tym zakończyła się wasza wymiana zdań?

— No wiesz, Talbot! Za nic w świecie nie zamierzałem oddać swoich ludzi pod komendę

byle jakie

mu oficerowi marynarki! Oznajmiłem, że najpierw musi awansować oraz że zamierzam poprosić kapitana

o wpisanie mojego protestu do dziennika okrętowego.

— To bardzo poważna sprawa w przypadku oficera marynarki! Może zniszczyć całą jego karierę!

— Wiem o tym! Ale i tak niewiele wskórałem, bo on mi na to z zimną krwią: “Jeżeli pańscy ludzie przestaną pracować przy pompach, nikt nie dowie się o pańskim proteście”. Gorzej być nie mogło.

Bowles obdarzył nas obu promiennym uśmiechem.

— Często się mówi, że niebezpieczeństwo ludzi zbliża. Jakoś tego nie widać.

— My dwaj jesteśmy cywilami. Co marynarce do nas? Na tym statku oficerowie nie bardzo wiedzą, co im wolno. Ludzie Oldmeadowa nie podlegają marynarce. Willis mówił... chyba powinienem was poinformować, że właściwie już nie jestem cywilem. Lord Talbot awansował do rangi aspiranta.

— Pan raczy żartować, sir!

— Broń Boże, Bowles, nic podobnego! Colley, Wheeler, teraz Prettiman... dajmy temu spokój! Otóż sprawa ma się następująco: jestem pomocnikiem pierwszego oficera podczas środkowej wachty. Podczas tej wachty...

Ku mojemu zdziwieniu Bowles, którego miałem za człowieka spokojnego i opanowanego, gwałtownie mi przerwał.

— Świetnie wiemy, czym jest środkowa wachta! Boże, miej nas w swej opiece! Żołnierze zastępują marynarzy, pasażerowie przejmują odpowiedzialność za statek!

— Ależ, Bowles, on nie robi więcej szkód niż ten nowy oficer... jak on się nazywa... Benet. Ten człowiek wyrwał kawał dna kadłuba i o mało nie spalił przedniej części statku! Teraz uparł się określić nasze położenie, nie posługując się stosownymi urządzeniami. Coś ci powiem, Talbot. Powinniśmy wszy stkie te sprawy poruszyć w Parlamencie! Boże, co za statek! Ten głupek Smiles, który podobno pełni służbę na pokładzie, tylko szczerzy zęby do tej wichury, jak do przyjaciółki, a ten stary dureń Brocklebank tkwi przy wejściu w strumieniach deszczu, po kolana w wodzie i czeka, aż mu się zbierze na poranne pierdnięcie...

— Ach, to dlatego! Nie mogłem pojąć... Stoi tam dzień w dzień, czy to wiatr, czy deszcz, czy słońce...

— Tak, o nic więcej tu nie chodzi. Kobiетки nie pozwalają mu wrócić do kabiny, dopóki nie odda armatniej salwy!

Wybuchnęliśmy opętańczym śmiechem.

— Wydawało mi się, że słyszę moje nazwisko. Był to Brocklebank we własnej osobie. Zawisł na

klamce, ponieważ pokład nagle wysunął mu się spod stóp. Miał już swoje lata, więc wraz z Oldmeadowem pospieszyliśmy mu z pomocą. Doholowaliśmy go do stołu. W tym czasie Bowles mocował się z drzwiami, które nie dawały się zamknąć wbrew sile przyciągania. Zdaje się, że ten podstarzały jegomość prędzej złapał oddech niż którykolwiek z nas.

— Wyznam wam, panowie, że już dłużej nie dało się tam wytrzymać. Przemokłem do suchej nitki, jestem cały poobijany, o mało mnie nie zmyło z pokładu... a mój wysłużony płaszcz cały nasiąknął wodą...

— Panie Brocklebank, powinien pan siedzieć w kabinie... a najlepiej leżeć na koi!

— Zatęskniłem za męskim towarzystwem.

— Ależ, sir, to rzadki przywilej spędzać czas z panią Brocklebank...

— Niezupełnie, panie Talbot. Pani Brocklebank dokłada wszelkich starań, żeby mnie pocieszyć, lecz w rzeczywistości czuje się już wdową.

— Co też pan mówi! Często widuję panią Brocklebank... zawsze jest uśmiechnięta...
zawsze radosna!

— Właśnie to miałem na myśli, panie Talbot, mimo że nieco pan przesadził. Na pana spogląda z uśmiechem, ale nie na mnie. Nie lubię wdów i zawsze usiłowałem trzymać się od nich z daleka. Ale w czterech ścianach naszej kabiny widzę na twarzy Celi wyraz smutnego tryumfu, niemal święty uśmiech, z jakim wdowa spogląda na sprawę doprowadzoną do końca, na zamknięty rachunek. Do tego jednak... — był wyraźnie wzburzony — ...do tego ona nie ma prawa!

— Panie Brocklebank!

— Może mi pan zarzucić, panie Talbot, słowa niegodne dżentelmena. Niech i tak będzie. Już przestanę się w tej materii wypowiadać. Ale nie mogłem wrócić do kabiny, wierzcie mi panowie, mimo że wykonałem polecenie Celi. Tutaj, Bates! Dołałeś brandy?

Steward postawił przed nim kufel, lecz pytanie Brocklebanka sprawiło go w zakłopotanie.

— Łyczek, sir. Można powiedzieć, że sam bukiet.

— Bates, ty łajdaku, podajesz mu brandy z mesy, a mnie...

— Pan dostał moją brandy, sir!

— Chętnie bym się z panem podzielił, panie Talbot, lecz powstrzymuje mnie lęk przed różnymi chorobami.

— Do diabła! Nie wiem, kto kogo mógłby tutaj zarazić!

Pokład nagle wyjechał nam spod stóp. Chwyciłem się stołu, lecz okazało się, że ściskam Bowlesa. Wyrwał mi się akurat w chwili, gdy nastąpił kolejny przechył, który rzucił go na podłogę. Nie przypuszczałem nawet, że Bowles potrafi tak zlorzeczyć.

— A do tego jeszcze to jedzenie — Brocklebank ciągnął jakiś wątek. — Okropne. Onegdaj, kiedy chciałem ugryźć, gdzie tam ugryźć... kiedy rzuciłem się na kawałek wieprzowiny... Oto czym się to skończyło...

W tym momencie obrzydliwy starzec zaczął przeszukiwać fałdy swojego obszernego stroju, skąd po chwili wydobyl i zademonstrował nam poczerńiały ząb.

Wyskoczyłem zza stołu i dopadłem drzwi, gdzie natychmiast znalazłem się w strumieniach słonej wody. Ujrzałem Beneta. Jak wszyscy, trzymał się poręczy, ale tylko dwoma palcami. Wpatrywał się w drzwi kabiny pana Prettimana. Poruszał wargami, co oznaczało, że jest pochłonięty tworzeniem. Wezbrała we mnie wściekłość. Do tej pory nie wiem dlaczego.

— Panie Benet!

Dostrzegł mnie, lecz dał mi do zrozumienia, że mu przeszkadzam.

— Panie Benet, domagam się odpowiedzi!

Ściągnął brwi, udając zakłopotanie.

— Czyżbym przyjął pańskie przeprosiny?

— To pan powinien mnie przeprosić! Pańskie stosunki z pewną damą sprawiły, że inna dama... że ja... moja opinia o niej... użyłem pańskiego nazwiska...

— Nie podoba się panu moje nazwisko? Chce pan je ośmieszyć?

— Posłużyłem się pańskim nazwiskiem...

— Drugi raz! Jestem dumny ze swojego nazwiska, panie Talbot. Jeżeli mój ojciec uczynił z niego ponure memento swojej ucieczki...

— Pan zmienia temat! Nie obchodzi mnie pańskie nazwisko, które jak się domyślam, jest francuskie. Domagam się odpowiedzi. Co ona zobaczyła? Czy była świadkiem grzesznego występku?

— Panie Talbot, różnica zdań, do jakiej niedawno doszło między nami...

— Chcę dokładnie poznać charakter stosunków łączących pana z pewną damą!

— Wnoszę, że chodzi panu o pannę Chumley. No

cóż. Jak już panu mówiłem, odegrała rolę naszej cave albo... jeśli łacina jest panu obca...

— Nie jest, zapewniam pana!

— Poczerwieniał pan jak ten nieszczęśnik Prettiman!

Tłumiłem narastające rozdrażnienie:

— Interesuje mnie, co łączyło pana z damą nieco starszą.

— Odkrył pan moją tajemnicę! Ta dama... och, ona jest...

Pan Benêt, o dziwo, nie mógł znaleźć słów. Przymknął powieki i zaczął recytować:

Odkąd zrzuciłaś damskie kobierce

i rozpostarłaś swych włosów lśnienie oko splekane, skrwawione serce...

— A zatem połączył was występki! Panna Chumley musiała wiedzieć, o co chodzi! Ona to widziała!

— O jakim występku pan mówi?!

— Lady Somerset!

— Nareszcie rozumiem. Pomimo wielkiego szacunku, jakim darzę tę damę...

Podniosłem głos. Powinienem dziękować Bogu, że przy tej pogodzie słyszał mnie tylko Benêt.

— Czy pan ją posiadał? Czy panna Chumley była tego świadkiem?

Patrzył na mnie ze współczuciem.

— W jej i swoim imieniu mógłbym uznać pańskie słowa za obraźliwe, panie Talbot. Swoim umysłem nie potrafi pan wznieść się ponad poziom wiejskiej zagrody.

— Niech mi pan nie opowiada o wiejskich zagrodach!

— Jest pan wzburzony i nie panuje pan nad słowami. Klęknąłem przed nią, a ona podała mi dłoń. Pozwoliłem sobie złożyć na niej pocałunek. Następnie... proszę, by zechciał pan docenić czystość

tego gestu... wiedziony wspomnieniem dzieciństwa

i ukochanej mojej matki, która przychodziła do mojego pokoju pocałować mnie na dobranoc... na wzbierającej fali uczuć odwróciłem tę białą dłoń, złożyłem w jej wnętrzu drugi pocałunek i zamknąłem nad nim jej szczupłe palce!

— Co było potem? Pan milczy! Czy na tym koniec? Czy to było wszystko, panie Benet?

— Znowu jest pan napastliwy, panie Talbot. Po raz drugi. Tak jak w przypadku naigrawania się z mojego nazwiska!

— Proszę o odpowiedź na moje pytanie!

— To było "wszystko". Niemniej jednak człowiek

o pewnej wrażliwości...

— Proszę wyjaśnić, dlaczego się obnażyła. Domagam się wyjaśnienia!

— Lady Somerset nie była obnażona!

— "Odkąd zrzuciłaś damskie kobierce..." Chlusnęło na nas wodą. Benet otarł twarz.

— Nareszcie rozumiem. Pozwolił się pan oszukać swoim prostackim myśłem. Ta dama rzeczywiście "zrzuciła" swoje "damskie kobierce"...

Odkąd zrzuciłaś damskie kobierce

i rozpostarłaś swych włosów lśnienie oko splekanej skrwawione serce znalazły ulgę w Twojej łasce cieniu.

Letycjo! Choć twa ręka obiecana Myślę o Tobie ciągle z rozkoszą dzielić z Tobą pokład chęć...

— Panna Granham! Pani Prettiman!

— Któż inny? Te wersy wymagają jeszcze pewnego dopracowania...

— Pan pisze wiersze do pani Prettiman!

— Czy zna pan godniejszy obiekt? Ona jest uosobieniem tego wszystkiego, na co czekano od wieków!

— Pan chce całować jej dłoń. Ręczę, że panu nie

odmówi. Przecież innym nie odmawiała... pan Pret-
timan, jej małżonek... lecz cóż to słowo
może mieć wspólnego z poezją? Prettiman leży unieruchomiony
na koi. Nie wątpię, że gdyby pan zapukał do jej
drzwi i ładnie ją poprosił, mógłby pan całować jej
dłoń ze wszystkich stron, przez całą wachtę!

— Pan jest odrażający.

Uśmiechnąłem się krzywo.

— Zapewne ma pan rację. Ale przynajmniej nie plotę bzdur i nie obcałowuję rąk kobietom w
wieku mojej matki!

Zdaje się, że ugodziłem go celnie. Odsunął się od masztu i stał na chwiejnych nogach.

— Niech się pan trzyma pensjonarek, panie Talbot.

— Wypraszam sobie tę liczbę mnogą! Moje myśli są przy jednej damie!

— Pan nie potrafi kochać, panie Talbot. To jest pana największa wada.

— Ja nie umiem kochać! Ha, ha! Słyszał pan?

— Trudno z panem dyskutować. Dokończymy tę rozmowę, kiedy powróci panu trzeźwość
umysłu. Żegnam pana.

Oddalił się pospiesznie, w czym znacznie pomogło mu kołysanie statku. Zniknął na schodach
prowadzących do mesy, mijając po drodze pana Smilesa.

— Słyszał pan, panie Smiles? Zakochaliśmy się w naszych matkach!

Pan Smiles przeszedł obok mnie równym krokiem. Nie popatrzył na mnie, ani się nie odezwał.
Mógł być zjawą, która podążała do znanego tylko sobie celu.

Wróciłem do kabiny. Czas włókł się nieznośnie. Włożyłem płaszcz przeciwdeszczowy i
wyszedłem na pokład. Pierwsza fala rzuciła mnie na łańcuchy

i byłbym tam zawisł, gdyby w porę nie udało mi się z nich wyplątać. Incydent ten ostudził
moje wzbu

rzenie. Obserwowałem szalejący żywioł. Przetaczające się obok nas grzbiety fal sięgały ponad
moją głowę. Czasami statek przechylał się na bok i wówczas woda zalewała śródkręcie, kiedy
indziej zaś widziałem tylko samotne ptaki bujające między wzgórzami spienionej zieleni.

Innym razem płachty deszczu

i mgły zasłaniały wszystko, a z pokładu rufowego woda spadała z łoskotem niczym z rynnny.

Powoli uspokajałem się. Miałem przed sobą system lin, które opasywały statek, nie
pozwalając mu zatonać. Przypomniały mi o naszym położeniu. Wyrzuciłem sobie atak złości
oraz to, że okazałem strach. Nie tego od siebie oczekiwałem.

— “Wracaj do kabiny i tam już zostań. Zajmij się czytaniem”.

Tak też uczyniłem. Siedząc w płaszczu przeciwdeszczowym czytałem “Iliadę”, aż wypadła
mi z rąk. Podniosłem ją, ułożyłem się na koi i w końcu zasnąłem.

Potężne szarpnięcie wyrwało mnie ze snu o skałach i zboczach. Obudziłem się na podłodze tuż przy koi, z której albo spadłem, albo zostałem wyrzucony. Kiedy usiłowałem stanąć na nogi, przywalił mnie fotel i razem potoczyliśmy się aż pod ścianę za blatem do pisania. Udało mi się wstać, lecz to, pod jakim kątem wisiała moja latarnia, przeraziło mnie do tego stopnia, że przez chwilę stałem oniemiały. Jej pozycja dowodziła niezbicie, że zsuwamy się tyłem do morza, gdzie wszyscy zginiemy. Straciłem grunt pod nogami zawisając na koi, z tą idiotyczną latarnią przechyloną tak, jakby prawa Natury pana Beneta przestały obowiązywać. Od tej chwili nie bardzo pamiętam swoje poczynania. Wydawało mi się, że statek jest już pod wodą, która lada moment zacznie tryskać wszystkimi otworami. Jednocześnie miałem przeświadczenie, że spóźniłem się na wachtę i Charles został bez pomocnika. Zbierałem myśli, lecz nie przyniosło mi to upragnionego spokoju, ponieważ stało się dla mnie oczywiste, że znajdujemy się w niebezpieczeństwie. Z korytarza dochodziły odgłosy zamętu. Córeczki Pike'a wrzeszczały wniebogłosy, a wraz z nimi jeszcze jakaś kobieta... chyba Celia Brocklebank. Słyszałem krzyki mężczyzn, łoskot żagli, klekotanie bloczków, brzęk tłuczonego szkła. Wydostałem się na korytarz, gdzie oburącz zawisłem na poręczy... dosłownie... jakbyśmy stali na głowie. Puściłem się jedną ręką, lecz niespodziewane szarpnięcie oderwało od poręczy również moją drugą dłoń. Poleciałem na łeb na szyję przez całą długość korytarza, aż wyrznięłem głową o przeciwległą ścianę. Jakaś siła przygwoździła mnie tam na pewien czas, więc mogłem obserwować daremne wysiłki Oldmeadowa, który chciał wyjść z salonu. Kiedy nacisk ustąpił, skorzystałem z okazji, by wydostać się na śródokręcie i ucześć się want przy lewej burcie, jakbym chciał znaleźć ukojenie w dobrze mi znanym miejscu. Nic tutaj nie wyglądało tak samo jak przedtem, a to, co ujrzałem, nie dawało ukojenia. Nie opodal ktoś zaklął siarczyście, ale nie mogłem go zobaczyć. W miarę jak oczy oswajały się z ciemnością, w moim polu widzenia pojawiły się połyskujące żagle. Otaczała nas znowu ta sztormowa poświata, która nie tyle rozjaśniała statek, ile oświetlała coś, co wyglądało jak lita ściana chmur otaczająca nas ze wszystkich stron, ponad którą pływały gwiazdy. Żagle były puste! Świat wód pod nimi nie miał sensu, przed nami i za nami bowiem piętrzyły się ledwie widoczne... czarne góry. W pewnej chwili ta za rufą zmieniła kształt, zapadła się i chyba zniknęła! Piszę "chyba", bo nie widziałem, jak to się stało! Poczułem, jak coś mnie przygniata, po czym znowu zawisłem, tym razem na wantach. Śródokręcie wysunęło się spode mnie, by wśliznąć się pod drugą górę, która wypiętrzyła się przed dziobem... i w każdej chwili mogła nas przywalić. Marsie z hukiem brały wiatr, pozostałe żagle zawtórowały im donośną kanonadą. Wznieśliśmy się na szczyt świata. Rzuciłem się do schodów, gdzie przypadłem do poręczy. W dogodnym momencie wspiałem się po stopniach i wychyliłem głowę tuż nad pokładem. Nie zobaczyłem tam nikogo!

Czy była to najstraszliwsza chwila w moim życiu? Nie... potem przyszły innej lecz tych kilka sekund, które mogłyby zająć pierwsze miejsce, zdominowała absolutna niewiara w to, co zobaczyłem! Opustoszały pokład rufowy... o Boże, koło sterowe! Zsunąłem się ze schodków, które nagle leżały poziomo, i podczoł- gałem się... pod górę? ukośnie?... w pobliże koła.

— Edmundzie! Bogu niech będą dzięki! Pomóż mi! Zjawiłem się w samą porę. Potknąłem się o jakieś

ciało, nieprzytomne lub martwe. Charles uczepił się prawej strony koła i napierał z całej siły.

— W prawo!

Od tej chwili nie miałem czasu pomyśleć o strachu. Trwało to wprawdzie kilka minut, lecz wydawało się wiecznością. Nie oszczędzając się wspierałem wysiłki Charlesa, który podczas tego sztormu próbował w pojedynkę zapanować nad kołem. Moja pomoc okazała się przydatna. Czułem, że dzięki mnie koło ustępuje; we dwóch osiągnęliśmy to, co jeden mógł ledwie rozpocząć. Wprawienie koła w ruch nie nastęcza większych trudności, lecz kiedy już włożyło się wszystkie siły, żeby je ruszyć, nieodmiennie przychodzi taki moment, gdy jedynie zawzięta i ślepa determinacja, aby pokonać jakiegoś wymagowanego potwora, jest w stanie zmusić mięśnie do dokończenia obrotu. Nie wiem, ile ich zrobiliśmy, ponieważ słabe dmuchnięcia wiatru w żagle, gdy znajdowaliśmy się na wierzchołkach gór, ledwie pozwalały sterować statkiem. Wkrótce Charles zaprzestał wydawania poleceń, bo stało się jasne, że doskonale wyczuwam, o co mu chodzi. Koło przemawiało do mnie swoim własnym językiem.

— Sir!

Obok nas stanął marynarz. Wraz z drugim majtkiem przejęli od nas koło. Ktoś inny na klęczkach potrząsał bezwładnym ciałem, o które się potknąłem. Kapitan stał na śródokręciu. Miał twarz umazaną

krwią. W ręce trzymał pistolet. Był bez kapelusza. Zadarł głowę i lustrował żagle.

— Ster zero!

I już całkiem spokojnie:

— Sytuacja opanowana, panie Summers. Przeczolgałem się od koła do schodków. Charles dotarł do mnie na czworakach.

— Nie obudzono mnie na środkową wachtę!

Z trudem łapał oddech.

— To nie jest środkowa wachta, tylko poranna. Nie mogę mówić.

— Na miły Bóg, co...

Potrząsnął głową. Umilkłem zadowolony, że mogę chwycić się poręczy.

— Nic ci nie jest, Charlesie?

Przepełniała mnie radość, że okazałem się przydatny, że mogłem zrobić coś więcej, niż zagrzebać się w pościeli.

— Sprawdź, co jest do zrobienia. Może się okazać... Wyszedłem na pokład rufowy. Kapitan i pan Cum-

bershum stali przy relingu. Trzymając się barierki, zupełnie niepotrzebnie krzyknąłem do Cumbershuma:

— Może w czym pomóc?!

Jego warknięcie jeszcze wisiało w powietrzu, kiedy jakaś siła oderwała mnie od relingu i przez chwilę utrzymywała zawieszony w powietrzu.

— Pilnuj pan własnej skóry!

Wylądowałem na schodkach prowadzących na

pokład rufowy. Wgramoliłem się na górę i przywarłem do poręczy na tej najwyższej części kadłuba. Słaby wiatr przy każdej nadarżającej się okazji wypełniał żagle. Na widok tego, co ujrzałem, niejednen uciekłby na samo dno statku, żeby nie widzieć zbliżającego się końca. Fale, wcześniej zasłonięte lub nawet stłumione przez wicher, wzbierały ponownie. Słabnący wiatr

umożliwił im formowanie się w szyki. Nasz świat składał się z trzech fal, trzech szyków: za

rufą, przed dziobem, oraz tego, który akurat unosił nas między dwiema pierwszymi. W chwili, gdy rufa opadała, następowało pomieszenie wymiarów i kierunków. Dziób piętrzył się wówczas nad nami, po czym dawał nura w dół, aż zdawało się, że teraz my wisimy nad nim. Prerażony, zamknąłem oczy i w ten sposób, jak to piszą w książkach, "zamieniłem się w słuch". Wraz z opadaniem rufy rozlegał się trzepot żagli, które jeden po drugim traciły wiatr. Następnie rozlegał się armatni huk, kiedy wynoszone do góry żagle chwytają najmniejszy powiew... czy to dziób jest w górze, czy rufa? Oficer na stanowisku dowodzenia musi brać to pod uwagę, ponieważ takie ruchy mogą odwrócić kierunek działania steru, czego ludzie przy kole nie są w stanie przewidzieć. Wystarczy niewielki błąd, aby statek wypadł z wiatru, wyrócił się i zatonął... To dlatego oficer dyżurny musi tkwić na posterunku całymi godzinami, dokonując oceny sytuacji. W każdej minucie nasze życie zależy od jego decyzji! Otworzyłem oczy i stwierdziłem, że mogę patrzeć. Owiewał mnie delikatny podmuch. Okazało się, że znajdujemy się właśnie na grzbiecie fali, chociaż dopóki miałem zamknięte powieki, wydawało mi się, że jesteśmy w jej dolinie. Zaczęliśmy ześlizgiwać się w otchłań za rufą... spadaliśmy w nieprzeniknioną ciemność. Zacisnąłem powieki w chwili, gdy czarny przestwór pchnął statek do poziomu, po czym przechylił w drugą stronę, aż stanęliśmy na bukszprycie. Znowu odważyłem się otworzyć oczy. Oleisty szlak połyskiwał za rufą, na jedynym łańcuchu fal widocznym nawet wówczas, gdy wynosiło nas na grzbiet następnego. Te fale nie rozpryskiwały się, nie były spienione; wyglądały jak wykute w czarnym marmurze. Jeszcze raz.

Powierzchnia morza świeciła i migotała: być może za sprawą księżyca lub tajemniczej natury samej wody.

Jeszcze raz.

Usłyszałem dziwny odgłos. Takich dźwięków nie wydaje ani statek, ani żagle, ani wiatr. Głuche uderzenie, po którym przetaczał się cichnący grzmot. Nie mogłem go z niczym skojarzyć, pomimo wielu miesięcy spędzonych na pokładzie statku przy akompaniamencie skromnego repertuaru odgłosów morza...

Jasne! To jest ciało stałe! Jeden z tych monstrualnych wałów wodnych uderza o skałę! Zerwałem się na równe nogi i już chciałem krzyknąć., kiedy pokład wysliznął mi się spod stóp, a ja sam przeleciałem przez pokład rafowy, zatrzymując się na relingu pod latarnią lewej burty! Przez cały ten czas chciałem krzyżeć, ponieważ dało stałe w tej kipieli jest czymś potwornym, lecz upadek odebrał mi dech w piersiach. Nie mam pojęcia, ile brakowało, bym złamał barierkę i mamie zakończył swoją karierę w plamie oleju, lecz słupek, na który natarłem, szczęśliwie okazał się nie zbutwiały, niezależnie od tego, cokolwiek by powiedział o reszcie statku. Wróciłem biegiem na poprzednie miejsce, jakby tam było bezpieczniej. Paniczny strach odebrał mi nie tylko mowę, ale również honor i poetycki zapach.

Rozejrzałem się dookoła. Wznosiliśmy się na kolejny wał... dzieliło je mniej więcej ćwierć mili... widziałem tylko czarny, posępny marmur, a nad nim ponury pułap nieba, zmatowiały, płynny marmur... jakie słowa oddadzą grozę ich wielkości? Te trzy ruchome góry, wśród których przyszło nam teraz żyć, były przecież drobnymi falkami... lecz powiększonymi, przerastającymi to, co olbrzymie, kolosalne... do tego stopnia, że przytłaczały nas swym ogromem! Stanowiły nowy wymiar istoty morza, która pozwalała nam przeżyć; nie była wrogo nastawiona, nie starała się ze wszystkich sił wyrządzić nam krzywdy. Przyszedł taki szalony moment, kiedy pomyślałem, że gdybym mógł przyłożyć ucho do tej połyskliwej, ruchomej czerni, usłyszałbym, jak jedna

cząsteczka ociera się o drugą. Przypomniałem sobie jednak połatane poszycie naszego statku i struchlałem z przerażenia. Znowu usłyszałem głucho uderzenie, a po nim pomruki cichnące gdzieś w oddali, pod horyzontem... widocznym dla śmiałka, który odważyłby się wspiąć na maszt... Na samą myśl o tym zrobiło mi się słabo... wobec tego powiedzmy: pod horyzontem widocznym dla olbrzyma stworzonego na miarę gigantycznych fal. Czy to znaczy, że stały ląd jest w zasięgu słuchu?

Budził się nowy dzień. Świt zdawał się podnosić ku górze, pozostawiając całą czerń nocy na nierównościach wody. Postaram się dobrać odpowiednie słowa, aby stosownie oddać to, co wydarzyło się na granicy owego dnia i nocy. Znajdowaliśmy się na szczycie grzbietu, gdy coś dziwnego zaczęło się dziać z drugim wałem wodnym, tym który nas doganiał. Nie wiem nawet, jaka była tego przyczyna. Jedno jest pewne: nie płynęliśmy na płytkiej wodzie. Wszędzie dokoła nas, na przestrzeni setek... a może tysięcy mil... od dna morskiego, od twardej skorupy ziemskiej, dzieliło nas kilka mil majestatu tego płynnego żywiołu. Może stało się to za sprawą jakiegoś zawirowania czy nawet zaburzenia porządku, w jakim odbywał się ten odwieczny marsz fal dookoła antypodów? Niezależnie od przyczyn, wał wodny tuż za nami rósł w oczach. Tylko płytke zagłębienie wypełnione olejem dzieliło nas od tej fali... nazywam to tak z braku trafniejszego określenia... która stanęła za rufą niczym ściana długości bodajże dwóch mil, po czym załamała się i runęła! Usłyszałem syk wody przecinającej powietrze i ogłuszający huk zderzenia dwóch bezmiarów wód. Poczułem przeszywający ból w uszach. Przystałem cokolwiek słyszeć. Mogłem natomiast widzieć. W tej samej chwili, kiedy fala runęła, powierzchnię morza przecięła linia piany, jakby niewidoczne powietrze zachowało się na podobieństwo ciała stałego. Tak, to powietrze wypchnięte przez walącą się ścianę trysnęło na wszystkie strony z szybkością kuli wystrzelonej z muszkietu. Morze oszalało: białe bałwany zalewały śródkręcie, pokonywały reling pokładu rufowego, balustradę forkasztelu. Woda nie dotarła tylko na pokład rufowy, na którym tkwiłem kurczowo uczepiony relingu. Nagle, jakby pod wpływem oleju, spokojna woda z naszego wgłębienia bezpieczeństwa podniosła się i przetoczyła, zatapiając także i ten pokład. Myślę, że mewa kołująca w owej chwili nad tymi mrocznymi wirami zobaczyłaby tam ledwie spienioną toń i trzy maszty. Gdy tylko woda opadła, spojrzałem na dziób, by zorientować się, że statek z mozołem zaczyna się wynurzać. Najpierw woda spłynęła z forkasztelu, potem ze śródkręcia. Z dwóch żagli pozostały tylko strzepy. Czy to za sprawą tego strasznego podmuchu?

Nie chciałem być sam ani chwili dłużej. Zrobiłem krok i pośliznąłem się. Jednocześnie zdałem sobie sprawę z nowego i zarazem absurdalnego niebezpieczeństwa. Wbrew zapobiegliwości Charlesa, pomimo zawieszenia worków z olejem pod rufą zamiast pod dziobem, tłusta plama w końcu wpełzła na pokłady. Dobrnąłem do drabinki trzymając się poręczy, prawdę mówiąc doczołgałem się do niej, bo co i raz ślizgałem się i padałem na kolana. Wysoko nad moją głowę "przemówiły" żagle.

Kapitan Anderson dawał komendy do steru. Stał w niewielkiej odległości od koła. Cumbershum, uczepiony relingu, siedział z rozrzuconymi nogami. Patrzył na kapitana. Mówił coś, ponieważ widziałem ruch warg. Dopiero wtedy pojąłem, że zostałem dosłownie ogłuszony hukiem padającej fali. Stałem czas jakiś na pokładzie rufowym czując, jak stopniowo odzyskuję słuch. W przedniej części statku ujrzałem ludzi Beneta, którzy wśród olinowania uwijali się przy poszarpanych żaglach, chociaż moim zdaniem ich wysiłki były skazane na niepowodzenie. Czy nasz

statek nie jest śmiertelnie ranny? Zdaje się, że przypisywałem mu ludzkie uczucia i oczekiwałem, że lada moment podda się w tej nierównej walce, zdecydowanie nieodpowiedniej dla statków... a już na pewno dla wysłużonych kadłubów, dziurawych jak stary but.

Popatrzyłem na żagle. Te, które oparły się niszczącej sile, były pełne. Ludzie Beneta ustawiali reje. Wiał wiatr... na tyle silny, by zapewnić nam sterowność, a nawet bezpieczeństwo. Morze wokół nas toczyło teraz mniejsze fale, niż ta ogromna ściana wody, która naparła na nasz statek niczym kataklizm, dziewiąta fala przerastająca wszystkie inne dziewiąte fale.

Moich uszu dobiegł ochrypły głos Charlesa:

— Wiatr przechodzi do pełnego, sir. Można stawiać sztaksle.

Kapitan zerknął za rufę, po czym zwrócił się do Charlesa:

— Wystarczy panu sił?

Charles podniósł się z wysiłkiem.

— Myślę, że tak, sir.

— Wobec tego: sztaksle na maszt... — Odwrócił się w moim kierunku, jakby chciał coś powiedzieć, lecz zmienił zdanie i sztywnym krokiem podszedł do relingu.

Kapitan Anderson i jego oficerowie potrzebowali całego dnia, który właśnie się zaczynał, i jeszcze następnego na zaprowadzenie ładunku i porządku na statku. Samo zmywanie lepkiego oleju wymagało zatrudnienia całej załogi, żołnierzy i emigrantów!

Tłuszcz oblepił wszystko. Bates twierdził nawet, że grotmaszt był umazany do wysokości piętnastu stóp. Pod pokładem tłusty pas szerokości trzech stóp pokrywał ściany i drzwi. Olej dostał się także do kabin. Ze względów praktycznych przemilczano sprawę paniki, jaka wybuchła na statku i o mały włos nie doprowadziła do jego zatonięcia. Jestem jednak przekonany, że kapitan Anderson był oburzony tym, co zaszło. Porzucenie stanowiska jest bowiem wykroczeniem, które zasługuje na najsurowszą karę. Nie przemawia przede mną oburzenie lecz świadomość konsekwencji, jakimi taki przykład mógłby zaowocować na innym statku! Powtarzam, nie ma najmniejszej wątpliwości, że nasi ludzie opuścili swoje stanowiska, szukając schronienia przed morzem. Charles powiedział kiedyś: "Ludzie, jak liny, też mają swój próg wytrzymałości". Załoga naszego statku dopuściła się drugiego, po jawnym buncie, najbardziej haniebnego przestępstwa.

Cóż można było zrobić w tej sprawie? Mniejszość, nawet ta umocowana autorytetem władzy, nie może zagwarantować sobie posłuszeństwa reszty zmuszając ją, aby wymierzyła sobie karę. Nie da się zaprzeczyć, że załoga została poddana ciężkiej próbie. Pomijając pogodę, należy także pamiętać, że podczas tej nieprzyzwoicie długiej podróży racje żywności gwałtownie się kurczyły, a zapas napojów był już na wykończeniu; ponieważ zaczynało nam brakować opału, gorąca woda stała się luksusem, z którego nawet damy nie mogły korzystać. Statek ledwie płynął. Praca przy pompach, wprawdzie lżejsza teraz niż podczas sztormu, była kolejną ciężką próbą dla załogi opadającej z sił z powodu zimna, przemęczenia i niedożywienia.

Mimo wszystko robotę wykonano. Statek został wyszorowany, przetarty i wysuszony na tyle, że osoba wyposażona w marynarski zmysł równowagi mogła utrzymać się na nogach. Żagle nadające się do naprawy pozszywano, gdzie indziej wciągnięto nowe. Pomimo wielu braków, byliśmy świetnie zaopatrzeni w liny i płótno. Przy spokojniejszej pogodzie, która wkrótce nastąpiła, marynarze łowili ryby. Mnie się jednak nie poszczęściło. Zdaje się, że ryba słabo bierze z dużych statków. A może wśród pokrytych łuską mieszkańców wód rozeszła się wieść o przybyciu tej najdziwniejszej ryby, jaką jest Człowiek? Widzieliśmy za to sporo wielorybów. Podobno pan Benet podsunął kilka sposobów ich zabijania. Załoga, wśród której znajdowali się przedstawiciele przeróżnych rzemiosł i fachów, nie wykazała większego zainteresowania... szczególnie po zapoznaniu się z szalonym pomysłem wykorzystania harpuna z ładunkiem wybuchowym.

Moja propozycja, byśmy wystrzelili do tych potworów z naszych ciężkich dział, spotkała się z nie lepszym przyjęciem. Zadowoliliśmy się zatem naszymi mizernymi racjami, a pociechą była nam myśl...

że płyniemy. Fokmaszt wyszedł zwycięsko z tej arcy- trudnej próby. Kiedy wiatr za rufą wzmógł się nieco, rozwinęliśmy nie tylko żagle boczne, ale i sztaksle: wielkie trójkąty z płótna rozciągnięte nie na masztach, a między nimi. Przez wiele dni płynęliśmy z prędkością nie mniejszą niż sześć węzłów.

Czytelnik nie obeznany z żydem na morzu musi mi wybaczyć te przydługie dygresje i szczegółowe opisy statku i jego wyposażenia, choć nieustannie odbiegam od tematu. W sytuacji, w której od sprawności całej maszyny zależy nasze życie, największą przyjemność sprawia nam fakt posuwania się do celu, chlupot wody pod dziobem, widok pełnych żagli, niezmordowany ruch tej fantastycznej konstrukcji drewnianej o wadze prawie dwóch tysięcy ton! Marynarze poruszali się raźniej i żwawiej wykonywali polecenia. Wszyscy mieli radosne twarze, nawet oficerowie... oprócz Charlesa. Z przykrością zauważyłem, iż uczeplił się myśli, że pod fokmasztem tli się ogień! Podczas kolejnej środkowej wachty, zdążyłem je już bardzo polubić, poruszyłem ten temat.

— Musisz przyznać, że maszt zdał egzamin. A ty stale masz nadzieję, że Benêt w końcu popełni błąd!

— On nie może być nieomylny. Żaden człowiek nie ma do tego prawa. Skoro okazało się, że jego metoda obliczania długości geograficznej jest błędna...

— Błędna?

— Założenia teoretyczne są prawidłowe... Ale czy potrafisz sobie wyobrazić, jakich trudności nastęrcza... jest prawie niewykonalny... pomiar odległości katowej między dwoma ciałami niebieskimi... przy czym co najmniej jedno z nich stale zmienia kształt?

— Prosiłem nawigatora o wyjaśnienie metody pana Benêta, ale mi odmówił.

— Rzecz zasadza się na paralaksie i tym podobnych. Zdaje się, że w grę wchodzi Księżyc, Słońce,

planety a nawet księżycy tych planet... istny gąszcz liczb... Ten człowiek jest genialnym szaleńcem!

— Jednak wcześniej się sprawdził. Proszę cię, Charlesie, nie pozwól, aby niechęć, jaką darzysz tego człowieka, przysłoniła ci jego zalety. Ciężko mi na sercu, gdy jawisz mi się inny, niż jesteś naprawdę. Wybacz... tym razem ja ciebie pouczam.

— Masz do tego prawo. Moje obiekcje wobec metody, jaką pan Benêt chce się posłużyć przy obliczaniu naszego położenia bez użycia chronometrów, opierają się na logicznych przesłankach, a nie na antypatii. Jeżeli najtęższe umysły Anglii zarzuciły ten sposób, to dlatego, że okazał się niedokładny. Kto tu jest szaleńcem?

— Na pewno nie ty! Wszyscy wiemy, że jesteś naszą ostoją!

— Mamy przed sobą korytarz szeroki na blisko sto mil między nielicznymi w tej części oceanu wyspami. Wystarczy znać długość, by opłynąć je w bezpiecznej odległości. Znajdujemy się jeszcze dostatecznie daleko, aby ustrzec się przed zderzeniem z nimi, zanim je zobaczymy. Tego dnia będziemy zdani na łaskę losu.

Od jakiegoś już czasu pan Prettiman nie krzyczał za każdym razem, kiedy nasz statek wznosił się lub opadał. Mój prosty plan zdawał się odnieść pożądany skutek. Być może pan Prettiman był w agonii, lecz umierał w spokoju. Starłem się unikać pani Prettiman od owej chwili, kiedy dała wyraz swojej opinii o mojej osobie tonem sędziego trybunału. Zdarzyło się jeden raz, że zajrzała do jadalni, kiedy tam byłem, lecz wyszła tak szybko, że nawet nie zdążyłem podnieść się z miejsca. Innym razem słyszałem, że zbiega korytarzem, kiedy akurat byliśmy w przechyle. Upewniwszy się, że dotarła bezpiecznie do poręczy między kabinami, odwróciłem wzrok i przeszedłem mimo. Nadal ubierała się w strój marynarski, a ja gorąco pochwalałem jej decyzję. Wystarczy przyzwyczaić się do tego widoku, bezsprzecznie szokującego za pierwszym razem, by przestać widzieć cokolwiek niestosownego w wizerunku damy w spodniach. Zważywszy wszelkie możliwe niewygody i objawy e n i a, na jakie narażona jest dama w niewieścich szatkach na pokładzie rozkołysanego i rozhuśtanego statku, spodnie lub ich damska wersja wydają się strojem bardziej odpowiednim niż suknie. Ponadto dają większą gwarancję bezpieczeństwa, ponieważ w krytycznych sytuacjach dama nie musiałaby w imię dobrych obyczajów czy skromności decydować się na śmierć raczej niż kompromitację, jak owo dziewczątko z francuskiej powieści.

Tak czy inaczej, przeznaczone mi było spotkać ją ponownie i to w okolicznościach przypominających komedię obyczajową, mimo że zajmowała się doglądaniem cierpiącego małżonka. Przechadzałem się właśnie po śródkręciu niepewnym krokiem, ponieważ korzystając z niezłej pogody postanowiłem, kiedy to tylko było możliwe, nie trzymać się lin. Tu

i ówdzie poczerniałe i przesiąknięte wodą deski pokładu pokrywała warstwa brudnobiałej soli, spod której wystawały oślizgłe drzazgi, nie wspominając o pakułach wyrastających ze smoły niczym włosy. Mogłoby się wydawać, że w takim miejscu umysł ludzki powinien oddawać się wyłącznie medytacji

o sprawach ostatecznych. Mimo to nie zauważyłem, by ktoś się tym zajmował. Staliśmy się odporni na niebezpieczeństwo: jedni na nie zobojętnieli, inni

— jak Bowles — trwali w stanie ciągłego strachu, jeszcze inni schamieli; byli i tacy, którzy czerpali z niego radość, jak pan Taylor. Młodzieniec ten śpiewał, gwizdał i śmiał się w taki sposób, że osobom

o nieco bardziej ponurym usposobieniu, na przykład mnie, wydawał się zdecydowanie chory. Miało się wrażenie, że tylko jeden człowiek nie dostrzega spraw tak przyziemnych jak śmierć. Pan Benêt. Pod for-

kasztelam zamieniłem kilka słów z panem Eastem i już zamierzałem go opuścić, gdy na drabince pokładu rufowego stanął pan Benet: z arkuszem papieru w ręce, spojrzeniem sięgającym daleko poza ten padół łez i ekstatycznym uśmiechem na twarzy. Nie zauważył mnie i rzucił się do wejścia do korytarza. Domyśliłem się wówczas, że skoro fokmaszt zdał egzamin, pan Benet postanowił poświęcić uwagę swojej drugiej obsesji: nedorzecznemu pomysłowi obliczenia naszej długości geograficznej bez pomocy chronometrów. Wpadłem na pomysł, że dobrze byłoby zrozumieć tę jego metodę, i pospieszyłem za nim. Stałem w wejściu akurat w chwili, gdy Benet zapukał do kabiny pani Prettiman i najwyraźniej otrzymał pozwolenie, ponieważ otworzył drzwi, wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą! Tego było za wiele. On może mieć za nic reputację tej damy, ale nie ja! Pokonałem już trzy czwarte drogi, mimo że akurat w tej chwili pięła się pod górę, kiedy nagle wierzgnięcie statku rzuciło mnie twarzą na śliski pokład. Wydaje mi się, że leżałem zamroczony przez bardzo krótką chwilę, bo ledwie podnosiłem się z klęczek, gdy drzwi rozwarły się szeroko i z furkotem marynarskiego przyodziewku Benet wypadł na zewnątrz. Nie trzymał w ręce żadnej kartki. Za jego plecami drzwi zamknęły się z trzaskiem. Następny przechył po tym, który mnie powalił, pchnął Beneta z takim impetem, że ten poleciał "z górki na pazurki" w sposób zdecydowanie niegodny marynarza. Już się nie uśmiechał. Całym ciałem grzmotnął o be- zanmaszt, zachwiał się nade mną, po czym bez słowa, ostrożnie stawiając stopy, podszedł do drabinki prowadzącej do mesy oficerskiej i zniknął.

A jednak zobaczyłem! Na jego ogorzałym lewym policzku dostrzegłem ziemistą plamę, która w ciągu tych kilku chwil, kiedy go widziałem, ku mojemu ogromnemu zadowoleniu i oburzeniu, poczerwieniała i przybrała kształt kobiecej dłoni!

Znałem swoją powinność! Pan Prettiman nie był na siłach wystąpić w obronie damy. Propozycja zatem musi wyjść ode mnie. Zapukałem do jej drzwi. Dopiero po chwili... otworzyła... nie, z impetem pchnęła je na rozcież!

Ta kobieta mnie onieśmielała! Czy działa się tak za sprawą jej wieku? Wątpię. Rzuciła mi gniewne spojrzenie, przeznaczone zapewne dla Beneta. Ponieważ nasza podróż trwała już blisko rok, jej wiek stawał się dla postronnego obserwatora coraz trudniejszy do określenia. Słońce i wiatr sprawiły, że miała karnację bardziej odpowiednią dla wieśniaczki niż damy z towarzystwa. Gęste włosy, które teraz zasłaniała szalem, a nie skromnym czepkiem jak przedtem, nieustannie się spod niego wymykały. Trudno było oderwać od nich wzrok. W tej chwili swobodnie spadały jej na ramiona. Poza tym nie wyróżniała się niczym więcej.

Nie zdążyłem zaoferować jej swoich usług. Wi- działałem, jak rumieniec oburzenia oblewa jej twarz pod opalenizną.

— Czy wszyscy młodzieńcy na tym statku sfik- sowali z kretesem?!

Chciałem odpowiedzieć, kiedy rozległo się wołanie:

— Letycjo!

Pan Prettiman wzywał ją ze swego łoża boleści... zawołał jeszcze raz, lecz w jego głosie nie usłyszałem cienia słabości.

— Letycjo!

Pani Prettiman zamknęła drzwi swojej kabiny, po czym weszła do kabiny małżonka. Rzuciła mi przez ramię:

— Proszę nie odchodzić, panie Talbot. Chcę z panem porozmawiać.

Zniknęła we wnętrzu, a ja czułem się jak uczeń, który nie wie, czy wezwano go, by wydać mu jakieś polecenie, czy też zostanie za coś ukarany. Spodziewając się najgorszego nastawia ucha, by złowić (jeśli

to możliwe) choćby okruczeństwo informacji na temat swego losu, lecz nie może dojść znaczenia dźwięków ledwo dochodzących go ze świata dorosłych. Ja też nie wiedziałem, co myśleć! Pierwszym bowiem dźwiękiem, jaki usłyszałem, był śmiech! Prettiman... człowiek w stanie agonii! I ona... oddana małżonka! Byłem...

Wyszła z jego kabiny. Otworzyłem drzwi do jej pokoju. Weszła do środka, stanęła obok umywalki

i zaczęła oglądać prawą dłoń. Z okrzykiem obrzydzenia chwyciła kawałek płótna i energicznie pocierała zabrudzone miejsce. Zorientowała się, że ją obserwuję, odłożyła szmatkę i opadła na brezentowy fotel. W przypadku podlotka powiedziałaoby się, że zrobiła to gestem wyrażającym rozdrażnienie. Odgarnęła włosy, lecz kosmyk natychmiast powrócił na dawne miejsce.

— Psiakość!

Zerknęła na mnie i zaczerwieniła się lekko.

— Proszę wejść, panie Talbot. I niech pan zostawi drzwi szeroko otwarte. Nie należy zapominać o dobrym wychowaniu. Pańska reputacja mogłaby ucierpieć...

Zdaje się, że stałem z otwartymi ustami, bo pani Prettiman prychnęła poirytowana.

— Niechże pan wreszcie usiądzie na koi! Nie mogę bez przerwy wpatrywać się w sufit. Usiadłem.

— Szanowna pani, chciałem zaoferować pani swoje usługi. Świadom tego, że pan Prettiman jest bardzo słaby...

— To prawda, to prawda!

— Szczęśliwym zbiegiem okoliczności widziałem, jak pan Benet narzucił się...

— Nie mówmy o tym.

— Narzucił się z tymi swoimi żalosnymi strofami... Pani Prettiman westchnęła.

— Najgorsze jest to, panie Talbot, że one wcale nie są żalosne. Mam tylko jedno zastrzeżenie, a mia

nowicie nazywa mnie w nich Egerią. Ten młody człowiek ma talent. Wraz z małżonkiem pragniemy, aby ta sprawa poszła w niepamięć. Po części sama zawiniłam. Nie mam w zwyczaju tracić głowy, lecz słowa, jakimi do mnie przemawiał... sposób, w jaki chwycił moją dłoń... i pomyśleć, że spotkało mnie to ze strony mężczyzny, który mógłby być moim... młodszym bratem, panie Talbot.

— Zasłużył na chłostę!

— Żadnej przemocy! Nie chcę o tym słyszeć!

— Powinien się wstydzić...

— To ja się wstydzę. Nie przywykłam do takiego traktowania. Z radością mogę powiedzieć, że nie zasłużyłam sobie na nie.

Już otworzyłem usta, żeby przyznać jej rację... lecz musiałem się powstrzymać, bo pani Prettiman mówiła dalej.

— Ten ciąg niezwykłych wydarzeń... okropna pogoda... ci prości ludzie, którzy traktują go z taką atencją... wasz uczynek... niezgrabny lecz podyktowany szlachetnymi pobudkami...

Przerwała.

— Proszę mówić.

— On nie jest umierający! Po tym jak nadwerżył pan jego biedną, chorą nogę, opuchlizna zesza. Być może nie będzie chodził. Kryzys jeszcze nie minął, lecz ból znacznie zmaleł.

Dlaczego czuję się zawstydzona, skoro on powraca do zdrowia? Raduję się

i wstydzę! Pan Prettiman przyznaje, że gdyby nie fakt, iż ból ustał, też wstydziłby się swojego powrotu do zdrowia. Widzi pan... i on i ja... ta sytuacja wprawia nas oboje w zakłopotanie. To zakrawa na szaleństwo... lecz taka jest prawda!

— Ja to świetnie rozumiem! Nie umrzeć! W naszej sytuacji tkwi pewien element komediowy

polegający na tym, że rozum lekceważy to, co dyktuje nam serce! Dobrze znam ten stan!

— Panie Talbot! Mówi to pan, człowiek, którego uważałam za niezdolnego do...

— Och, madame* zapewniłam panią, że to uczucie jest mi bardzo dobrze znane. Ale, jak to pani sama zauważyła, tyle spraw się wydarzyło; świat odwrócił się do góry dnem, a my chodzimy teraz głową na dół!

— Zabawnie pan to ujął! Wszyscy się zmieniamy. Myślę, że życie w ciągłym stanie zagrożenia ukazuje nam wszystko w prawdziwych barwach. W jednym tyglu znalazł się nasz posępny kapitan, jedyny człowiek, który może doprowadzić nas do celu, zbutwiały statek, który stara się płynąć, i plany pana Prettimana.

— Pan Prettiman powraca do zdrowia!

— Tak myślę, chociaż nie wyobrażam sobie, by mógł odzyskać władzę w tej nodze. Jak on sobie poradzi ze sprawdzaniem warunków, w jakich przebywają skazańcy? Z niewygodami związanymi z odkrywaniem nowych terenów? Jak on poprowadzi byłych więźniów i osadników do interioru w poszukiwaniu tej swojej ziemi obiecanej?

— Tak, to prawda.

— Aloysius Prettiman... człowiek, który miał stać się tym dla półkuli południowej, czym Tom Paine dla północnej... kaleki i wymagający pomocy... a chciał być przywódcą!

Czysta mrzonka, pomyślałem, lecz nie powiedziałem tego głośno.

— Jestem przekonany, madame, że nasz rząd pospieszy z pomocą!

Patrzyła przed siebie, poprzez ściany, gdzieś w odległą przyszłość. Przeniosła spojrzenie na mnie i uśmiechnęła się... gorzko, pomyślałem.

— Przy zakładaniu Idealnego Miasta? Pańska niewinność jest wzruszająca. Pan Prettiman opowiadał mi o knowaniach i podstępnych poczynaniach rządu! Zapewniam pana, że nasze władze znały jego zamiary, zanim wypłynęliśmy w tę podróż. Teraz może pan wiedzieć wszystko, co wcześniej staraliśmy się przed nimi ukryć, ale... wieziemy ze sobą prasę drukarską.

Zrobiło mi się gorąco, paliły mnie uszy, ale zupełnie nie wiedziałem, co powiedzieć.

Wydawało mi się, że pani Prettiman czyta w moich myślach. Ponownie znalazłem się przed tamtym ogromnym biurkiem.

“Tak się składa, Talbot, że będziesz podróżował tym samym statkiem, co Prettiman i jego prasa drukarska. Miej na niego baczenie”.

— Czy chciał pan coś powiedzieć?

— Będę częścią, wprowadzie bardzo małą, tego rządu.

— Drogi panie Talbot! Nie pana miałam na myśli! Jesteśmy przekonani, że na pokładzie tego statku znajduje się ich szpieg, który ma nas obserwować.

— Szpieg!

— Agent rządowy, jeśli woli pan eufemizmy. Pan Prettiman... — popatrzyła na otwarte drzwi, potem na mnie — ...jest zdania, że jego wypadek wcale nie musiał być zwyczajnym wypadkiem.

— To niemożliwe!

— Proszę przechylić głowę nieco w moją stronę. Powiem coś panu do ucha. Pan Prettiman uważa, że rola pana Bowlesa, rzekomo urzędnika kancelarii prawniczej, jest nader oczywista.

— Bowles!

— Pańskie zaskoczenie jest całkiem zrozumiałe. Taka jest jednak prawda. I co mamy teraz zrobić?

— Myślę, że powinni państwo wrócić do Anglii.

— Uważa pan, że tylko tam... w Europie... znajdziemy specjalistów, którzy potrafią przywrócić mu, chociaż częściowo, zdolność poruszania? Nie będzie łatwo go przekonać, by zrezygnował z raz obranego celu.

— Mimo wszystko, niezmiernie ucieszyła mnie wiadomość, że pan Prettiman nabiera sił.

Wracając do pana Beneta... Proszę mnie zawiadomić, jeżeli znowu będzie się pani naprzykrzał.
Wezmę jego poematy, a jego samego poproszę...

— Szkoda, że to nie jest takie proste. Te wiersze wcale nie są złe. Chociaż nazywa mnie Egerią i jest pompatyczny, jego strofy są zgrabne i znacznie wykraczają ponad to, czego można spodziewać się po oficerze marynarki wojennej. Dodajmy do tego dwa pomysły, którym podobno zawdzięczamy nasze życie...

— Ja pamiętałbym przede wszystkim o systemie lin porucznika Summersa! To głównie one sprawiają, że jesteśmy wśród żywych. Nawet podczas ostatniego sztormu utrzymały statek w całości! Proszę mi wierzyć, pan Summers...

Uśmiechnęła się i przerwała mi gestem dłoni.

— Rozumiem pana. Proszę nic więcej nie mówić. Niech mi pan wierzy, że w chwilach, gdy w sposób nader prowokujący egzekwował pan swoje przywileje, jedyną cechą, która czyniła pana znośnym, był wielki szacunek, jakim darzy pan tego zacnego człowieka! Celny cios. Już wcześniej pisałem, że pani Prettiman jest mistrzynią w wymierzaniu takich ciosów. Zirytowała mnie. Powinienem powiedzieć jej prosto w twarz: "Dama, która przed ślubem oddaje się kopulacji..." ale zmilczałem. Jeszcze mi w myślach dźwięczały te właśnie słowa, kiedy usłyszałem, że mówię coś innego.

— Czy mógłbym przeczytać wiersze dedykowane Egerii?

— Nie ma mowy. Te strofy przyprowadzają mnie o rumieniec wstydu.

Moje myśli zostały ponownie wyparte przez inne słowa:

— Może zgodziłbym się z nimi bardziej niż pani myśli, pani Prettiman.

Straszną to była chwila! Pani Prettiman obrzuciła mnie zdumionym spojrzeniem!

— O jedno proszę, madame. Czy mogę odwiedzić chorego?

— Śpi teraz... mam nadzieję, że śpi. Skończył się nasz zapas laudanum, więc sen jest teraz bardzo cenny i trudno osiągalny.

— Wejść tam cicho jak mysz, usiąść przy koi i będę czekał, aż się obudzi.

Wahała się. Nalegałem.

— Na początku naszej znajomości moje wyobrażenie o pani małżonku opierało się na założeniach zaczerpniętych z niewybrednych karykatur politycznych... Jednak pierwsza wizyta przy jego łóżku... myśl o tym moim upadku na jego chorą nogę... chociaż to właśnie wtedy mogłem stać się mimowolnym sprawcą jego ozdrowienia... ta chwila, kiedy sprawiłem mu ból tak wielki, że stracił przytomność, będzie mnie prześladować do końca życia.

— Co z tego wynika?

— Nie byłbym człowiekiem, gdybym nie pragnął pogratulować mu powrotu do zdrowia, przekazać wyrazów współczucia z powodu okaleczenia i przeprosić za cierpienie, na jakie go naraziłem.

— Trudno celniej to ująć, panie Talbot. Czy to oznacza, że się pan rozwija, że nareszcie wyrósł pan z tego trudnego okresu?

Milczałem, za to ona mówiła bardzo dużo, lecz nie wiem o czym, bowiem tym razem to ja poczułem się zmuszony jej przerwać.

— Proszę nic więcej nie mówić, pani Prettiman. Z racji mojego temperamentu zdarza mi się coś takiego powiedzieć. Moi rozmówcy zazwyczaj są skłonni uważać, że jestem starszy.

— Nie wątpię. Ale i z tego pan wyrośnie.

Jakim prawem ta kobieta, która prowadziła się jak zwyczajna ulicznica, krytykuje moją osobę?

— Nie zamierzam z tego "wyrastać". Czy mogę odwiedzić chorego?

Z kamienną twarzą pochyliła głowę w przyzwalającym geście.

Wszedłem z jej kabiny i zamknąłem za sobą drzwi. Przez czas jakiś stałem pogrążony w zadumie na rozkołysanym pokładzie. Chciałem zachować się w jej obecności z całą godnością i surowością... wszystko na nic!

Przypomniałem sobie dokument, który pan Prettiman oddał w moje ręce, przewidując swój rychły zgon. Czy nie zechce go odzyskać teraz, kiedy czuje się lepiej? Marynarski strój nie ma kieszeni, w których taki list byłby bezpieczny, a nie chciałem by ktokolwiek widział, jak niosę go w ręce. Mógłbym natknąć się na panią Prettiman, z czego niechybnie wyniknęłyby nowe zamieszanie i szereg komplikacji. Ostrożnie otworzyłem drzwi do jego kabiny... w tej samej chwili za ścianą rozległ się huk i syk, jakby potężna fala rozbiła się Okadłub statku. Jak już mówiłem, pan Prettiman leżał teraz z głową przy pulpicie. Wszedłem do środka

I usiadłem na brezentowym fotelu, tuż przy koi. Zauważyłem, że zniknęło już to ogromne wyrzucenie w okolicach jego bioder, zniknęły także koce. Leżał przykryty prześcieradłem i lekkim pledem. Powietrze w kabinie nie było najświeższe. Takie określenie nie pasowałoby do żadnego pomieszczenia, w którym przebywa osoba chora! Widok cienkiej pościeli uświadomił mi nagle kolejną zmianę w naszym położeniu. Mimo że słona woda nadal chlupała nam pod stopami... a para nadal osiadała i spływała po wszystkich ścianach, zbliżyliśmy się, a może nawet już dotarliśmy do wiosny! Jeśli tak dalej pójdzie, pomyślałem, wkrótce przebierzemy się w lżejsze stroje!

Pan Prettiman leżał z zamkniętymi oczami i oddychał miarowo. Na udręczonej i bladej twarzy dostrzegłem cień rumieńców. Jego dłonie spoczywały na pledzie, pod jedną z nich leżała otwarta książka. Wiedziony ciekawością pochyliłem się nad nim, czym mimo woli zburzyłem jego spokojny sen: odwrócił głowę i zaczął ciężko oddychać. Znieruchomiałem przerażony, że być może znowu zadałem mu ból! Po chwili jego oddech wrócił do normy, a ręka zsunęła się z książki tak, że mogłem zobaczyć, co czytał.

— O Boże! Pindar!

Otworzył oczy.

— To pan. Młody Talbot.

— Pani Prettiman wyraziła przypuszczenie, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, bym tu posiedział, dopóki pan się nie obudzi.

— Musiał się pan ruszać? Nie wytrzymał pan, żeby się nie odezwać? Koniecznie trzeba było mnie budzić?!

— Ależ nie, panie Prettiman! To się stało... niechcący.

— A ja o czym mówię? Dajmy temu spokój. Usłyszałem, jak wymienił pan nazwisko autora.

— Owszem. Ma pan pod ręką jego książkę.

— Czytanie w pozycji leżącej bardzo mnie męczy. Szukałem pewnego cytatu, ale przy szóstej "Odzie olimpijskiej" zmorzył mnie sen... Szło to mniej więcej tak: ёóо\mi di KOLI vóioię šv dvdpdaiв nohai. *

Świetnie znalazłem ten utwór.

— Ale to nie jest szósta. Ten ustęp znajduje się pod sam koniec czwartej. Czy mogę...? O, proszę!

— Pan to zna!

— No cóż, życie nie oszczędza nikogo, panie Prettiman. Myślę, że gdybym dobrze poszukał, też znalazłbym kilka siwych włosów na swojej głowie.

— Nie o to mi idzie, chłopcze! Mam na myśli grekę! Nauczył się pan... Dlaczego?

— Myślę, że mi się to podobało. Od czasu, do czasu lubię sobie coś poczytać.

— Żaden chłopiec, który w tym wieku posługuje się greką, nie może być kompletnym durniem... no, może jest niemądry... lecz należy przypuszczać, że będzie robił postępy.

— Trudno powiedzieć o mnie, że jestem chłopcem, panie Prettiman!

— Równie trudno nazwać pana dojrzałym mężczyzną! Proszę się ze mną nie spierać. Przepraszam, że nie mogę przez cały czas patrzeć panu prosto w oczy, ale muszę leżeć... z powodu nogi. Zdaje się, że do końca życia będę chodził o kuli. Jak to jest? Myślę, że chirurgzy przyczepią mi protezę. Czy można wtedy jeździć konno?

— Nie wiem.

— Może da się siedzieć w damskim siodle? Pani Prettiman będzie, oczywiście, siedziała okrakiem w tych swoich marynalach... — Śmiech uwiązał mu w piersiach. — Ludzie będą mówili: "Nadjeżdżają Prettimanowie. Ciekawe, kto jest kim?"

— Przyszedłem pogratulować panu powrotu do zdrowia i zarazem przeprosić za to, że się do tego przyczyniłem.

Tym razem Prettiman śmiał się głośno i długo, aż łzy pociekły mu po twarzy.

— "Przeprosić za to, że się do tego przyczyniłem"!

O, moje biodro!

— Rozumiem pańskie rozbawienie... rzeczywiście mogło to zabrzmieć zabawnie. Też bym tak uważał, gdyby kto inny to powiedział. Chciałem serdecznie przeprosić za ból, jaki panu zadałem.

— Trochę mnie zabolalo, to prawda, lecz gdyby nie pan, moje dni byłyby policzone. Kość udowa w brzuchu... to nie przelewki. Można zatem twierdzić, że zna pan grekę lepiej, niż tego od pana wymagano. Łacinę także, chociaż ta wcale nie zasługuje na uwagę. To język odpowiedni dla poruczników. Proszę mi wytłumaczyć, dlaczego zajął się pan greką. Słucham!

— Nie wiem. Może dla rozrywki? Nie, to chyba za mało. Glaukos i Diomedes...

— Intelktualny snobizm? Chęć stania się lepszym niż sąsiad? Przynależność do elity?

— Owszem... w pewnym stopniu. Ale też i coś więcej... sam pan wie!

— Czy ma pan ambicję zostać biskupem?

— Nie, sir. Nie wolno mi pana męczyć. Chciałem tylko, by wiedział pan, jak bardzo jest mi przykro, że sprawiłem panu ból. Pójdę już...

Boże, jak bardzo ta scena przypominała moją wizytę u pastora Colleya! Chory nerwowo machał prawą ręką.

— Proszę nie wychodzić!

— Obawiam się, że nie potrafię dorównać panu swadą. Więc już chyba...

— Drogi panie Talbot!... Czy to panu odpowiada? Gdyby przyszło panu leżeć całymi dniami, wpatrując się w biały sufit ledwie osiemnaście cali nad głową... nie mam pojęcia, jak to się nazywa w języku ludzi morza...

— W gwarze marynarskiej nazywają to grodzią. Pochlebiam mi, że jestem ciekawszy od białej farby!

— Niezmiernie interesują mnie pańskie opinie. Niektóre poznałem dzięki osobom postronnym, inne,

przyznam się, podsłuchałem, ma pan bowiem zwyczaj perorować w sposób nie tylko donośny, ale i apodyktyczny!

— Skoro...

— Powiedziałem już: proszę nie wychodzić!

— To dopiero był apodyktyczny ton!

— Oczywiście. Musimy nawzajem dobrze się traktować. Niech pan usiądzie... proszę. O, właśnie tak. Jaki jest cel pańskiej podróży?

— Parę miesięcy temu powiedziałbym, że ta podróż ma mnie przysposobić do objęcia odpowiedzialnego stanowiska w rządzie mojego kraju. Dzisiaj moje ambicje są nieco inne.

— Od chwili gdy Alcyone, i młode damy na jej pokładzie, dryfowały u naszego boku... och, proszę siadać! Czy myśli pan, że coś takiego może pozostać prywatną sprawą?

Małżeństwo jest publiczną deklaracją! Wiem coś n.a ten temat!

— Życzyłbym sobie, by małżeństwo wchodziło w rachubę... obawiam się jednak, że dzieli nas różnica stanu.

— Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie! Związku dwóch istot, którego celem jest poprawa ludzkiej doli, nie wolno porównywać z...

— "...blask jej wdzięków zmienia to sklepienie w przybytek światła" *.

— Rozpoczął pan tę podróż wyposażony w obiektywizm ignorancji, a kończy z bagażem subiektywizmu wiedzy, cierpienia, nadziei na odpuszczenie...

— Pan natomiast wybrał się z zamiarem siania zamętu... niepokoju w tej antypodycznej społeczności tworzonej z myślą o jej naprawie! Ten szlachetny gest daje szansę wolności i rehabilitacji elementom przestępczym także w naszym społeczeństwie, w Anglii!

— Pan zna "nasze społeczeństwo"?

— Przecież w nim wyrosłem!

— Szkoła. Uniwersytet. Wiejska posiadłość. Czy był pan kiedykolwiek w slumsach?

— Broń Boże!

— A w wiejskich chatkach w majątkach pańskiego ojca? Czy jego chłopci mają łóżka?

— Są przyzwyczajeni do spania na ziemi. Oni to lubią. Nie wiedzieliby do czego służy łóżko ustawione na nóżkach!

— Pan o niczym nie ma pojęcia.

— Uwierzył pan w prawdy uniwersalne, panie Prettiman. Są wśród nas tacy, którzy nie potrafią ich znaleźć!

— Są i tacy, którzy nie próbują ich szukać.

— Ustalony porządek...

— Jest chory!

Okrzyk szarpnął całym ciałem chorego, po czym przerodził się w ów jęk bólesci, który dawniej napawał mnie przerażeniem. Ciałem Prettimana wstrząsały konwulsje niczym u szczytu rozkoszy, lecz ich przyczyną był ból. Chory zbladł, zgrzytał zębami, pot spływał mu po twarzy. Do kabiny wpadła pani Prettiman. Obrzuciła nas spojrzeniem, po czym wyjęła spod poduszki chustkę do nosa i otarła mu twarz. Zwróciła się do niego półgłosem. Usłyszałem tylko dwa słowa: "Alojzy" i "cicho". Atak bólu zdawał się mijać. Właśnie wstawałem, aby dłużej nie przeszkadzać w tej rodzinnej scenie, kiedy jego dłoń błyskawicznym ruchem zacisnęła się na moim nadgarstku.

— Niech pan zostanie, Talbot. Letycjo. Mamy prawdziwy okaz. Co ty na to? Czy powinniśmy spróbować coś z nim zrobić?

Wyraz "okaz" miał dla mnie wyłącznie medyczne konotacje. Ku mojemu zdziwieniu pan Prettiman nadal nie pozwalał mi odejść. Jego małżonka zaś...

zauważyłem, że tym razem starannie ukryła swoje bujne włosy... nie odezwała się ani słowem, skinęła głową i opuściła kabinę. Obawiałem się, że mogę zostać wciągnięty w jakieś medyczne okropności, lecz chory po prostu wrócił do przerwanej rozmowy.

— Wobec tego, o czym pan ma pojęcie? Zastanowiłem się.

— Wiem, co to jest strach. Wiem, co to jest przyjaźń, która pozwala zamienić złotą zbroję na miedzianą... A przede wszystkim wiem, co to jest miłość.

— Och, doprawdy? Czy to nie przechwałki? A może przemawia przez pana pycha lub zbyt duża pewność siebie?

— Być może, lecz bez miłości stałbym się jak miedź brzęcząca albo cymbał brzącający. Platon już na długo przed świętym Pawłem twierdził, że możemy wznosić się od jednej miłości do następnej.

— Świetnie powiedziane, mój chłopcze! Na półce nade mną stoi książka. Zdaje się, że trzecia z brzegu. Zdejmij ją. Dziękuję. Czy zechcesz mi poczytać?

— Po francusku.

— Nie wyrażaj się z takim lekceważeniem o tym języku tylko dlatego, że znasz jeszcze piękniejszy!

— Prawdę mówiąc, ojciec chrzestny zaaplikował mi taką dawkę Racine'a, że obrzydził mi całą resztę literatury francuskiej.

— Autor tej książki może konkurować z największymi pisarzami antyku.

— Rozumiem, sir. Co mam przeczytać?

Tak oto, wśród kołysania statku, skrzywienia belek i huku wichury, w miarę jak zbliżaliśmy się do nieznanego brzegów, zasiadłem przy łożu tego równie niezwykłego i nieznanego człowieka. Czytałem, z akcentem, który go zadowolił, chociaż mało przypominał francuszczyznę pana Beneta, wyimki z Wolterowskiego "Kandyda"! Wybierał — teraz wiem, że

było to nieuniknione — fragmenty dotyczące Eldorado. Podczas lektury pan Prettiman przeszedł zdumiewającą metamorfozę. Od czasu do czasu potakiwał, poruszał wargami, a w jego oczach pojawił się nowy, wewnętrzny blask, jakby jego źrenice pobierały światło i zarazem je wzmacniały. Słuchał w skupieniu, z wypiekami na twarzy, nie dając ujścia słowom, które cisnęły mu się na usta. Kiedy doszedłem do wypowiedzi le bon vieillard... przerwał mi okrzykiem: "Tak, tak, to jest to!"

Tym razem ja wpadłem mu w słowo:

— Panie Prettiman! Przecież to jest po prostu rozwinięcie Pindara... wątku Wysp Szczęśliwych... ma pan to pod ręką... zaraz znajdę!

Wziąłem książkę, odszukałem fragment i przeczytałem: $\delta\nu\omicron\nu\epsilon\acute{\iota}\xi\epsilon\pi\omicron\nu\ \iota\alpha\lambda\omicron\ \omicron\acute{\epsilon}\text{Kovrai}$ (iwwv, ot) $\chi\&\acute{\alpha}\nu\iota\ \rho\alpha\pi\delta\acute{\iota}\alpha\omicron\nu\ \rho\epsilon\acute{\iota}\ \acute{\epsilon}\nu\ \chi\&\rho\omicron\delta\ \delta\text{Kfj}\acute{\alpha}$.

Kiedy skończyłem wziął ode mnie książkę, popatrzył na tekst, uśmiechnął się i tłumaczył szeptem:

— "Nie znają trosk, w ziemi — w trudzie codziennym rąk — nie grzebią, aby zdobyć chleb, wód nie macą morskich, by żyć" *.

— I jeszcze dalej, sir! Ich mieszkańcy radują się obecnością bogów! Jest tam wieża Kronosa... morska bryza, kapiące złotem kwiaty...

— Tak, tak, przypominam to sobie. Wyznam ci, Edmundzie, że chociaż kazano mi wyuczyć się go na pamięć, ten fragment nic dla mnie nie stracił. Bardzo trafnie zwróciłeś uwagę na podobieństwo do Eldorado. Otrzymałeś solidne wykształcenie, drogi chłopcze... i pięknie czytasz! Nie zapominaj jednak

o różnicy między Pindarem i Wolterem. Pindar pisze o krainie mitycznej...

— Wolter także!

— O nico Jestem przekonany, że Ameryka Południowa znacznie się różniła od krainy, którą odkrył Kandyd! Czy wyobrażasz sobie, że mogło to być na ziemiach spustoszonych przez Kościół rzymskokatolicki?

— Kościół jeszcze tam nie dotarł.

— Eldorado zaś istniało naprawdę... i powstanie nowe.

— Pan jest rozgorączkowany... Może ja już...

— O to właśnie idzie w tej podróży. Czy ty to rozumiesz? Jak ja... ja jestem kaleką. To nie dla mnie, nie dla mnie. Być może ujrzę tę ziemię obiecaną, zobaczę odległy szczyt Eldorado, lecz sama kraina przypadnie w udziale innym!

— Czy o to idzie w tej podróży?

— O cóż innego? Mieliśmy wyruszyć... całą karawaną byłych skazańców, zabrać maszynę drukarską... emigrantów z dobrej woli, kobiety wypuszczone z więzień, i nieszczęsne młode towarzyszyki nieoświeconych mężczyzn...

— Pan majaczy, sir. Zawołam panią Prettiman.

— Zostań.

Milczał przez chwilę. Leżał spokojnie, z głową równo ułożoną na poduszce i zamkniętymi powiekami.

— Znosi się na to... że przeżyję, jeżeli wszyscy przeżyjemy. Powierzyłem ci pewien dokument...

— Też o tym myślałem. Czy przynieść go panu teraz?

— Nie spiesz się tak. Czy ty zawsze musisz być

o jeden krok szybszy? Jestem przykuty do łóżka i, co za tym idzie, zdany na opiekę pani Prettiman. Ona nie może zobaczyć tego dokumentu, ani też nigdy nie powinna się dowiedzieć, że oddałem go w twoje ręce.

— To zrozumiałe, sir.

— Zatem nie przynoś go tutaj. Wyrzuć go do morza.

— Skoro takie jest pańskie życzenie...

— Zaczekaj. Jeszcze jedno... trudno mi o tym mówić... Dowiedz się, Edmundzie, że ta dama jest jak ład, do którego zmierzamy.

— Słucham?

— O Boże! Gdzie się podziała twoja inteligencja, chłopcze? Dziewicza, drogi panie!

— Ach, tak! Jakże... jakże się cieszę! Ja, oczywiście...

Zamilkłem widząc, jak wzbiera w nim gniew.

— Cieszysz się? Cieszysz? Jaki ty masz powód do radości? Poza tym nie życzę sobie żadnych "oczywiście"! Gdyby nie ten wypadek, już by taka nie była..., to znaczy...

— Rozumiem, sir. Nie musi pan mówić nic więcej. Zrobię to natychmiast i z lekkim sercem...

— Nie spiesz się, zachowuj się zwyczajnie, chłopcze... Chociaż chyba powiniem cię nazwać mężczyzną, co ty na to?

— Mam nadzieję. Myślę jednak, że "Edmund" brzmi najlepiej.

— Jakby to wyglądało, gdyby korytarzem pędził młodzieniec, wymachując arkuszem papieru, jak...

— Porucznik Benet? Dochowam dyskrecji.

— Edmundzie! Potrafisz pięknie czytać.

— Dziękuję, sir.

— Pani Prettiman też dobrze czyta, chociaż, oczywiście, nie zna greki. To język zbyt trudny dla niewieściego umysłu.

— Wątpię, czy to się odnosi do pani Prettiman. Mamy przecież sawantki! Rozumiem jednak, co chciał pan przez to powiedzieć. Będę się czuł zaszczycony, mogąc czytać przy

pańskim łożu boleści. A teraz, proszę mi wybaczyć...

— Przychodź, kiedy tylko będziesz miał ochotę... chyba że zasnę...
Opuszczałem go z nader mieszanymi uczuciami,

wśród których dominowała, o dziwo, radość. Począwszy od owej wizyty, uczucie to zawsze kojarzyłem z Prettimanami. Gdy powróciło wspomnienie panny Chumley... tej precudnej i tak rozsądnej młodej osobki... poczułem, że na pewno uznałaby ich za ludzi sympatycznych, mimo że ulegli złudzeniom... ja sam natomiast...

Jak mam to ująć? Niezależnie od tego, jakie bzdury opowiadał pan Prettiman... do tej pory nie jestem zupełnie przekonany, że były to bzdury... słuchacze odchodzili usatysfakcjonowani, w przeświadczeniu, że zostali oświeceni, że t a k, to wszystko jest prawdą. Wszechświat jest wielki i wspaniały, a doznania ciała i umysłu są ukoronowaniem wszystkiego. Wkrótce to uczucie w sposób całkiem naturalny zanikało pod wpływem, rzecz jasna, innych okoliczności, które je przytłaczały!

Tak wyglądał początek najdziwniejszej przygody, jaka mnie spotkała podczas tej długiej podróży. Nasz statek, nieodmiennie poobijany, za to przy pogodzie nie gorszej niż przychylna, pędził na wschód. Moje życie upływało w promieniach osobowości tej pary... czasami pani Prettiman przynosiła swoje brezentowe krzesło i siadała obok mnie podczas lektury. Jakże się różnili od ludzi, których spotykałem do tej pory! On zachowywał się jak mentor i nie było w nim nic śmiesznego, oprócz skłonności do nagłych wybuchów gniewu. Poza tym jego umysł równie łatwo poruszał się w królestwie czasu i przestrzeni, jak i w świecie książek! Ona podążała za nim, nie obawiając się różnicy zdań i nieraz prowadziła nas tam, gdzie nie spodziewaliśmy się dotrzeć. Monarchia, zasada dziedziczenia stanowisk, pułapki demokracji, chrześcijaństwo, rodzina, wojna... czasami wydawało mi się, że odrzuciłem swoje wychowanie tak, jak mężczyzna może zrzucić zbroję, i stoję nagi, bezbronny, lecz wolny!

Po wieczornej drzemce spędzałem czas środkowej wachty z Charlesem. Prezentowałem mu nowe poglądy i poddawałem je próbie jego żelaznych zasad. Odkryłem wówczas, że nigdy przedtem nie sprawdzałem żadnej koncepcji. Studiować Platona i nie weryfikować idei! To wcale nie jest niemożliwe, ja bowiem tego dokonałem!

?

Nie minęły dwa albo trzy dni od mojej pierwszej wizyty u pana Prettimana, kiedy zauważyłem, że Charles się zmienił. Milczał częściej niż przedtem. Początkowo skłonny byłem uważać, iż niepokoi go kondycja naszego statku. Okazało się jednak, że dziwił go, a nawet wydawał mu się niezrozumiały, mój nagły entuzjazm dla naszego filozofa. Charles nie uznawał uogólnień. Nie chciał zgłębiać takich pojęć jak wolność, równość i braterstwo: odrzucał wszystkie trzy, ponieważ wśród Galów wcielano je w życie za pomocą gilotyny i wyjątkowej niegodziwości Korsykanina! Charles miał bardzo praktyczny umysł.

— Nie zrobisz najlepszego wrażenia na gubernatorze kolonii karnej, jeżeli na prawo i lewo będziesz popisywał się takimi poglądami, jakbyś stał się ich zwolennikiem!

Charlesa w zupełności zadowalało to, kim był. W odróżnieniu od moich, jego przekonania zostały zweryfikowane w ogniu wiary, Prettimana zaś przez okrucieństwo i udrękę społecznego potępienia, drwin i antypatii. Po kilku dniach lektur i dyskusji z Prettimanami zapytałem Charlesa o przyczynę jego małomówności. Odpowiedź przyjaciela niepomrotnie mnie zdumiała.

— Zauważyłem, że się ode mnie odsuwasz, Edmundzie. To wszystko.

Chwyciłem go za ramię.

— Nie! Skądże znowu!

Jednak była to prawda. Lubiłem go nie mniej niż dawniej, zrobiłbym dla niego tyle samo, co przedtem. Mimo to, w świecie, który otwierał przede mną Prettiman, znaczenie Charlesa zbladło. Rozumiałem jego praktyczne podejście, wielkie przywiązanie do pozycji jaką zajmował na statku, jego zmagania z uczuciem zawiści i niechęci, wierność tradycji morskiej, która nie pozwalała mu krytykować kapitana nawet wówczas, gdy ten był w błędzie! Doceniałem i podziwiałem jego dobroć. Owszem, zastanawiałem się, czy to wystarcza? Wyobraziłem sobie, ile musiał się naszukać, aby przebrać mnie w suche ubranie na statku, na którym wszystko zdawało się przesiąknięte wodą. Przy okazji tych rozmyślań po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że mój conocny udział w środkowej wachcie jest częścią planu, jaki Charles opracował, aby skrócić o cztery godziny mój pobyt w tej koszarnej kabinie. Przypomniałem sobie także o Glaukosie i Diomedesie: o miedzianej zbroi, jaką dał mi Charles i o złotej, którą mu obiecałem! Jedyną zbroją zasługującą w jego opinii na miano złotej był awans na stanowisko kapitana.

Charles w roli kapitana? Nie wątpiłem w jego odwagę; posiadał przy tym pełną wiedzę kwatermis-trzowską. Charles, gospodarz statku, miałby objąć dowództwo okrętu wojennego i wziąć w swoje ręce odpowiedzialność za los tego świata?

Odważyłem się przedstawić ten problem moim mentorom. Prettiman zasugerował, że powinienem podjąć próbę “cofnięcia” tej znajomości do punktu wyjścia. Pojąłem wówczas, że obiecałem Charlesowi

więcej aniżeli powinienem, lub byłbym w stanie zrealizować. Pan Prettiman odmówił mi swojej pomocy.

— Postąpisz, rzecz jasna, zgodnie ze swoim sumieniem. Jeżeli uważasz, że pan Summers nie zasługuje na promocję, musisz mu to powiedzieć.

Czegoś takiego nie mogłem mu powiedzieć! Nie miałem do tego prawa! W rezultacie podczas wachty i on milczał, i ja. Ach, ta podróż, która kiedyś jawiła mi się jako zwyczajna przygoda! He było w niej wątków, jak różnorodne konsekwencje dla umysłu i charakteru, ile emocji, przykrych lekcji, pospolitych tragedii i bolesnych komedii! Ile żenującej samowiedzy! Roztrząsając bowiem ten problem wyobraziłem sobie, że w przyszłości... gdyby mój podopieczny okazał się niezdolny sprostać warunkom stawianym kapitanowi... ktoś mógłby powiedzieć: “Wie pan, tego człowieka rekomendował Talbot”. Nie raz doszedłem do nader bolesnego wniosku, iż jedyną cechą ludzką pozbawioną granic jest moja własna niegodziwość.

Moje posępne rozważania przerwało kolejne wydarzenie, które ożywiło nasze grono: kwestia długości geograficznej. Wiedziałem już wcześniej, że Benet wraz z kapitanem pracują nad jakąś zawiłą teorią nawigacji, lecz nie przywiązywałem do tego większej wagi. Pochmurny Bowles dostarczył mi najnowszych informacji. Posługując się kałużą wody na stole opisał mi kłopot, z jakim borykał się kapitan. Wcześniej czy później dotrzemy do lądu. Problem tkwi zaś w tym, że chociaż wiemy, co mamy za lewą i prawą burtą, nie jesteśmy w stanie określić naszego położenia na linii dziób-rufa. Krótko mówiąc, jeżeli nie ustalimy naszej długości, może się zdarzyć, że wpadniemy na ląd, zanim go zobaczymy! W dawnych czasach, by tego uniknąć, statki leżały w dryfie od zmroku do świtu, a posuwały się naprzód tylko za dnia.

Oczywiś

cie, Anderson nie mógł pozwolić sobie na taki luksus mając świadomość, że załoga otrzymuje połowę racji żywnościowych, przy czym korzystają z nich tylko ci, którzy mają jeszcze zdrowe zęby. Należy do tego dodać brak pewności, czy prąd okołobiegunowy pomoże nam, czy wręcz przeszkodzi w osiągnięciu celu. Łatwo zatem zrozumieć moje rozdrażnienie spowodowane zadufaniem porucznika Beneta, który twierdził, że potrafi obliczyć naszą długość bez pomocy chronometru. Stłumiłem niechęć do tego człowieka i pamiętając, że trzyma wachtę, zacząłem się w moim stałym miejscu, tuż przy łańcuchach.

— Czy można zamienić z panem kilka słów?

— Wyzwanie?

— Nie teraz...

— O! Czy to znaczy, że znowu będziemy rozmawiać?

— W kwestii długości i chronometrów...

— Już myślałem, że chodzi o pistolety. Panic Talbot! Pan zdaje się uważa, że kapitan Cook woził ze sobą chronometry?!

— Oczywiście!

— Niestety, jest pan w błędzie!

Po tych słowach uskoczył na schodki, ponieważ rozpoczęła się krzątanina przed kolejną czterogodzinną wachtą. Poszedłem za nim, lecz okazało się, że już rozmawia z kapitanem Andersonem. Wymiana zdań na temat księżyców Saturna trwała dłużej niż przekazywanie wachty! Pan Askew zdążył już nawet zejść z pokładu rufowego, a oni nadal rzucali terminami astronomicznymi, jak piłeczką... eklipsy, pa- ralaksa, perigeum, apogeum... Poczułem się nieswojo

i w pewnej chwili pomyślałem nawet, że obaj zdają sobie sprawę z mojej obecności i celowo nie dopuszczają mnie do rozmowy!

— Odległość księżycowa... Zgoda, panie Benet, lecz sprawdzenie...

- Przejdźcie Kalipso. Przekażemy admiralicji... jako metodę Andersona-Beneta! Kapitan roześmiał się na cały głos! Przysięgam!
- Nie, nie! To pan jest jej autorem, chłopcze!
- Proszę mi... nie odmawiać, sir!
- Zastanowię się. Najpierw niech ją pan wypróbuje.

Wszystko było jasne. Kontrast między tą rozgorączkowaną parą... niezależnie od tego, czy ich metoda okaże się skuteczna, czy nie... a moim kochanym i sumiennym Charlesem był porażający. Przez jakiś czas udawałem, że przyglądam się falom, lecz wkrótce miałem serdecznie dosyć tego widoku. Ci dwaj nadal nie zwracali na mnie uwagi, więc nie pozostało mi nic innego, jak odejść. Moja porażka należała do gatunku tych, które łatwo dają się opisać jako wydarzenie, chociaż ich efekt końcowy wymyka się wszelkim próbom oceny. Schodziłem pod pokład

z przeświadczeniem, że odsunięto mnie od sprawy, która dotyczy nie tylko Brytyjskiej Marynarki Wojennej, lecz każdego mężczyzny, kobiety i dziecka na statku. Nie wiem, dlaczego pomyślałem sobie, że podejście do nich i wtrącenie się do rozmowy wymagałoby ode mnie większej czelności, niż miałem na samym początku podróży.

Ostrożnie stawiałem stopy na szczeblach drabinki, ponieważ tego dnia huštało nieco bardziej. Fale zalewały nawet śródokręcie; kiedyś wydałoby mi się to wydarzeniem godnym uwagi, teraz już mi spowszedniało. Po każdym przechyle woda przelewała się na pokładzie... spomiędzy świeżo wyszorowanych desek wyłaziły pakuły, które wiły się w tę i w tę niczym robaki na zatopionym polu. Powlokłem się w stronę jadalni, lecz ujrawszy tęgą postać pana Brocklebanka, który właśnie tam wszedł na szeroko rozstawionych nogach, zdecydowałem, że nie mam najmniejszej ochoty na jego towarzystwo. Zajrzałem wobec tego do pana Prettimana, by zapytać, czy mam mu poczytać. Ucieszył się na mój widok, z braku laudanum bowiem spędził bezsenną noc; ból nie był wprawdzie ostry, lecz męczący. Wydawało mi się, że może mieć gorączkę, ponieważ na jego wydatnych kościach policzkowych zobaczyłem wypieki, a w oczach podejrzany blask. Nie chciał, bym mu czytał. Twierdził, iż trudno mu się będzie skupić. Poprosił mnie za to o informacje na temat kondycji statku; zauważył zmianę pogody. Przyznałem, iż morze jest nieco bardziej wzburzone, ale dodałem również, że żwawo płyniemy naprzód. Właśnie zacząłem mu opowiadać, że tematem numer jeden na statku stał się pomysł pana Benêta, polegający na obliczeniu długości bez odwoływania się do chronometrów, gdy do kabiny weszła pani Prettiman. Roześmiałem się mówiąc to. Pani Prettiman zgodziła się ze mną, powołując się na swoją znajomość globusa, którego używała nauczając młodzież. Oświadczyła przy tym, iż bez znajomości dokładnego czasu na południku Greenwich ustalenie naszej długości jest po prostu niemożliwe.

— Mylisz się, Letycjo.

Oboje okazaliśmy zaskoczenie.

— Benêt twierdzi, że kapitan Cook nie miał chronometrów.

— Słusznie, Edmundzie. Zanim wynaleziono albo, powiedzmy, zanim ulepszono chronometr, przy ustalaniu długości posługiwano się odległością kątową między Księżycem i Słońcem. Wadą tej metody jest niezwykle dokładność wymagana w operowaniu owym przyrządem.

— Benêt znowu ma rację!

— Czy Anderson poważnie traktuje jego pomysł?

— Bardzo poważnie... powiedziałbym nawet, że jest nim zachwycony... Wiadomo... każda propozycja naszego Adonisa spotka się z jego strony z entuzjastycznym przyjęciem.

Pani Prettiman chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie spojrzawszy na małżonka, który ponuro wpatrywał się w sufit tuż nad swoją głową.

— To niegłupi człowiek. Mówiono mi, że Anderson jest wytrawnym marynarzem.

— Pan Summers także. Pan Summers powiedział...

Usłyszałem, jak mój własny głos zamiera. W tej samej chwili odezwała się pani Prettiman:

— Wszyscy wiele zawdzięczamy panu Summersowi, panie Talbot. Opiekuje się nami i całym statkiem.

— Dał również dowody męstwa, madame. Podczas ostatniego sztormu, wśród napierających wód, on jeden wytrzymał przy kole sterowym z narażeniem własnego życia! Pan Prettiman chrząknął.

— Nikt nie wątpi, że nasz pierwszy oficer posiada cechy, o których wspomniałeś, lecz mniemam, że nie doświadczyłeś jeszcze, na czym polega różnica między osobą, która ma wrodzone zdolności matematyczne, a kimś, kto ich nie ma. To są ludzie skrajnie od siebie różni... to kwestia jakości, a nie ilości.

Milczałem. Głos zabrała pani Prettiman:

— Mówi się, że to pan pomógł panu Summersowi. Zdaje się, że jako kobiecie, wolno mi dać wyraz naszej wdzięczności.

— O Boże! Skądże znowu, madame! Nie ma za co...

— Ponieważ zdarzało mi się dać wyraz innym odczuciom i opiniom, tym razem z przyjemnością oświadczam, że pański czyn zasługuje ze wszech miar na pochwałę!

Pan Prettiman niespokojnie rzucał głową na poduszce.

— Nie mogę pojąć, na czym zasadza się ta metoda... czy Benêt zamierza posłużyć się drogą Księżycy... W jaki sposób? To wcale nie będzie łatwe...

— Mój drogi, czy nie powinieneś odpocząć? Pan Talbot na pewno...

— Oczywiście, madame. Już wychodzę...

— Zostań, Edmundzie. Nie spiesz się tak. Mój umysł działa całkiem sprawnie, Letycjo. Widzę to ich niebo tak wyraźnie, jak ciebie. Nie ma przyjemniejszego zajęcia niż obserwowanie gwiazd!

— Nie powinien się pan przemęczać, sir.

— "...majestatyczna przestrzeń złotymi obsypana iskrami..." *

— Skoro już o tym mowa... "...sklep nieba jasno wybity złotymi gwiazdami..."**

— Ciekawe, czy pan Benêt tak właśnie widzi niebo przez swój sekstant?

— Ten młody człowiek jest poetą, mój drogi. Czy mam rację, panie Talbot?

— Pan Benêt pisze wiersze, madame... kto tego nie robi?

— A pan?

— Wyłącznie po łacinie. Nie ważyłbym się przyoblekać moich skromnych przemyśleń w słowa tak proste i niewyszukane, jakie ma do zaoferowania język angielski.

— Imponuje mi pan, panie Talbot.

— Korzystając z chwilowej przewagi proponuję, by... wzorem pana Prettimana... zwracała się pani do mnie po imieniu.

Wydawało mi się, że moja sugestia wprawiła ją w zakłopotanie. Postanowiłem nie dać za wygraną.

— Nie będzie w tym nic złego, madame... wzięwszy pod uwagę...

Wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Chciał pan powiedzieć: wzięwszy pod uwagę mój wiek! Edmundzie, drogi chłopcze, jesteś doprawdy niezrównany!

— Prowadziliśmy poważną dyskusję, Letycjo.

O czym to mówiłem?

— Przytaczaliście różne cytaty, aby umieścić wszechświat na stosownej płaszczyźnie literackiej.

— Nie ma nic przyjemniejszego nad wznoszenie się od tak prozaicznego zagadnienia, jak dokładne obliczenie naszej pozycji na tym globie, ku rozważaniom na temat wszechświata, w którym przyszło nam żyć.

— Ponadto... proszę zauważyć, że znajduje on prawdziwsze odzwierciedlenie w poezji niż w prozie!

— Alojzy zapewne się z tobą zgodzi, Edmundzie, ale ja jestem prostą kobietą.

— Zbyt nisko się cenisz, Letycjo. Edmundzie... mów dalej.

— Problem polega na tym, że... podczas tej podróży stopniowo i z różnych powodów... zacząłem postrzegać poezję nie jako rozrywkę czy po prostu piękno... lecz jako coś wzniosłego... pełny wymiar człowieczeństwa... w nocy, w blasku gwiazd... w obliczu niedorzeczności Natury... wstydzę się takiego wyznania...

— Ależ chłopcze! Czy ta całość może być inna niż po prostu dobra? Ona musi być dobrocią! Czy nie dostrzegasz tego gestu, świadectwa, tej oczywistej deklaracji, muzyki... kiedyś nazywano to wezwaniem, Absolutem! Trzeba z nią żyć w harmonii, każdy powinien ją przyjąć i nań się otworzyć... Zapewniam Cię, Edmundzie, że nawet wśród tych zdeprawowanych nieszczęśników przebywających w krainie, ku której zmierzamy, nie znajdziesz nikogo, kto nie mógłby podnieść czoła i spojrzeć prosto w płomień tej miłości, owej szczególnej x«pię*, o której mówiliśmy!

— Nawet przestępcy?

— Wyobraź sobie naszą karawanę, my, z płomieni tutaj, na dole... iskry Absolutu... w harmonii z ogniem tam, w górze... wszędzie! W chłodzie nocy posuwamy się przez pustynne obszary nowego ładu ku Eldorado, mając przed oczami tylko Absolut, a w uszach tę muzykę!

— Rozumiem. To będzie... przygoda, jaka się jeszcze nie zdarzyła!

— Możesz się do nas przyłączyć, Edmundzie. Każdy może... Nie ma żadnych przeszkód!

— Pańska noga, sir. Obawiam się, że pan o niej zapomniał.

— Nie zapomniałem. Wydobrzeje. Wiem, że tak się stanie. Uzdrawi mnie płomień, który noszę w sobie. Wiem, że tak się stanie! Ja tam będę!

— Niemniej jednak za radą pani Prettiman proszę leżeć spokojnie.

— Ale ty przyłączysz się do nas!

Nie odpowiedziałem. Milczenie narastało, przeciągało się, aż usłyszałem chlupot wody pod kadłubem, który przemówił niczym głos obywateli się bez słów. Pojąłem wówczas, że słowa są zbyt cenne, że jest mi to bliższe niż jakiejkolwiek deklaracje: chłodna, prosta świadomość, którą nazywamy zdrowym rozsądkiem.

Mimo to doznałem olśnienia! W tym coraz bardziej dusznym pomieszczeniu czułem przez moment siłę tego człowieka, potęgę jego namiętności. Mignął mi nawet, a może było to tylko złudzenie, nasz wszechświat w postaci bańki unoszącej się w bezkresie złocistego oceanu Absolutu, wśród miriadów iskieł: każda z nich była klejnotem w głowie zwierzęcia, które mogło wstąpić na drogę poprawy.

Oboje bacznie mi się przyglądali. Zacisnęły mi się pięści i pot wystąpił na czoło. To był dziwny rodzaj wstydu... wstydzilem się, że nie potrafię powiedzieć Po prostu: "Tak, pójdę z wami".

Ogarnęła mnie

złość, nagle bowiem poczułem się przyparty do muru, jakbym dal się schwytać filozoficznemu rozbójnikowi zbrojnemu w poezję i astronomię! Przeniosłem wzrok od jego rozgorączkowanej twarzy i pełnego nadziei spojrzenia na panią Prettiman. Patrzyła na swoje dłonie... nie tak jak czyni to marynarz, oglądając ich wnętrza... lecz na palce i paznokcie. Rzuciła mężowi krótkie spojrzenie.

— Myślę, że powinieneś postarać się zasnąć, mój drogi.

Wstawałem powoli, kiwając się dla zachowania równowagi.

— Jutro panu poczytam, sir.

Uniósł brwi, jakby nie wiedział* o czym mówię.

— Poczytasz mi? Oczywiście!

Próbowałem uśmiechnąć się do pani Prettiman, lecz obawiam się, że był to tylko żaloszny grymas, po czym wyszedłem z kabiny. Zanim zamknąłem drzwi, usłyszałem, jak coś mówiła do niego półgłosem. Nie wiem, co mu powiedziała.

Przekonywałem się, że nadarzy się jeszcze niejedna okazja do rozmowy, podczas której będziemy mogli pogłębiać naszą znajomość. Przepajało mnie żarliwe pragnienie, podobne jego pasji, zdobycia ich przyjaźni. Niestety od samego początku wiedziałem, że musiałbym zapłacić za to nieprawdopodobnie wysoką cenę. Jestem przecież zwierzęciem politycznym, mam swoją, głęboko ukrytą, iskrę... zniżyć się teraz do języka odpowiedniego dla sierżantów... tę scintillans Dei. Uważam, że wystarczającym powodem, dla którego miałbym zapoznać się z Absolutem, jest to, iż zawsze pragnąłem sprawować władzę dla dobra mojej ojczyzny: tak się szczęśliwie składa, że w przypadku Anglii oznacza to również pożytek dla całego świata. O tym nie wolno zapominać.

Tej samej nocy sternik obudził mnie nieco wcześniej. Czekałem na Charlesa pod kopułą rozgwieź

dzonego nieba, usianego barankami, które oświetlał blask księżyca. Przyznaję się, że obserwowałem niebo, zdając sobie sprawę z jego niedoścignionego piękna, lecz niestety nie dostąpiłem tego uniesienia, które pozwoliłoby mi dostrzec Dobro lub Absolut widziane tam przez pana Prettimana. Logika nie rozbudza wiary, podczas gdy zapal z łatwością do niej prowadzi. Prettiman przekonywał swoim entuzjazmem: więc jeżeli go tu nie ma... po co miałbym sobie zawracać głowę? Jego przykra obecność okazała się nieodzowna. Owszem, bez niego pamiętałem to zdarzenie, lecz nie potrafiłem odtworzyć towarzyszących mu emocji... może nawet percepcji. Odkrycie, że jestem ulepiony z innej gliny niż fanatycy, przyjąłem, muszę to przyznać, z pewnym żalem. Dołączyła do niego bolesna świadomość, że sprawiłem zawód pani Prettiman. Tym bardziej ucieszyłem się na widok Charlesa, lecz on zachowywał się powściągliwie. Milczeliśmy przez jakiś czas, niezdolni zacząć rozmowę. Kiedy w końcu przerwaliśmy tę ciszę, obaj wybuchnęliśmy gromkim śmiechem.

— Pan pierwszy, sir.

— O, nie. Pierwszy oficer przodem, ja dopiero za nim. Nie wolno dopuścić do tego, by aspiranci korzystali z prawa pierwszeństwa!

— Nalegam!

— No, dobrze... czy to jest Jowisz? Gdzie jest Krzyż Południa?

— Krzyż Południa powinien być za tą chmurą. Ale Jowisz nie jest potrzebny do nawigacji.

— Nie znajduje zastosowania nawet w nowej metodzie pana Beneta?

— Nie wspominaj mi o tym. Na samą myśl...

— Co takiego?

— Nieważne.

— Zazdrość nie pasuje do ciebie.

— Zazdrość? Jak mogę być zazdrosny o hoch-

sztaplera? To... to nie była przychylna uwaga, Edmundzie.

— Przepraszam.

Pokiwał głową i bez słowa odszedł do kompasu. Chmura przesunęła się, lecz nadal nie mogłem znaleźć Krzyża Południa, mimo że Charles pokazywał mi go już wcześniej. To mało znacząca konstelacja.

Charles wrócił.

— Ja też muszę cię przeprosić, Edmundzie. Mam chandrę i nie potrafię się z niej wyzwolić.

— Coś ci powiem, przyjacielu. Powinieneś poddać się najdziwniejszej kuracji! Kuracji Prettimanów!

— Nie wątpię w ich mądrość, lecz nie mam poczucia humoru.

— Co też ty wygadujesz! Bez trudu wyciągną cię z chandry. Zanim się zorientujesz, dasz się porwać dyskusji o sprawach tak wzniosłych, że zapomnisz o sobie i swoich drobnych kłopotach.

— Doświadczyłeś tego?

— Podczas wizyty u nich. Oczywiście nikt... oprócz Prettimana... nie potrafiłby żyć w takim uniesieniu, na takich wyżynach i tak intensywnie!

— To jaka jest z tego korzyść?

— Spróbuj chociaż jednej dawki!

— Nie, dziękuję. Mieliśmy okazję poznać działanie tego lekarstwa na redzie w Spithead i Norę.

— Prettiman jest zupełnie inny! Ma w sobie coś... czego nawet ja, zwierzę polityczne wyposażone w równą mierze w ambicję i zdrowy rozsądek... kiedy tam jestem...

Charles zniżył głos.

— Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? Czy ty wiesz, gdzie jesteś? To szaleństwo! Nie wolno ci zadawać się z jakobinem, ateistą...

— On nie jest ateistą!

— Cieszę się.

— Nie wyglądasz na zadowolonego!

— Ale jestem. Ponieważ to oznacza, że jego nik- czemność ma swoje granice.

— Jesteś niesprawiedliwy!

— Nie rozumiesz. Spędziłem całe życie na morzu

i, jeśli los mi pozwoli, dokonam żywota na pokładzie. Po raz pierwszy płynę statkiem pełnym emigrantów i pasażerów.

— Nazywacie ich "świniami".

— Oni się przed nim płaszczą. Prettiman jest sprytny i nie mówi niczego, w czym można by domyślać się zaproszenia do...

— Na Boga! Do czego?

— Nie przejdzie mi to przez usta.

— Denerwujesz mnie!

Odwrócił się i wszedł po drabince na pokład rufowy. Nie ruszyłem się z miejsca.

Nieoczekiwana rozbieżność między nami wprowadziła mnie w rozdrażnienie. Widziałem go na górnym pokładzie. Ścisnął kurczowo poręcz i wpatrywał się w morze za rufą skąpane w blasku ubywającego księżyca. Marynarze rzucili log, lecz meldunek złożyli Charlesowi, nie mnie. Po krótkiej wymianie zdań marynarz zszedł po drabince, uniósł brezent i wpisał cyfrę siedem.

Otrzymałem kolejną nauczkę... wcześniej zrobili to Benêt i kapitan Anderson.

Charles stał pochylony nad relingiem, podczas gdy ja patrzyłem w przeciwnym kierunku, opierając się o poręcz poziom niżej. Statek kołysał się, wiatr przybierał na sile, a ja przypatrywałem się żaglom na trzech masztach i statkowi pogrążonemu w poświacie barwy kości słoniowej... starej kości słoniowej. Siedem węzłów na wschód! Nie sposób się było dąsać.

Wspiąłem się na pokład rufowy i stanąłem za jego plecami. Odezwałem się niemal szeptem:
— Czy to znaczy, że mogę się oddalić?
Ku mojemu zdziwieniu Charles nie zniżył głosu,

w którym nie usłyszałem złości. Spuścił tylko głowę i przemówił zbolonym tonem:

— Nie. Nie.

— On tak nie mówi. Ostatnio... jeżeli go dobrze zrozumiałem, mówił o boskim ogniu tam w górze, i na dole...

Charles wyprostował się.

— Tutaj?

— To... przenośnia.

— Płyty ciągle są gorące. Tam, na dole, tli się prawdziwy ogień...

— Nie! Nie o to chodzi! Nie rozumiesz mnie. I jego nie rozumiesz.

— Wygląda na to, że nikogo nie rozumiem. Benet jest w łaskach. Anderson zwraca się do mnie, jakbym był aspirantem. A ty narażasz się na niebezpieczeństwo. Nie pojmujesz? Zaczynam nareszcie widzieć, jak niezwykłym miejscem jest statek. Byli tacy, którzy nie uniknęli stryczka!

— Na Boga, Charlesie! Rozchmurz się! Płyniemy na wschód z prędkością siedmiu węzłów, mamy żagle na wszystkich masztach, twój system lin trzyma cały kadłub, wszystko idzie jak najlepiej!

— Nie wiem, co myśleć. Czuję się zagubiony. Wydaje mi się, że znalazłeś się w niebezpieczeństwie.

— Przestań gadać jak stara baba! Nic mi nie grozi. Prowadzę dyskusje na tematy filozoficzne z drugim dżentelmenem i nawet do głowy by mi nie przyszło wciągać prostych marynarzy do naszych rozmów.

— Dziękuję ci w imieniu prostych marynarzy.

— Znowu dostałem po łapach! Co się z tobą dzieje? Za co te wszystkie docinki? Rozchmurz się. Popatrz, na wschodzie wstaje świt, tam przed dziobem...

Roześmiał się w głos.

— Dlaczego się śmiejesz?

— Świt o tej porze?

—■ Przecież tam... chmura zasłoniła. Płyniemy prosto na wschód z prędkością siedmiu węzłów, Charlesie! To powinno ucieszyć każdego marynarza, ponuraku!

— Świt!

— Tam... trochę w prawo... jeden stopień w prawo od dziobu...

Odwrócił się, żeby popatrzeć we wskazanym kierunku.

— Widać całkiem wyraźnie, Charlesie, co się z tobą dzieje? To nie jest duch... patrz, tam i tam... coraz wyraźniej...

Milczał przez chwilę, coraz mocniej zaciskając palce na moim ramieniu.

— Boże, miej nas w swojej opiece!

— Dlaczego?! Co się stało?!

— To jest góra lodowa!

— Bosman! Cała załoga na pokład! Poślaniec! Wezwij kapitana! Edmundzie, zejdz z drogi... Zszedłem na rufę. Mdła poświata, którą wziętem za początek jutrzeńki, zniknęła mi z oczu. Przed dziobem mgła... być może spowodowana obecnością lodu... deszcz i niskie chmury przykryły wszystko nieprzeniknioną zasłoną.

Za plecami usłyszałem miarowy odgłos kroków kapitana Andersona.

— Odległość, panie Summers?

— Trudno powiedzieć, sir.

— Rozmiary?

— Pierwszy zobaczył ją pan Talbot.

— Panie Talbot! Jak duża była ta góra?

— Nie widziałem końca... z żadnej strony, sir. Ciągnęła się na lewo od dziobu... mniej więcej pod takim kątem, i jeszcze dalej po prawej stronie. Wyglądała jak ciągły pas.

— Nisko nad wodą?

— Nie, sir. Jak skalne urwisko.

Niecierpliwie oczekiwałem rozkazu zbroczenia z kursu na wschód.

— Twierdzi pan, że po prawej stronie góra ciągnie się pod znacznie większym kątem niż po lewej?

■— Tak, sir. Może... za sprawą mgły...

— Panie Summers, czy był komunikat od obserwatora na dziobie?

— Nie, sir.

— Wsadzić go do aresztu.

— Aj, aj, sir.

Chciałem krzyknąć: "Zmień kurs, na Boga!" Ale kapitan Anderson wydawał rozkazy głosem tak spokojnym jak jego chód.

— Panie Summers. Półwiatrem lewym halsem. Wróciłem na swoje miejsce przy relingu i chwyciłem się go tak mocno, jakbym podświadomie chciał zmniejszyć naszą prędkość. Próbowałem nawet przesunąć poręcz, jakby była kołem, jakbym mógł, w pojedynkę, zmienić kurs statku.

Wśród odgłosów gwizdków, wszędzie na pokładzie powtarzano rozkaz:

— Cała załoga na pokład! Słyszycie?! Cała załoga na pokład!

Ktoś rozkołysał okrętowy dzwon. Nie uderzał weń odpowiednią ilość razy, odmierzając czas i ogłaszając zmianę wachty, lecz bił bez przerwy. Marynarze roili się niczym pszczoły obudzone w nieodpowiedniej porze roku jakimś przypadkowym uderzeniem w ul. Owady potracają się, obijają i potykają o siebie nawzajem, tworzą grupki aby stawić czoło wyimaginowanemu zagrożeniu. Majtkowie wskakiwali na olinowanie, niektórzy nawet nie korzystali z drabinek... widziałem, jak jeden z nich wciągał się na rękach (wyprostowane nogi trzymał pod kątem prostym do reszty ciała) na pionową linę, aż zasłonił mi go żagiel. Inni gromadzili się na dziobie, przebiegali przez śródkręcie, gwałtownie hamując przy każdym szocie i sztagu. Znaleźli się i tacy, którzy wtargnęli

na pokład rufowy. Niewielu zdążyło przywdziać brezentowe bluzy, chociaż panowała zła pogoda. Niektórzy wybiegli półnady lub całkiem nady, tak jak wyskoczyli z hamaków. Wśród nich i za ich plecami zaczęli pokazywać się emigranci. Pode mną, na śródookręciu, zbierali się pasażerowie. Pan Brock- lebank coś do mnie krzyczał, lecz nie miałem ochoty go słuchać. Kapitan Anderson wpatrywał się w kompas. Na całym statku liny po lewej stronie świszczwały przeraźliwie, a po prawej z jękiem napinały się do granic wytrzymałości.

— Panie Summers.

— Sir?

— Postawić wszystkie żagle, jakie się zmieszczą.

— Fokmaszt, sir!

— Słyszał mnie pan, panie Summers. Każdy cal płótna!

Charles odwrócił się, by przekazać polecenie na śródookręcie. Jeszcze nigdy marynarze nie poruszali się tak żwawo. Wydawało się, że wykonują rozkazy gdy tylko kapitan otworzy usta, zanim bowiem Charles zdążył przekazać przez tubę polecenie Andersona, już wspinali się na wanty, jakby słowa "góra lodowa" przedostały się przez każdą belkę naszego rozpędzonego statku! Coraz więcej żagli nabierało wiatru z hukiem przypominającym armatni wystrzał. Charles ruszył przed siebie. Widziałem, jak gestem odganiał z drogi emigrantów. Wśród nich znajdowały się kobiety... pani East w powłóczystej sukni, na którą w powszechnym zamieszaniu zarzuciła cienki szal. Góra lodowa nadal pozostawała niewidoczna. Poma- rańczowy zachód księżyc sprawił, że wydało się nam... mnie... że widzę górę na wschodzie, w głębi korytarzy tu i ówdzie otwierających się w tumanach mgły. Teraz większość przejść była zamknięta.

Usłyszałem głos Andersona.

— Jeszcze jeden punkt w lewo.

Znowu rozległy się gwizdki i rozkazy wykrzykiwane przy każdym z masztów i przekazywane dalej wśród migoczącej masy płótna. Kiedy przekręcono kołem sterowym w prawo, zawyły wszystkie wanty. W powietrzu krzyżowały się okrzyki: "Luzuj!" "Skret!", "Trzymaj!", i "Dwa wielokrażki na linii dodatkowej!". Być może coś poplątałem, chociaż wszystko i tak już było mocno zagmatwane. Siłą woli starałem się zmusić statek, aby ominął tę potworną górę. Przechyliliśmy się na prawą burtę, kiedy nagły poryw ryczącego wiatru i wysoka fala zmyły grupkę emigrantów na śródookręcie! Płynęliśmy coraz szybciej. Tu i tam pomiędzy żaglami zaczęły pojawiać się białe żagle boczne, stosowane przy sprzyjającej pogodzie. Rozwijanie ich w takich warunkach było posunięciem rozpaczliwym, ale też i taka okazała się nasza sytuacja. Kapitan wydał konkretny i stanowczy rozkaz.

Jego charakterystyczny ryk rozległ się ponownie.

— Każdy cal żagla, jaki się zmieści!

Tak jak podczas tamtego okropnego sztormu, nasze maszty przechylały się, lecz tym razem na prawą stronę i nie z powodu wichury, a za sprawą nadzwyczajnej liczby żagli, które wciągnięto nawet na prowizoryczne stengi! Fala, która zaskoczyła nas od strony rufy, rozlała się po całym pokładzie. Kolejne poszły w jej ślady, a każda z nich zdawała się popychać nas w niepożądanym kierunku.

Charles wspinał się do nas ze śródookręcia.

— Widziałem ją, sir. Nie wygląda jak zwyczajna góra lodowa. Ciągnie się od północy aż na południe. Nie widać żadnego jej końca. Góra, którą zobaczył pan Talbot, ma od stu do dwustu stóp wysokości.

Jakby dla zobrazowania jego słów, chmury czy może mgła po prawej stronie rozsunęły się i ujrzeliśmy lodowy masyw, który połyskiwał nieco bardziej niż nasze żagle, odbijając światło z niewiadomego źródła, księżyc bowiem już dawno zaszedł. U stóp

góry pieniała się kipiela bielsza niż sam lód. Po chwili kurtyna żółtawej mgły zamknęła się na naszych oczach. Kapitan Anderson oparł się o poręcz wpatrzony w mgliste opary, jakby chciał je przejrzeć na wskroś. Ani on, ani Charles nie powiedzieli na głos tego, co było jasne dla wszystkich bez wyjątku... jeżeli otrzymamy się

O ukrytą masę lodu, nikt z nas nie ujrzy blasku poranka. Widziałem to niebezpieczeństwo, zrozumiałem każdy szczegół, a teraz zaczynałem je odczuwać. Źródłem chłodu, jaki wciskał się pod płaszcz przeciwdeszczowy

I ciepłą odzież, nie była Antarktyda. Chłód natychmiast przemienił się w falę gorąca, ponieważ mgły po prawej stronie dziobu rozsunały się na moment, ukazując moim oczom lodową przeszkodę, która znacznie się do nas przybliżyła. Uświadomiłem sobie wówczas, że za moment rozegra się przerażający akt, który — wykonany z pełną obojętnością — okaże się epizodem scenicznym trwającym jedno mgnienie oka.

— Tam!

Czy to ja krzyknąłem? Zapewne. Na naszych oczach ściana widocznej części góry osunęła się we wzbierającą akurat falę. Dwa olbrzymie kawały lodu, które odpadły, nim włączyliśmy się w to widowisko, wyskoczyły z wody niczym łososie! Przysięgam, że były wielkości statku.

Kiedy zaczęły ponownie się zanurzać, mgła przesłoniła nam cały widok.

Jak reaguje człowiek, który nie ma do zaoferowania żadnej pomocy ani rady, w obliczu tak monstrualnego zagrożenia, wiedząc przy tym, że jeśli nie wydarzy się cud, niechybnie zostanie unicestwiony? Myśl ta sparaliżowała mnie w znacznie większym stopniu niż polarny chłód.

Stałem jak przykuty do relingu na pokładzie rufowym, obojętny na wiatr, rozpryskujące się fale i zieloną toń: skupiłem się na zagrażającym nam niebezpieczeństwie. Poraziła mnie potworność tej obojętnej i nieczulej, a zarazem przytłaczającej siły, wobec której nasz niedorzeczny drewniany

kadłub i żagle nie miały żadnych szans. Skończymy jak dziecinna zabawka, porwana przez prąd, zdruzgotana...

Nie. To trzeba przeżyć. Paraliż wywołany strachem jeszcze nie ustąpił, gdy za prawą burtą spostrzegłem falę poprzeczną, która sunęła ku nam od miejsca, gdzie ogromne bloki lodu osunęły się do wody. Przewaliła się przez pokład. Dziób statku uniósł się, żagle zatrzepotały, po czym z łoskotem wypełniły się, podczas gdy marynarze zmagali się z kołem. Statek kołysał się, tracąc prędkość wśród wzburzonej kipieli...

Czy mój głos przyłączył się do pozostałych? Chyba tak. Mam nadzieję, że było inaczej, lecz nigdy się tego nie dowiem. Słyszałem piski kobiet, okrzyki przerażenia mężczyzn, i to nie tylko wśród emigrantów i pasażerów, lecz nawet wśród marynarzy na olinowaniu, jakby już wybiła nasza ostatnia godzina. Śródkręcie pode mną tonęło w wodzie, która jeszcze nie zdążyła spłynąć przez otwory ściekowe. Tańczyły nad nią czarne liny z uczepionymi czarnymi postaciami, które wynurzały się w miarę ściekania wody.

Zobaczyłem znajomą postać w czystym płaszczu przeciwdeszczowym. Po kolana w wodzie — tuż pode mną — wchodził na pokład pan Jones, nasz bystry, egocentryczny i rzetelny płatnik. Brnął ku swojej łodzi na dziobie. Niósł w ramionach, niczym dziecko, baryłkę lorda Talbota, całą masę pamiątek, testamentów i ostatnich zleceń, których przysięgł pilnować, nie zdając sobie sprawy z tego, że był pośmiewiskiem wszystkich bez wyjątku! Szedł na dziób, aż zniknął za grotmasztem. Widok ten przypawił mnie o atak histerycznego śmiechu.

Charles, który się oddalił w jakiejś sprawie, wracał biegiem, rozchlapując zieloną wodę na pokładzie. Kapitan Anderson odezwał się stanowczym tonem:

— Panie Summers, musimy pójść bardziej na wiatr.

— Fokmaszt, sir!

Kapitan ryknął:

— Panie Summers!

Charles rzucił mu prosto w twarz:

— Pozwolę sobie stwierdzić, że maszt nie wytrzyma większego obciążenia. Jeszcze trochę...

— Czy może pan zaproponować lepsze rozwiązanie? Spycha nas w stronę góry lodowej.

Po dłuższej chwili milczenia kapitan rzucił poirytowanym głosem:

— Czy nadal usiłuje pan podawać w wątpliwość osiągnięcie pana Beneta?

Charles odparł chłodno:

— Nie, sir.

— Wykonać rozkaz.

Charles oddalił się. Znowu rozległy się krzyki i odgłosy gwizdka. Szoty od zawietrznej wybrano na sztywno. Żagle straciły wypukłość, aż przy każdym szocie powstały zmarszczki na kształt rozczapierzonych palców; napięte płótno furczało. Na pokład rufowy wskoczył pan Tommy Taylor. Zdjął kapelusz przed kapitanem.

— Słucham?

— Cieśla, pan Gibbs, sir, mówi, że statek nabiera dużo wody. Ludzie nie odchodzą od pomp, a wody przybywa.

— Dziękuję.

Chłopak uklonił się i już zamierzał odejść, kiedy zatrzymał go kapitan.

— Panie Taylor.

— Sir?

— Co to za dureń siedzi tam, w łodzi? Odezwałem się, ponieważ chłopak najwyraźniej nie wiedział, co powiedzieć.

— To jest pan Jones, płatnik. Czeka w swojej łodzi, aż specjalna grupa marynarzy uratuje go, podczas gdy my wszyscy będziemy tonąć.

— Przeklęty dureń!

— Podzielam pańską opinię, kapitanie.

— To najgorszy przykład. Panie Taylor!

— Sir?

— Usunąć tego człowieka.

Pan Taylor oddalił się. Prawie natychmiast straciłem go z oczu, ponieważ moją uwagę pochłonęła góra lodowa, która ukazała się, już nieco bliżej, po czym zniknęła. Była bardzo wysoka i lśniła jeszcze bardziej niż przedtem, tym razem zapewne w blasku prawdziwego dnia. Anderson też ją zobaczył. Popatrzył na mnie z tym okropnym uśmiechem, przeznaczonym dla stojących nie opodal w chwilach największego niebezpieczeństwa. Myślę, że ten uśmiech miał być wyrazem męstwa. Wprawdzie od początku podejrzewałem, że ten człowiek jest pozbawiony wszelkich uczuć wyższych, lecz ani ja, ani nikt inny... poza nieszczęsnym, głupim, pijanym Deverelem... nie podawał w wątpliwość jego odwagi.

— Kapitanie... czy nie możemy odwrócić się jeszcze trochę?

Z przerażeniem usłyszałem swój własny głos, jakby to ktoś inny ośmielił się na tak arogancką propozycję. Uśmiech kapitana Andersona drgnął. Jego prawa pięść zacisnęła się wymownie: "Jak bardzo bym chciała przyłożyć w twarz temu bezczelnemu pasażerowi!"

Kapitan chrząknął.

— Właśnie zamierzałem wydać taki rozkaz, panie Talbot.

Odwrócił się i krzyknął do Charlesa:

— Jeszcze jeden punkt na nawietrzną, panie Summers.

Wśród marynarzy zapanowało ożywienie. Nagle przypomniałem sobie o pani Prettiman i jej złożonym niemocą małżonku. Zbiegłem pod pokład, energicznie przepychając się przez grupkę

pasażerów stłoczoną przy samym wejściu. Pani Prettiman stała

między drzwiami prowadzącymi do ich kabin. Kurczowo trzymała się poręczy. Uśmiechnęła się na mój widok. Podeszedłem do niej.

— Pani Prettiman!

— Panie Talbot... Edmundzie! Co z nami będzie? Zebrałem się w sobie i w krótkich słowach przedstawiłem jej sytuację. Wydawało mi się, że poblądła uświadomiwszy sobie bliskość katastrofy, chociaż wyraz jej twarzy nie uległ zmianie.

— Sama pani widzi, madame, że wszystko jest w rękach losu. Albo miniemy tę górę lodową po nawietrznej, albo nie. Jeżeli to się nie uda, nie pozostanie nam nic...

— Zachowamy naszą godność.

Jej słowa zbiły mnie z tropu.

— Madame! Tak mówili Rzymianie!

— Wolę wierzyć, że Brytyjczycy, panie Talbot.

— Och, oczywiście, madame... jak się czuje pan Prettiman?

— Chyba śpi. Ile nam jeszcze zostało?

— Tego nikt nie wie, nawet sam kapitan.

— Trzeba powiadomić pana Prettimana.

— Myślę, że ma pani rację.

Okazało się, że pan Prettiman nie śpi. Powitał nas z wielkim i, prawdę mówiąc, nadzwyczajnym spokojem. Myślę, że nie spał już od jakiegoś czasu, a będąc człowiekiem inteligentnym, na podstawie odgłosów dobiegających z pokładu i ruchów statku bez trudu wydedukował, że statek znalazł się w tarapatkach. Krótko mówiąc, miał czas wszystko przemyśleć. Przede wszystkim chciał się mnie pozbyć, aby pani Prettiman mogła zająć się intymnymi szczegółami jego toalety! Uśmiechnął się do mnie.

— Mówi się, że czas i woda na nikogo nie czekają, lecz o ileż okrutniejsza jest tyrania fizjologii!

Wyszedłem zatem, lecz od razu przystanąłem na widok pana Brocklebanka. Drżały mu wargi i po raz

pierwszy od niepamiętnych czasów nic miał na sobie płaszcz. Nie bacząc na postronnych słuchaczy, rozmawiał z Celią Brocklebank. Jeśli dobrze usłyszałem, błagał ją, by zechciała dzielić z nim kanapę, aby mogli umrzeć w swoich objęciach!

— Nie, nie! Nie mogę znieść samej myśli... to nie wypada! Poza tym nie byłeś tam od Bożego Narodzenia, kiedy to pan Cumbershum pożyczył ci tę zbawienną lekturę!

Tymczasem z kabiny Zenobii dobiegał cichy jęk...

— Wilmot! Wilmot! Umieram!

— Wszyscy umieramy... przepraszam, Celio!

Podobno podczas trzęsienia ziemi i erupcji wulkanów zaobserwowano to samo dziwne zjawisko wzmożonego popędu seksualnego. Niezależnie od wyjaśnienia tego fenomenu, nabrałem jeszcze większego szacunku dla istic rzymskiej postawy drogiej pani Prettiman. Zamieniłem kilka słów z Bowlesem, pociągnąłem za loki dziewczynki Pike'a, jemu samemu poradziłem, by się czegoś napił... chociaż pan Brocklebank zauważył, że już nic nie zostało, oprócz tego, co Tommy Taylor sprzedawał "spod lady". Brocklebank, rozczarowany reakcją Celi, zamknął się z butelką w kabinie, ona natomiast nagle zapragnęła mojego towarzystwa i bez wątpienia tym razem była skłonna uważać, że "to wypada", gdybym tylko zechciał... lecz powróciła pani Prettiman. Poszedłem za nią. Pan Prettiman leżał oparty na poduszkach. Nadal uśmiechał się radośnie.

— Edmundzie, musimy omówić kilka spraw. Będziesz opiekował się Letycją.

— Oczywiście, sir.

— Biorąc pod uwagę mój stan, nie mam szans przeżyć tej katastrofy. Jest to prawie niemożliwe nawet w przypadku osoby cieszącej się zdrowiem. A z moją nogą... Zatem, kiedy

nadejdzie koniec, wy dwoje ubierzecie się jak najcieplej, wyjdziecie na pokład i udacie się do łodzi.

— Nie, mój drogi. Edmund może to zrobić... nawet musi. On jest miody i nie możemy obciążać go odpowiedzialnością za nas dwoje. Ja zostanę z tobą.

— Ależ pani Prettiman... bo się zdenerwuję!

— Nic z tego, drogi panie. Edmund pójdzie, ja nie. Chcę jednak, żeby usłyszał, co mam ci do powiedzenia, bo wiem, że potrzebny mu jest dobry przykład... Pamiętaj, że jestem guwernantką, Edmundzie! Zatem... — zniżyła, głos i przemówiła tak ciepło, jak jeszcze nie słyszałem — ...przyszła pora na moje oświadczenie. W tym krótkim okresie, jaki upłynął od naszego ślubu, ani razu nie byłam ci nieposłuszna i działałoby się tak nadal w przyszłości... gdyby czekała nas jakaś przyszłość... nie dlatego, że jestem twoją małżonką, lecz dlatego, kim i czym ty jesteś! Obawiam się jednak, że nie ma przed nami przyszłości i dlatego zostanę z tobą w tej kabinie. Żegnaj, Edmundzie...

— Żegnaj, chłopcze. Żadna kobieta...

— Chciałem...

Wzruszenie odebrało mi mowę. Wydostałem się z kabiny i zamknąłem za sobą drzwi. W tej samej chwili statek stanął dęba. Zdaje się, że przeszła kolejna zabłąkana fala, i woda, która przelała się przez śródokręcie, chlusnęła do holu. Dobrnąłem do wejścia, pomogłem Bowlesowi pozbierać się z pokładu, po czym milczącego i przemoczonego odprowadziłem wzrokiem do drzwi jego kabiny, od niechcienia rzuciłem dziewczynkom Pike'a, że to taka zabawa, i wyszedłem na zewnątrz.

— Charlesie! Co się dzieje?

— Nie mam czasu, Edmundzie. Tak wielkiej góry lodowej nikt jeszcze nie widział!

Pognał na rufę. Mgła opadała... a może tylko odsunęła się od nas. Widoczność dokoła wynosiła mniej więcej ćwierć mili... nie więcej niż kilka kabli. Znowu otworzył się widok na górę, która w bladym świetle dnia wydała mi się jeszcze bardziej twarda, zimna i okrutna. Z ogromną prędkością posuwaliśmy się wzdłuż lodowej ściany. Ta szybkość nie była efektem ruchu statku w wodzie, lecz jego ruchu względem góry. Kiedy mgła przerzedzała się na kilka chwil, wydawało się, że pędzimy na złamanie karku, gdy gęstniała, miałem wrażenie, że nasza prędkość odpowiada sile wiatru. Nie ulegało wątpliwości, że wzdłuż góry, z południa na północ płynie bardzo silny prąd, który nas porwał. Morze okazało się równie przerażająco obojętne na nasz los, iak ta góra!

Zamierzałem wspiąć się na pokład rufowy, lecz właśnie schodził stamtąd Tommy Taylor.

— Jak tam nasz płatnik, panie Taylor?

— Nie udało mi się zmusić go do opuszczenia łodzi, sir. Kapitan kazał mu powiedzieć, że jest aresztowany.

Tommy poszedł na dziób, a ja na pokład rufowy. Pan Benet i Willis stali na wachcie. Kapitan zajął miejsce na szczycie drabinki. Bez przerwy rozglądał się naokoło, obserwując to mgłę, to górę, to znowu kipiela pod nami wywołaną uderzeniami fal odbitych od lodu. Kiedy znalazłem się górnym pokładzie, za moimi plecami rozległ się ogłuszający łoskot kolejnych bloków lodu, które osunęły się do morza. Mimo że od góry oddzielała nas mgła, odgłos wydał mi się znacznie bardziej donośny niż poprzednio.

— Jaki jest teraz pański stosunek do Natury, panie Benet?

— Dostąpiliśmy wielkiego zaszczytu. Hu dane było oglądać coś takiego?

— Piekielny litotes!

— Niedomówienie? Czy to nie pan jakiś czas temu zaklinał się na forum publicznym, iż nawet za tysiąc funtów nie chciałby znaleźć się gdzie indziej? Panie Willis, niechże się pan postara stać prosto i sprawiać wrażenie osoby użytecznej, nawet jeżeli tak nie jest!

— Złożyłem to oświadczenie pour encourager les autres, jak by pan to powiedział.

— Sam natomiast wybrałby pan “śmierć na sucho”... jak by pan to powiedział? Hazelton, ty gnuśny draniu, po zwinięciu linę należy zaczepić! Kapitanie!

— Tak, panie Benêt, widzę ją. Panie Summers! Przygotować barkas do spuszczenia z prawej burty.

— Aj, aj, sir!

Znowu gwizdki, znowu bieganina.

— Czy zauważył pan, panie Benêt...

— Przepraszam, panie Talbot. Panie Summers! Willis... dogoń pana Summersa i powiedz mu, że pan Talbot proponuje wypełnić barkas hamakami.

— Ja nic nie powiedziałem!

Kapitan odezwał się za naszymi plecami. Był to jedyny przypadek, kiedy w mojej przytomności pan Benêt spotkał się z najlżejszym choćby cieniem nagany.

— Niektórzy będą mieli jakieś zajęcie, panie Benêt, co tym razem jest wręcz wskazane...

Proszę jednak pouczyć pasażerów, że nadal nie wolno im wtrącać się w sprawy statku!

Po tym nader łagodnym napomnieniu pod adresem pupila, kapitan nieco jakby zawstydzony powrócił na swoje miejsce przy relingu. Benêt zwrócił się do mnie:

— Słyszał pan, panie Talbot?

— Nic nie mówiłem o hamakach! Nawet nie mam pojęcia, po co te przygotowania, chyba że chodzi

o zapewnienie ucieczki co ważniejszym osobom... w takim razie...

— Tu nie ma ważnych osób, panie Talbot. Zginiemy wszyscy razem. Te przygotowania mają przekonać ludzi, że dowództwo działa. Barkas posłuży jako odbijacz...

— Czy to coś da?

— Wątpię.

Wrócił Willis.

— Pan Summers prosi, żeby przekazać podziękowania panu Talbotowi, sir.

— Jesteś całkiem zielony, chłopcze. Głowa do góry! Koniec będzie błyskawiczny.

— Benêt! Góra jest coraz bliżej... spójrz!

— Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Kapitanie, opuszczamy łódź?

— Jeszcze nie.

Ściana lodu nagle przesłoniła mi cały świat. Wydawała mi się przerażająco wysoka. Była równo podcięta tuż nad powierzchnią wody. Wszędzie unosiły się bryły lodu, które nam bezpośrednio zagrażały. Kapitan wydał jakiś rozkaz, po czym zobaczyłem, jak barkas opada z prawej burty... widziałem, jak lina naprężyła się przy zetknięciu łodzi z kipiela. Białozielona góra lodu zachowywała się nedorzecznie. Skręcaliśmy coraz bardziej na północ... zapewne za sprawą jakiegoś bezwiednego ruchu marynarzy przy sterze... i można by przypuszczać, że płynąc w tym kierunku zdecydowanie oddalamy się od lodu, lecz nawet moje niedoświadczone oko wyraźnie widziało, że tak nie jest. A to dlatego, że efektem ruchu obrotowego Ziemi jest rzekomo stały prąd na Oceanie Antarktycznym, który powinien przesunąć górę o tyle samo, co nasz statek. Nie wiadomo, dlaczego wyglądało to zupełnie inaczej. Podpływalismy do lodowej góry w ten sam sposób, jak Alcyone do naszego statku: półwiatrem a nawet baksztagiem. Również w naszych żaglach nie należało upatrywać siły sprawczej tych dwóch ruchów... jednego ku północy, drugiego na południe, prosto na lód.

Przemawia przeze mnie zbyt wyrachowany racjonalizm! Ile to już razy zrywałem się we śnie i siłą woli starałem się odwrócić bieg zapamiętanych wydarzeń! Wówczas jednak, trwając z uporem na nawietrznej, nie potrafiłem dokonać racjonalnej oceny sytuacji. Miałem przed oczami jedynie niezrozumiały jej obraz. Jak wytłumaczyć chaotyczną wściekłość morza, te wieże, pinakle, fontanny wody w miejsce

równych szyków fal, które towarzyszyły nam przez tyle dni? Można by pomyśleć, że teraz fale zwróciły się przeciwko nam. Kolumny zielonej wody i piany atakowały lodową górę i zapadały się w morze. Wiatr kontra wiatr, fala kontra fala, narastająca furia... Staralem się skierować myśli ku rodzicom, ku Wybrance Mojego Serca, lecz próby te okazały się nieskuteczne. Byłem uosobieniem strachu, zwierzęciem w obliczu śmierci. Masy lodu górowały nad nami! Bryły lodu spadały, wyskakiwały spod piany, a prąd ciągle spychał nas na tę podciętą, spękaną ścianę. Część żagli bezwładnie trzepotała na wietrze, inne wydeły się w przeciwną stronę, a my gnaliśmy ku tej ścianie z prędkością końskiego zaprzęgu. Jedynym elementem stałym naszej sytuacji były kawały lodu spadające z łoskotem z murów tego groźnego i niezdołanego miasta! Pojąłem w końcu, że Natura... ta sama, która tak mierzyła pannę Chumley... po prostu oszalała! Przez wiele godzin prąd spychał nas bokiem ku lodowej górze z prędkością pocztowego dylizansu. Wielka masa lodu, jakby chciała popisać się swoim obłędem, dokonywała rzeczy niemożliwej. Okrążała nas. Była za rufą, po czym przemykała bokiem, by ukazać się przed dziobem, gdzie widzieliśmy ją już wcześniej. Powtórzyła ten manewr i ustawiła się za prawą burtą. Wśród odgłosów ogólnego zamieszania usłyszałem suchy trzask taranowanego barkasa. Nie wiem czy ten coup de grace wymierzył mu pływający blok lodowy, czy sama góra. Tuż pod nią ciągnął się zielony pas spokojnej wody, który mąciły spadające kawały lodu o niewiarygodnej masie. Płynęły potem z tą samą co my prędkością, objając się o siebie nawzajem lub o lodową ścianę. Kolejny taki blok zaczepił o jeden z żagli bocznych i spadł do wody zawinięty w płótno, pociągając za sobą reję, która trzepotała niczym piórko. Inny, wielkości i kształtu fortepianu lady Somerset, grzmotnął przed grotmasztem, urywając połowę łodzi pana Jonesa z panem Jonesem i uczepionym jej Tommym Taylorem, po czym zepchnął ich przez reling na lewej burcie.

Czekało nas jeszcze bliższe spotkanie z lodową górą, która ustawiła się równolegle do burty na tyle ostrożnie, by nas nie dotykać.

Posługując się językiem marynarzy powiedziałbym, że szliśmy całą w tył, co znaczy tyle, iż pędziliśmy wstecz szybciej, niż kiedykolwiek udało nam się płynąć do przodu! Kilka tysięcy ton lodu oderwało się od masywu po lewej stronie dziobu, po czym przeleciało na drugą stronę z taką łatwością, z jaką chłopiec może kopnąć swój model statku.

Sztuka marynarska okazała się bezradna w obliczu takiego kryzysu. Mój umysł przestał pracować. Lodowa ściana mknąca przed moimi oczami stała się tłem przeróżnych wizji... zobaczyłem liczne postacie uwięzione w lodzie, a wśród nich własnego ojca. Na samym końcu otworzyło się zielone oko groty.

Wstrząsnął nami ostatni spazm naszej udręki, Góra zadrżała, zniknęła nam z oczu, a statek par! w dół! Pomyślałem, że toniemy, że nadszedł już koniec.

Nie zatonieliśmy. Okazało się, że znajdujemy się na bezwietrznej połaci morza. Od wschodu jaśniał nowy dzień. Dookoła statku tkwiły nieruchomo bloki lodu.

Wyprostowałem się, oderwałem palce od relingu, Na wszystkich pokładach ludzie nieśmiało próbowali się poruszyć. Statek powoli się obracał. Szeleściły żagle. Ktoś na dziobie rzucił jakieś zdanie, po którym rozeszła się fala śmiechu. I znowu zapadła cisza. Nie dowiedziałem się, jaki to był żart, ani kto go powiedział. Od zachodu ciągnęły się żółtawe mgły, wśród których gdzieś połykiwał lód. Odległość między nami rosła, zapewne dzięki temu samemu prądowi okołobiegunowemu, który przez tyle dni pchał nas na wschód. Ludzie zaczęli rozmawiać.

Aby rzecz uprościć, przytoczę tutaj fragment wywodu pewnego uczonego z mojej macierzystej uczelni, który pragnie pozostać anonimowy. Zapewniam czytelnika, iż mimo to ów wykształcony mędrzec jest najwyższą instancją w kwestiach hydrologii i pokrewnych jej “-logii”.

Pański opis świetnie pasuje do tak dzisiaj modnych, szalonych powieści! Czy nie było tam obłąkanej kobiety, która miotła przekleństwa ze szczytu owej Jodowej góry” i lub nawiedzonego druida, który rzucił klątwą na wasz statek, po czym skoczył w otchłań? Obawiam się, że pański opis jest nadto ubarwiony dla szanującego się geografa, więc jeżeli w ogóle znajdzie Pan jakiegoś nierozważnego wydawcę, zaklinam Pana, by opublikował opis swoich peregrynacji anonimowo! Podróże wywierają na młodzież pożałowania godny wpływ, co wielokrotnie miałem okazję stwierdzić. Dostarczają bowiem młodemu umysłowi serii oderwanych — a przy tym atrakcyjnych — impresji, jak w witrynie sklepu z rycinami! Tak się szczęśliwie składa, że jako człowiek roztropny, który z miejsca urodzenia nie wyprawiał się dalej niż do metropolii oraz porusza się od lat w specyficznym śwAecie uczelni, jestem predysponowany do obiektywnej oceny spraw ziemskich.

Drogi Pamef Jeżeli opisywana góra mierzyła sto stóp wysokości, to pod powierzchnią wody miała jeszcze siedemset stóp. Może ńę to Panu wydawać dużo, lecz ja dysponuję informacją, że na tej długości geograficznej ocean jest znacznie głębszy. Wynika z tego, iż pańska góra wyrastała z dna morskiego oraz że odkrył Pan rafę, której natychmiast należałoby nadać pańskie nazwisko, jeżeli uznaje Pan ten rodzaj sławy. Jeżeli przyjmiemy (chwilowo) istnienie rafy z monstualną górą lodową za fakt, poniższy wywód byłby całkiem wiarygodny. Statek pędził w kierunku rafy pchany wiatrem i prądem morskim. W miarę, jak do niej się zbliżał, prąd zбочzył na północ wzdłuż lodowej ściany, po czym statek gwałtownie skręcił za jej północny kraniec, niczym patyk w rynsztoku za rogiem ulicy. Gęsio spadające bloki lodu mają rżmonie prawdopodobne wytłumaczenie: góra znajdowała się daleko na północ, wobec czego mogła całkiem zmurszeć.

Dochodzimy do sedna sprawy. Jeżeli góra była tak długa i rozległa, że spowodowała nawet zmianę pogody, to musiała sięgać bardzo daleko na południe, a co za tym idzie mogłaby się okazać pływającym kontynentem, a nie płatem lodu! Zapewne nie wie Pan, że termin „góra lodowa” zakłada obecność stałego lądu, gdzie osiada śnieg i powstają lodowce, które stopniowo ześlizgują się do morza, by tam rozpocząć swoją niszczycielską wędrówkę, podobną do tego, co Pan opisuje. Z pańskiej relacji mogłoby zatem wynikać, że na biegunie Południowym i w jego okolicach znajduje się rozległy kontynent! Ponieważ poświęciłem większą część swojego dojrzałego żywota zbieraniu dowodów na to, iż z geograficznego punktu widzenia istnienie takiego kontynentu jest niemożliwe, proszę nie oczekiwać ode mnie innej oceny pańskiego sprawo-

zdania, niż jako sporządzonego przez osobę skrajnie wyczerpaną najdłuższą podróżą morską w historii ludzkości. Gdyby miał Pan odpowiednie przygotowanie z dziedziny geografii pokusiłbym się tutaj o wyjaśnienie mojej "Zasady równowagi i wzajemności orbitalnej". Myślę jednak, iż wystarczy mi przedstawić Panu argument zrozumiały dla laika. Proste obliczenie masy lodu zawartego w opisanej górze lodowej wykazuje, że formacja ta musiała powstać kilkanaście tysięcy lat przed stworzeniem świata, które miało miejsce wiosną roku 4004 p.n.e! Proszę przekazać w moim imieniu wyrazy szacunku pańskiej Matce i Jej znakomitemu małżonkowi.

Myślę, że nam na statku było równie trudno dać wiarę temu, przez co przeszliśmy, jak mojemu znajomemu. Samo przepisywanie jego listu jeszcze bardziej oddaliło mnie od tamtego wydarzenia. Jeśli dobrze pamiętam, pierwsza przytomna myśl kazała mi sprawdzić, czy nic nie stało się Charlesowi. Stał na pokładzie rufowym, wczepiony palcami w barierkę, i wpatrywał się w kompas. Widok ten uświadomił mi, gdzie jestem. Przypomniałem sobie, jak wyszedłem na pokład, dotarłem do łańcuchów, uczepiłem się ich oburącz (wielki jufers okazał się nader przydatny) i zawisłem niczym liść w pajęczynie, podczas gdy dookoła szalało piekło. Spostrzegłem, że u moich stóp leży zemdlona Celia Brock- lebank, która wysunęła mi się z objęć! Niespodziewanie uczepiliśmy się siebie nawzajem... pamiętam, jak rzuciła się ku mnie, a ja pochwyliłem ją w ramiona pchany jakimś nieumiarkowanym odruchem! Podniosłem ją teraz, wziąłem na ręce i bez słowa zaniósłem do holu, gdzie westchnęła i poruszyła głowę. Zapukałem do drzwi jej kabiny. Odpowiedział mi cichy głos.

— Kto tam?

— Pan Talbot z pańską małżonką. Zemdląca.

— Proszę zanieść ją gdzie indziej, panie Talbot. Nie czuję się... nie mogę...

Wolną ręką pchnąłem drzwi. Brocklebank siedział na koi, do pasa przykryty kocem. Był nagi i smrodził. Ostrożnie posadziłem mu dziewczynę na kolanach, opierając jej głowę na jego tłustym ramieniu. Wyszedłem, zamykając za sobą drzwi.

— Pani Prettiman? To ja... Edmund. Usłyszałem jej głos.

— Proszę wejść.

Siedziała przy jego koi. Trzymali się za ręce. Domyślałem się, że siedzieli tak przez cały czas, od kiedy ich opuściłem. Oboje byli bardzo bladzi, a ich złączone dłonie leżały obok niego na posłaniu, jakby ktoś je splótł, a następnie o nich zapomniał.

Pani Prettiman popatrzyła na mnie.

— Czy jeszcze trochę pożyjemy?

— Na to wygląda.

Otrząsnęła się.

— Zziębłaś, Letycjo.

— Nie.

Popatrzyła na ich dłonie, po czym prawą ręką delikatnie oswobodziła lewą dłoń. Wątpię, czy to zauważył, ponieważ obserwował jej twarz.

— Nie płacz. Ty jesteś ponad to.

— Ależ, sir! Pani Prettiman...

— Cicho!

— Potrzebuję — powiedziała, starając się zachować zimną krew — kilku minut samotności, żeby się uspokoić.

— Już wychodzę, madame.

— Nie.

Otworzyłem jej drzwi.

— Opowiedz mi, co się stało, Edmundzie. Zrelacjonowałem mu jak najdokładniej przebieg

wydarzeń. Pominąłem zdarzenie z Celią Brocklebank, ponieważ nie bardzo pamiętałem, jak doszło do tego dziwnego incydentu. Jestem przekonany, że ona także niewiele pamięta. Poza tym wydało mi się to nieistotne z punktu widzenia zainteresowań pana Prettimana. Wspomniałem jedynie, że już po wszystkim zaniósłem nieprzytomną kobietę do kabiny jej męża.

— Pani Prettiman by nie zemdląła — oświadczył pan Prettiman. — Mogłaby się rozplakać, ale by nie zemdląła.

— Myślę, sir...

— Lepiej nie myśl. Nie pozwalam ci wtrącać się w jej edukację.

— Edukację pani Prettiman?!

— Czy wyobrażasz sobie, że jeżeli uda się nam poprowadzić ludzi do Idealnego Miasta, będzie mogła pozwolić sobie na okazywanie kobiecej słabości? Ja wyzbyłem się wad typowych dla mężczyzny, więc ona musi zrobić to samo jako kobieta!

— Pozwolę sobie zauważyć, panie Prettiman, że nie spotkałem kobiety... Nie. Tak. Nie spotkałem drugiej dojrzałej kobiety, która tak bardzo by mi imponowała brakiem owych słabości, które pan chce zwalczać!

— Nie masz o tym najmniejszego pojęcia!

— Darzę panią Prettiman wielką czią, sir, i nie wstydzę się tego powiedzieć! Szanuję ją!

— To nie ma nic do rzeczy. Jestem edukcjonistą i nie życzę sobie, by ktoś poddawał moje opinie w wątpliwość. Uważam że komuś, kto jak ja przez tyle lat pracował nad swoim własnym charakterem, można zaufać także w kwestii innych!

— Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób udoskonalił pan swój charakter?

— To przekracza wszelkie granice! Przyszło mi wysłuchiwać impertynencji z ust upartego młodzieńca... Muszę ćwiczyć cierpliwość, mój panie, cierpliwość i spokój umysłu! Wynos się, bo cię... Niestychane...

— Już wychodzę, panie Prettiman. Zanim jednak pana opuszczę, chciałem jeszcze powiedzieć...

— Zostań, Edmundzie.

Pani Prettiman zamknęła drzwi i usiadła na swoim dawnym miejscu. Może mnie wzrok mylił, ale wydawało mi się, że ma lekko zaczerwienione oczy,

— Jak przyjemnie — westchnęła — posiedzieć w ciszy po takim wielkim zamieszaniu, prawda, mój drogi? Nie zaprosiliśmy Edmunda, by usiadł, a on przez cały czas grzecznie stoi. Proszę, siadaj, Edmundzie. Wyrzałam na zewnątrz. Chyba znaleźliśmy się w zupełnie innym świecie. Morze jest spokojne. Aż trudno uwierzyć, że taka zmiana jest możliwa. Jak to się stało?

— Nie mam pojęcia. Zrezygnowałem już z prób zrozumienia Natury. Dołączyłem do tych, którzy starają się wystrzegać tego świata!

Ktoś energicznie zapukał do drzwi.

— Edmundzie, bądź tak dobry i zobacz, kto to.

Nie widziałem tego człowieka od czasów Colleya!

Był to Billy Rogers! Olbrzym uśmiechał się radośnie. W ramionach trzymał moją baryłkę.

— Lord Talbot? To chyba należy do pana.

— O, tak... proszę mi to dać.

— Upraszam łaski jaśnie pana, ale pan Summers kazał mi to zanieść do pańskiej kajuty, a ja nie wiem...

— Nie wiesz, gdzie jest moja kajuta, Rogers?

Przez moment nie zwracał na mnie uwagi. Jego

niebieskie oczy wpatrywały się ponad moim ramieniem w panią Prettiman. Wydawało mi się, że dostrzegam w nich irytujący i wstrętny błysk. Wyszedłem na korytarz, zamykając za sobą

drzwi.

— To tutaj. Postaw przy koi.

Wykonał moje polecenie, po czym się wyprostował. Był mojego wzrostu, lecz znacznie silniejszej budowy... prawdziwy olbrzym.

— Czy to wszystko, sir?

— Co z tymi w łodzi... Jonesem, płatnikiem, i Tommym Taylorem, tym małym aspirantem?

— Nie ma ich, sir. Morze ich zabrało. Zanim zdążyli krzyknąć, było już po nich. Niejeden człowiek na pokładzie tego statku będzie spał spokojniej w swoim hamaku albo na koi wiedząc, że Jones wystawił swój ostatni nakaz płatności. Dziękuję, panie Talbot.

Zasalutował i oddalił się.

Młody Taylor nie żyje! Już nie usłyszymy jego śmiechu. Ile mógł mieć lat? Czternaście? Piętnaście? Poczuję silną potrzebę porozmawiania z kimś, podzielenia się faktem nieodwracalnego i ostatecznego zniknięcia tego chłopaka. Skierowałem kroki do kabiny Prettimanów, lecz przypomniałem sobie, że krotchwile Taylora nader rzadko przypadały do gustu pani Prettiman. Przypuszczam nawet, że droga pani Prettiman, osoba pod wieloma względami idealna i zdolna apróbować przeróżne typy ludzkie, wyjątkowo w tym wypadku przyjęłaby z całym spokojem wieść o zagładzie, nie mówiąc o nieobecności tego małego świntucha.

Tak wyglądał początek końca naszej podróży. Nastaly dni, kiedy wszyscy uwierzyliśmy, że nic złego już nas nie spotka... rzadko takie przekonanie znajduje aż tyle jaskrawych dowodów na swoje potwierdzenie! Pogoda, mimo że czasami burzliwa, nie dawała się nam boleśnie we znaki. Panowie Summers i Benet wymieniali uprzejme uwagi na temat długości geograficznej, chociaż nikt nie wierzył, by miało to jakiegokolwiek znaczenie, ponieważ przy tak dobrej pogodzie nie sposób było przeoczyć ład oddalony nawet o dziesięć mil. Wachty, podczas których nadal dotrzymywałem towarzystwa Charlesowi, upływały w bajkowej atmosferze! Gwiazdy świeciły tuż nad naszymi głowami. Noce przybierały wszystkie odcienie błękitu. Śpiew marynarzy zdawał się rozjaśniać ciemności! Za dnia wszyscy, którzy czuli się na siłach, wychodzili na pokład, gdzie bawiły się córki Pike'a, regularnie zażywając świeżego powietrza. Pan Brocklebank wygrzewał się na słońcu bez płaszcza. Ja natomiast czytałem panu Prettimanowi, a raz dostąpiłem zaszczytu towarzyszenia pani Prettiman na pokładzie.

Rozpierała mnie duma... oto poskromiona megiera! Miałem nadzieję, |
li'*

że pan Benét zobaczy nas podczas tego spaceru i zrozumie, gdzie jest jego miejsce. Jednak pewnego popołudnia, kiedy czytałem panu Prettimanowi, jego małżonka przeprosiła nas i opuściła nasze towarzystwo. Dowiedziałem się później, że zażywała świeżego powietrza u boku porucznika Benéta. Nic dodać, nic ująć.

Któregoś poranka Charles zaproponował mi, bym był świadkiem interesującej operacji. Wyszedłem na pokład i rozejrzałem się dokoła. Spostrzegłem kilka białych chmur wybrzuszonych w kierunku południka. Pani Pike, oparta o reling forkasztelu, rozmawiała z Billym Rogersem, jak Zenobia, nim zmogła ją niemoc. Pan Gibbs i kilku majtków kończyło naprawiać barierkę w miejscu, gdzie przerwał ją lód. Nie opodał głównych pacholek pani East i córki Pike'a wydawały podwieczorek dla lalek! Seria rozkazów kapitana Andersona niespodziewanie przerwała przyjęcie, zaszła bowiem potrzeba użycia kilku lin, ponieważ statek "leży w dryfie" (niech czytelnik sam zajrzy do Falconera, bo ja tego nie zrobię). Marynarze, trzymając w rękach zwoje lin, ustawili się wzdłuż lewej burty, poza którą wystawał bom z zawieszoną sondą... zdecydowanie cięższą od sondy ręcznej, którą mógł obsłużyć jeden człowiek. Pan Benét wydał rozkaz, po czym sonda z pluskiem wpadła do wody. Jedna długość liny zniknęła za burtą, za nią następna i następna...

— Wybrać luz!

— Charles... o co tu chodzi? Czy w ten sposób dowiemy się, gdzie jesteśmy?

— Niestety nie... — Zawahał się, po czym uśmiechnął się do mnie. — Powiedziałbym, że w ten sposób dowiemy się raczej, gdzie nas nie ma.

Lina za burtą już nie wyznaczała pionu, lecz kąt z kierunkiem północno-zachodnim.

— Oto twój prąd okołobiegunowy, Edmundzie. Przypuszczam, że jest to jedyny bezpośredni dowód.

— Brzmi to nader zagadkowo.

— Panie Summers, czy mógłby pan przerwać tę rozmowę i zająć się naprowadzeniem statku na sondę?

Charles uśmiechnął się pod nosem. Oddalił się, by wydać marynarzom polecenie poluzowania jednych żagli, wybrania innych. Spod dziobu dochodził do nas szum i chlupot wody. Kapitan Anderson rzucił mi krótki, pośólkły uśmiech. Który kapitan nie cieszyłby się z takiego słonecznego dnia i radośnie szemrzącego morza?

•— Ręka za ręką, i żwawo!

— Pion!

— Sto dziesięć sążni, sir!

Wciąganie liny trwało jakiś czas, nim sonda ukazała się naszym oczom.

— Odpadamy od wiatru, panie Cumbershum... północny wschód.

Pan Benét krzyknął ze śródokręcia:

— Sonda na pokładzie, sir! Piasek i muszle, sir!

Kapitan kiwnął głową, jakby spodziewał się właśnie takiej informacji. Zwróciłem się do pierwszego oficera.

— Niezmiernie ciekawe... Co z tego wynika?

— Że znajdujemy się na obszarze wód głębokich na około sto sążni. Benét ma swój pomysł ustalenia naszego położenia, kapitan swój, ja swój, i pan Cumbershum też. Przy tej widoczności to nie jest najważniejsze.

Ruszył do swoich licznych obowiązków na statku.

— Panie Talbot, chciałem zamienić z panem kilka słów.

Odwróciłem się. Pan Brocklebank wychynął z korytarza. Jego okazałą postać znowu spowijał podróżny płaszcz.

— Czym mogę służyć, panie Brocklebank?

Podszedł bliżej.

— Przykro mi, że nie wypadłem zbyt korzystnie podczas tego zamieszania...

— No cóż, jest pan człowiekiem w podeszłym wieku, od którego nie należy oczekiwać...

— Lata nie mają tu nic do rzeczy, panie Talbot. Przyczyna leży w chorobie, nie w starości. Bałem się zapaści, nagłej niewydolności najważniejszego organu.

— Wydawało się, że nasz statek niechybnie zatonie, co ostatecznie rozwiązałoby wszystkie nasze problemy.

— Lepiej jednak nie mieć zapaści. Bardziej obawiam się wroga, który atakuje od wewnątrz, niż morza na zewnątrz! Czy pamięta pan, jak Alcyone stała u naszej burty?

— Oczywiście!

— Och, już sobie przypominam... pan był w swojej kabynie... i to zapewne z tego powodu ona tak płakała...

— Kto taki?

— Młoda dama. Zaczepiłem lekarza, kiedy wychodził z pańskiej kabiny, lecz on nie chciał mnie wysłuchać! To się nazywa lekarz! Kiedy wrócił na swój statek, kobiety otoczyły go wianuszkami... teraz rozumiem! Chciały się dowiedzieć, jak pan się czuje.

— Panna Chumley! To ona!

— Proszę sobie wyobrazić... taki zdrowy człowiek jak pan zawłaszcza sobie wyłączne prawo do lekarza, nie wspominając o kobietach... Nigdy nie odbyłem takiej konsultacji medycznej jak wtedy, gdy Alcyone odbijała od naszej burty. Ja krzyczałem do niego, damy go oblegały, przekazywano sobie rozkazy, jęczały liny, trzeszczały kadłuby... i do tego okrzyki tej młodej kobiety: “Panie Truscott! Panie Truscott! Czy on przeżyje?” i napominania lady Somerset: “Marion, Marion, nie przy marynarzach! Jakże to wzruszające”... i jeszcze: “Żwawo, słoneczka!”... i trzepot żagli. A lekarz, niech pan sobie wyobrazi, tylko ryknął pod moim adresem: “Czego pan chce?!” Ja mu na to: “Proszę o zalecenia!” Usłyszałem wtedy: “Mniej fajki, żadnej butelki, mniej rozkoszy stołu, żadnych rozkoszy łoża, stary tłuściochu!” W tej samej chwili ta młodsza rzuciła się lady Somerset na szyję z okrzykiem: “Och, Heleno!” Wówczas Alcyone odpłynęła. W ten sposób zostałem bez stosownych zaleceń lekarskich, czemu należy przypisać moją obojętność, kiedy...

— Czy ona naprawdę krzyczała: “Czy on przeżyje?”

— Ta młoda kobieta? Tak, powiedziała coś takiego. Może to było: “Mam nadzieję, że przeżyje” albo “Będzie żył...”

— Myślę, że pytała: “Czy on przeżyje?”. Nie wołałaby go dwa razy, gdyby jej ktoś nie przeszkodził!

— Owszem. Chociaż mogło to być: “Truscott, Truscott!” lub “Och, Truscott!” albo “Panie Truscott!”

— O Boże!

— Te słowa zapadły mi głęboko w pamięć. Fajka, butelka, rozkosze stołu i łoża. Co pan na to?

— Biada mi, jeżeli nie zawołała go dwukrotnie!

— Nie poznaję pana, panie Talbot! Chciałem jedynie wytłumaczyć się ze swojego zachowania podczas niedawnego kryzysu. Być może zawołała go trzy razy... albo i więcej. Najgorsze jest to, że stosując się do jego zaleceń, cierpię z powodu wiatrów bardziej niż wówczas, gdy ważyłem dwieście pięćdziesiąt funtów!

— Ale czy ona na pewno krzyczała?!

— Jak inaczej byłbym ją słyszał?

— Charles widział, jak poprzedniego wieczora wpatrywała się w naszą burtę...

— Czy w takim razie jego polecenie brzmiało: “Żadnej fajki, mniej rozkoszy stołu, żadnej butelki, żadnych rozkoszy łoża”? A może “mniej rozkoszy łoża”? Mógł mieć na myśli zbawienny wpływ sporadycznych dawek pożycia małżeńskiego. Nie zakazywałby mi przecież przyjemności picia i jedzenia... a ja przez cały ten czas wiodę żywot niczym mniszka! Kobiety

są takie okrutne! “Natychmiast wyjdź na pokład”, powiada. “Nie mogę znieść tego smrodu. A poza tym uważam, że mi to szkodzi na cerę”.

— Panna Chumley okazała tyle troski o moje zdrowie!

Oczekiwałem odpowiedzi, lecz on oparł się o nad-burcie, rozstawił szeroko nogi i oddał się kontemplacji swoich trzewi. Oddaliłem się pospiesznie.

W ten sposób dołożyłem kolejny okruh pociechy i udręki do cienkiego jak pajęczyna zbioru tęsknot i domysłów, które mnie z nią łączyły.

Mniemam, że czytelnik czeka już tylko na jeden moment tej opowieści. Kiedy, po prawie rocznej podróży, dostrzegliśmy ląd? Rozumiem jego niepokój. Sam nie uporałem się dotychczas z tym problemem. Prawdę mówiąc, chwila ta nie odznaczyła się niczym specjalnym. Od czasu do czasu zastanawiam się, jak ubarwić ów mało ciekawy epizod. Rozważałem nawet możliwość wprowadzenia jakiegoś komediowego akcentu opartego na żarcie, jaki potrafi spletać Natura, wyprowadzając w pole wszystkich bez wyjątku. Wyobraziłem sobie, jak to pewnego mglistego, bezwietrznego poranka ktoś — najlepiej kobieta lub dziecko — dokonuje tego absurdu odkrycia. Słyszałem już salwy śmiechu załogi, widziałem zakłopotane miny naszych nawigatorów. Stoimy na mieliźnie w spokojnej wodzie, która powoli opada, zostawiając nas na piasku. Na dodatek, gdy promienie słońca rozpraszają mgłę, okazuje się, że za pomocą drabin możemy wyjść na brzeg! Niemniej jednak pewien rodzaj synestezji z naszym wysłużonym statkiem każe mi sądzić, iż ogłuszyłby nas wówczas straszliwy łoskot, ponieważ cały ciężar spocząłby na więzaniach Charlesa, po czym kadłub zapadłby się w wodorosty, którymi zdążył już obrosnąć, oraz we własny balast, i rozpląnął niczym... coś, co topi się na słońcu!

Kiedy indziej znowu zamierzałem dochować wierności prawdzie, lekko tylko ją upiększając. Na przykład: w nadburciu pod głównymi łańcuchami odkryto dziurę. Podczas jej oględzin wraz z działomistrzem,

panem Askewem, dowiedziałem się o perfidnej sztuce lub rzemiośle toczenia kul armatnich. Niezadowolony marynarz potrafi puścić taką kulę po pokładzie, co prowadzi do poważnych zniszczeń. Pan Askew wyjaśnił półgłosem... ponieważ tego typu informacje nie powinny przedostać się na dolny pokład... że na skutek pracy kadłuba kula może przetoczyć się przez całą długość statku rozbijając wszystko, co spotka po drodze, z taką samą siłą, jak pocisk wystrzelony z działa. Jednak tej dziury nie wyrwała kula armatnia, ponieważ uszkodzone byłyby także łańcuchy. Może wybił ją lód? Chociaż ja sam byłbym skłonny podejrzewać okrętowe szczury. Ale przecież wystarczy element niezadowolenia połączyć z paroma plotkami, i już w miejsce komedii mamy prawdziwą tragedię. Dochodzi do konfrontacji. Załoga i emigranci złowrogą gromadą wyłaniają się z forkasztelu. Kapitan Anderson stoi dumny i pewny siebie. Tłum napiera. Ktoś podnosi...

Nagle rozlega się krzyk z salingu na grotmaszcie.

— Ziemia! Ziemia na wprost i z lewej burty! Ziemia!

To zbyt proste. Wcale nie dlatego, że jest to autobiografia, chociaż doszedłem do wniosku, iż autorzy zazwyczaj zmyślają zarówno swoje dzieje, jak i całą resztę. Moim zdaniem takie zakończenie po prostu raziłoby teatralnością.

Prawda była znacznie subtelniejsza i bardziej zabawna. Pewnego jasnego poranka pan Summers wręczył kapitanowi złożony arkusz papieru z wyliczeniem naszej długości i szerokości. Kapitan przeczytał wyniki, uniósł brwi i porównał je z tymi, które miał na drugim, także złożonym arkuszu, otrzymanym wcześniej od pana Benéta. Wydał rozkaz utrzymania kursu. Kilka godzin później zobaczyliśmy ląd.

Tym, czego powieściopisarz nie mógł przewidzieć, natomiast autor własnej biografii musi przedstawić

w sposób jak najbardziej interesujący, okazało się całkowite odwrócenie oczekiwanych reakcji. Załoga, która — zanim zobaczyliśmy stały ląd — być może toczyła kule armatnie, protestowała, narzekała i słała delegacje, przyjęła ten fakt ze spokojem i pogodą ducha, posłusznie wykonywała rozkazy, dopóki nie ujrzeliśmy przed sobą brzegu. Dopiero wtedy odezwały się pomruki niezadowolenia i ujawniła się zdecydowana różnica zdań. Marynarze byli zdania, iż powinniśmy natychmiast wysiąść w tej krainie mlekiem i miodem płynącej, zatrzymując się tylko po to, by wybrać sobie niewolników spośród liczego grona chętnych! Mniej więcej wtedy pan Prettiman doznał we śnie objawienia. Po przebudzeniu rozpierało go uczucie szczęścia. Ja też kiedyś przeczuwałem jego śmierć, lecz jak zwykle w moim wypadku i to przecucie okazało się pomyłką. Część jego wyznań była tak osobista, że nie mogę ich tu przytoczyć. Mówił rzeczy nader wzruszające, chociaż bez wątpienia dał się ponieść złudzeniom. Dzień później zobaczyliśmy ląd.

— Ziemia!

Mieliśmy przed sobą stały ląd, który wydawał się zdumiewająco blisko. Rację mają jednak ci, którzy twierdzą, że trzeba samemu doświadczyć krystalicznej przejrzystości powietrza w tych rejonach, aby w nią uwierzyć. Dlatego też nie zamierzam się dłużej rozwodzić nad tym tematem. Kwestia długości geograficznej cieszyła i zarazem irytowała wszystkich naszych nawigatorów. Charles i Benet trzymali w tajemnicy swoje obliczenia, przedstawiając je tylko kapitanowi. On z kolei, kierując się poczuciem humoru, o które go nie podejrzewałem, robił swoje... rozbieżność w obliczeniach wynosiła jedną lub dwie mile! W tej sytuacji metoda Beneta-Andersona nie okazała się ani dobra, ani zła. Nikt niczego nie dowiódł, ani niczego nie obalił. Charles, odrzucając jawnie błędne wskazania jednego chronometru, oparł się na dwóch pozostałych, których odczyty były podobne... dodał je, a następnie podzielił przez dwa... i otrzymał ten sam wynik. Należy przyjąć, że Fortuna sprzyjała obu stronom. Stały ląd okazał się być tam, gdzie go umiejscowili jedni i drudzy. Satysfakcja zatem przypadła wszystkim, a zarazem nikomu.

Nasza przygoda dobiegała końca. W jednej osadzie zaopatrzyliśmy się w świeże mięso, w drugiej zakupiliśmy sporą ilość warzyw. Fasoli nam nie brakowało. Przyznaję, że widok stałego lądu stopniowo przywracał mi poczucie zdrowego rozsądku, które zawsze było praktyczną, aczkolwiek niezbyt interesującą cechą mojego usposobienia. Wszyscy zaczęliśmy się zmieniać. Pan Prettiman znowu popadł w typowy dla siebie stan podniecenia i gniewu, który czynił go postacią bardziej zabawną niż straszną. Sporo radości przysparzali mi także emigranci, którzy byli zdania, że powinniśmy wysiąść na najbliższym skrawku ziemi! Rygorystyczny podział, jaki kiedyś obowiązywał na statku, w miarę upływu czasu i wydarzeń złagodniał do tego stopnia, że mogłem teraz przechadzać się wśród nich, nie obawiając się żadnych komentarzy. Uważali, że brzegiem można dojść do Sydney Cove, przy czym słabsi jechaliby na wozach dostarczonych przez tubylców! Wydawało im się, że dotarli do krainy wolności, gdzie uprawy i stada bywała same się pomnażają, gdzie wszyscy czarni rwą się do nauki i posług, a każdy biały mężczyzna jest królem, który ma pod sobą watahę utemperowanych przestępców do pilnowania czarnych!

Pod koniec zimy ujrzeliśmy północny kraniec Flinders Island i wzięliśmy kurs na wybrzeże wschodnie. Przez czas jakiś niesprzyjające wiatry przeszkadzały nam w dotarciu do Cape Howe. Poruszanie się wśród znajomych nazw dawało nam sporo otuchy i nawet nieznanne miejsca zdawały się pozdrawiać nas

w

w swoim narzeczu. Pomimo lektur i przemyśleń, które zawdzięczam Prettimanom, nie potrafię wyzbyć się patriotyzmu! Nauczyłem się... nie tylko dzięki nim... dostrzegać wady Anglii! Nie podpiszę się pod czymś tak absurdalnie fanatycznym jak: "Ojczyzna w dobrej i złej sprawie!" A jednak w moim sercu, gdzie znalazło się miejsce dla wszystkich uprzedzeń wynikających z mojego charakteru i nauk, jakie mi wpojono, dla nowych koncepcji oraz przyzwolenia dla koniecznych zmian, zrozumienia ludzi, pisarzy, artystów, filozofów i polityków... nawet dla nawiedzonych reformatorów społecznych... najpiękniej dźwięczy struna: "Anglia po wsze czasy!", i to już się nie zmieni. Spoglądając na nagie spłachcie lądu, słysząc ich nazwy: King Island, Flinders Island, Cape Howe, czułem to, chociaż z moich ust nie wyrwał się okrzyk: "Anglia po wsze czasy!"

Jeżeli dobrze pamiętam, od Cape Howe towarzyszył nam "żołnierski wiatr" nazwany tak przez Cumbershuma ku wielkiej irytacji Oldmeadowa. To określenie półwiatru sugerowało taką łatwość lawirowania, że nawet żołnierz był w stanie poprowadzić statek. Oldmeadow wprawdzie ripostował jakimś beznadziejnym zwrotem o "żeglarzu na koniu", lecz mnie już bokiem wychodziła ta ich zacięta rywalizacja. Na statku zapanowało wielkie ożywienie. Ach, te damy! Zarówno pani Prettiman jak i pani Brock- lebank wyznały mi, że nie mogą doczekać się chwili, gdy wydostaną swoje bagaże z ładowni i przebiorą się w czyste rzeczy! To prawda, wszyscy byliśmy brudni. Od wielu miesięcy używaliśmy wyłącznie mydła do słonej wody! Zastanawiałem się nawet, czy tym trzem tomom nie nadać tytułu "Mydło do słonej wody", lecz... zważywszy ostrożność angielskich wydawców, zrezygnowałem z tego pomysłu. Gdy w końcu zawinęliśmy do Sydney Cove, nasz mały świeatek stanął otworem. Zacumowaliśmy przy nowym nabrzeżu, po czym doszło do inwazji statku, ponieważ od dawna czekano niecierpliwie na artykuły ukryte w naszej ładowni. Nikt nie zwracał uwagi na

garstkę pasażerów. Ważniejsze okazały się żelazne kraty. Kapitan Anderson przekazał statek panu Sum- mersowi, a sam pospieszył na ląd wraz z panem Benétem, tym wizerunkiem oficera flagowego.

Nie zszedłem z nimi, ponieważ powiedziano mi, że gubernator, pan Macquarie, wizytuje inną wyspę, na której znajdował się obóz kamy o jeszcze bardziej zaostrzonym rygorze niż Cove. Grupka pasażerów przepychała się na ląd wśród tłumu agentów, tragarzy, bel materiałów, skrzyń i zgiełku. Pannę Zenobię Brocklebank, szczerze opatuloną, wyniesiono na noszach, potrącanych ze wszystkich stron. Pan Brocklebank przystanął obok mnie.

— Do widzenia, panie Talbot. Słyszałem, że zamierza pan wydać swój dziennik podróży bez ilustracji. Odradzam to panu. Nic, co pan napisze, nie dorówna pańskim sukcesom medycznym.

— O czym pan mówi?

— Czy to nie dzięki panu nasz przyjaciel, Prettiman, powraca do zdrowia? Prawdę mówiąc, uważam, że powinien pan rozstać się z Muzami na rzecz Eskulapa. Życzę powodzenia.

— Pani Prettiman... pani Prettiman! Zamiast “żegnam” powiem: au revoir! Nie wątpię, że jeszcze się spotkamy.

Hałas zagłuszył jej odpowiedź, a ciżba na pokładzie tarasowała mi dostęp do niej. Pan Prettiman póleżał na noszach, wpatrując się w nabrzeże. Od zebranego tam tłumu oderwało się kilku mężczyzn i wtargnęło na pokład. Oczekiwano go! Nawet się nie obejrzał, kiedy go wynosili, a pani Prettiman potulnie ruszyła za noszami. Rzuciłem się za nią, lecz na drodze stanęły mi nosze, na których spoczywał Martin Davies, nasz zgrzybiały aspirant. Dalej szli Pike’owie, a tuż za nimi państwo East, niczym służba! Pani Brocklebank nagle zawróciła... zgubiła żółty szal... Och, nie... przecież ma go na sobie... taka roz trzepana! Przysunęła się jednak do mnie, by oświadczyć, że zupełnie już zapomniała o tym, co zaszło, gdy cudem uniknęliśmy zderzenia z górą lodową... Po dziś dzień nie mam pojęcia, co miała na myśli.

— Adieu, drogi panie Talbot. Dochowam naszej tajemnicy, proszę mi zaufać! Od strony forkasztelu nadszedł Charles.

— Jeszcze tu jesteś, Edmundzie? Myślałem, że pożegnaliśmy się podczas wachty. To straszne.

— Jak myślisz, jakim człowiekiem jest gubernator?

— Zdaje się, że ten dżentelmen ma do ciebie jakąś sprawę. Z Bogiem!

Rzeczywiście. Dżentelmen nazywał się Markham i należał do świty gubernatora. Przywitał się ze mną i natychmiast zaprowadził mnie “zamoczyć gwizdek”. Wkrótce się zorientowałem, że zwrot ten jest bardzo popularny wśród urzędników niższego szczebla. Angielski zajazd to miejsce niepowtarzalne, lecz muszę przyznać, że osadnicy spisali się całkiem nieźle. Ze zdumieniem dowiedziałem się, że w obecności gubernatora obowiązuje atmosfera pobożności. Markham pocieszył mnie jednak, że na razie mamy spokój, mimo że zastępca gubernatora jest osobą zaledwie nieco tylko mniej religijną od zwierzchnika.

— Czy kapitan Phillip jest oficerem marynarki wojennej?

— Oczywiście. Razem z kapitanem Andersonem mają zdecydować o losie tej waszej skorupy... chociaż nie będzie to trudne, sądząc po jej wyglądzie.

— Straciliśmy stengi, co nieźle dało się nam we znaki.

— Czy pan przypadkiem nie służy w marynarce?

— Uchowaj Boże! Nasz kapitan nie nadużywa mocnych trunków.

— Phillip także nie. “Żegnam, panie Markham. Zobaczymy się jutro podczas mszy świętej”.

— Dobry Boże!

— Łatwo się przyzwyczaić do tutejszych warunków. Najgorsze są muchy, ale za to można sobie

pojeździć konno i popolować. Przypomniało mi się...

w rezydencji gubernatora czeka na pana sporo listów.

— Listy!

— Przyszły z pocztą.

— Muszę już iść.

— Zaraz, zaraz! Najpierw trzeba się zameldować Phillipowi!

W rezultacie zawróciliśmy na statek, gdzie panował nieopisany zamęt, ponieważ rozpoczął się wyładunek towarów. Przebrałem się.

Spotkanie z kapitanem Phillipem nie trwało długo. Bez komentarza przyjął moje referencje, wyraził nadzieję, że wkrótce poczuję się “jak w rodzinie”, zapytał o zdrowie mojego ojca chrzestnego, po czym szeptem poprosił mnie o raport na temat pana Pretti- mana.

Oświadczyłem, że niczego nie spisywałem. Prettiman ożenił się, a poza tym stał się kaleką. Moim zdaniem nie stanowi najmniejszego zagrożenia. Phillip w milczeniu patrzył na mnie spod ściągniętych brwi.

— Jest za to inna sprawa, sir!

— Słucham.

— Nasz statek. Chciałbym wiedzieć, co się z nim stanie.

— Doszły mnie słuchy, że nie nadaje się do ponownego wyjścia w morze. Pozostanie pod naszym nadzorem. Przyda się nam na pomieszczenia biurowe.

— Co stanie się z kadrą oficerską?

— Nie powinno to pana interesować, panie Talbot.

— Proszę mi wybaczyć, sir...

— Panie Talbot, fakt, że jest pan młodym człowiekiem, który nagle znalazł się w zupełnie nowej sytuacji, usprawiedliwia pańskie zachowanie, lecz pragnę panu przypomnieć, iż jest pan tutaj pracownikiem bardzo niskiego szczebla, z czego jak najwcześniej należy zdać sobie sprawę.

— Jestem tego świadom, sir. Moja śmiałość podyktowana jest odruchem serca. Jako oficer marynarki wojennej zapewne odbył pan wiele podróży i dowodził wieloma statkami... wie pan zatem, jak mocno zacieśniają się więzy przyjaźni... jak bardzo można zaangażować się w przyszłość... towarzysza!

Zastępca gubernatora obserwował mnie uważnie. Dopiero po chwili jego wargi drgnęły w uśmiechu.

— To prawda. Pamiętam, jak... ale nie o to chodzi. Kapitan Anderson zdaje sobie sprawę, że dowodzenie statkiem na stałe zakotwiczonym w porcie nie jest dla niego odpowiednim stanowiskiem, i zamierza wrócić do kraju. Porucznik Benćta... ten niezwykle młody człowiek... popłynie wraz z nim.

— Nie miałem na myśli kapitana i porucznika Benćta.

Kapitan Phillip odchylił się w fotelu i spoglądał na mnie z powagą.

— Zaciekawiał mnie pan. Proszę mówić.

— Oczekiwałem, sir, że zechce pan wykorzystać swoją rozległą wiedzę w kwestiach dotyczących marynarki wojennej do promocji człowieka, który jest nie tylko moim przyjacielem i wytrawnym marynarzem lecz, co więcej, gorliwym chrześcijaninem!

Kapitan Phillip przerzucał dokumenty, które mu wcześniej wręczyłem. Uśmiechnął się po raz wtóry.

— Pan mnie nie tylko zaciekawia, panie Talbot, ale wręcz zaskakuje.

— Dziękuję, sir!

— Zapropnowałem dowództwo statku porucznikowi Benćtowi, lecz odmówił, czego

zresztą się spodziewałem już po kilku pierwszych minutach znajomości. Mam nadzieję, że marynarka wojenna nie straci go z oczu. Pan Benét, w sposób dla niego naturalny, chociaż w przypadku innego młodzieńca nazwano by to impertynencją, przedstawił na to miejsce kandydaturę porucznika Summersa.

— O... nieba!

Zastępca gubernatora wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

— Kapitan Anderson wspominał już wcześniej, że porucznik Summers ma wszelkie predyspozycje, by przejąć dowodzenie nad tym statkiem.

— Zatem porucznik Summers zostanie kapitanem!

— Kto to powiedział?

— Myślałem, że...

— Oczywiście, jest taka możliwość. Mógłby objąć funkcję kapitana portu, z należnym wynagrodzeniem, ponieważ straciliśmy dotychczasowego kapitana.

— Jestem przekonany, że wynagrodzenie jest ostatnią rzeczą, na której zależy panu Summersowi. Jego jedynym marzeniem jest służba Bogu i królowi.

— Mógł coś takiego powiedzieć.

— To prawda. Ten nakaz, który na samym początku kariery otrzymał od admirała Gambiera, jest po dziś dzień jego gwiazdą przewodnią.

— Gambier to dobry człowiek... bardzo religijny.

— Cieszyłem się na myśl, że w pierwszym liście do mojego ojca chrzestnego będę miał przyjemność pochwalić się, iż dane mi było przekonać gubernatora Phillipa o celowości promocji osoby o tak surowych chrześcijańskich zasadach...

— Gubernator Phillip... Kto wie? Zatem chciałby pan, aby porucznik Summers został kapitanem, czy tak? Oczywiście, zdaje pan sobie sprawę z tego, że wymaga to akceptacji gubernatora Macquarie, a następnie potwierdzenia Londynu? Mimo wszystko. Dobrze, zajmę się tym.

— Dziękuję panu, gubernatorze! Tysiącrotne dzięki!

— Niech go pan tu jak najszybciej przyprowadzi. Przejdźmy teraz do pańskich spraw. Na początek postaramy się, aby się pan zbyt nie przepracowywał. Daję panu tydzień, nawet dwa, żeby się pan tu urządził. Proszę dobrze się rozglądać. W liście do pańskiego ojca chrzestnego może pan wspomnieć o... albo nie. Nie należy sprawiać wrażenia...

— Z przyjemnością napiszę o pańskiej wspaniałomyślności, gubernatorze. Mam jeszcze jedną prośbę... nie wiem, czy to będzie możliwe... czy mogę osobiście zanieść kapitanowi Summersowi tę dobrą nowinę?

— Hola, młodzieńcze! Jeszcze nie podpisałem nawet tymczasowego dokumentu stwierdzającego przekazanie mu obowiązków kapitana! Wielkie nieba, tak poważnej sprawy jak promocja nie można załatwiać na chybcika!

— Przepraszam, sir.

— W porządku. Chciałem zapytać... czy rodowe nazwisko pańskiej matki brzmi FitzHenry?

— Tak, sir. Mój ojciec...

— Widzi pan, mamy tu różne formularze, drukowane w całkiem nowoczesny sposób. Nam chodzi tylko o stanowisko "p.o.". Nie wymaga to podpisu Jego Królewskiej Mości... natomiast decyzja w tej sprawie musi przyjść z Londynu.

— Tak jest, sir. Trochę musi poczekać... rozumiem... do spokojniejszych czasów.

— Charles Summers, porucznik... czy on ma drugie imię? Nie ma... ze statku... został... tymczasowo... podpisano... zastępca gubernatora.

— Nie wiem, jak mam panu dziękować, gubernatorze!

Patrzył na mnie z niedowierzaniem.

— Nie prosi pan o nic dla siebie?

— Dla mnie? Czy mogę osobiście zanieść mu ten dokument?

Zastępca gubernatora wystraszył się nieco. Po chwili jednak wybuchnął szczerym śmiechem.
— To była naprawdę długa podróż! Może nie powinienem tego mówić... ale ten Benet, Summers, Cumbershum, Anderson... a teraz pan... Coś panu

powiem, młody człowieku. Odnoszę wrażenie... że był to najszczęśliwszy okręt w tale) marynarce!

— Czy kolonia utrzymuje kontakt z Indiami? --To zrozumiałe... kursuje poczta królewska. Jeżeli będzie miał pan coś do wysłania, proszę się skontaktować z Markhamem. To jego wydział.

— Dziękuję, gubernatorze.

— Jeszcze jedno, Talbot... od naszych urzędników oczekujemy przykładowego zachowania.

— Rozumiem, gubernatorze.

— Do zobaczenia na jutrzni.

Uniósł się nieco w fotelu i ręką wskazał mi drzwi. Rzeczywistość znacznie odbiegała od optymistycznej wizji, jaka mi towarzyszyła, gdy opuszczałem Anglię, lecz radość z dokumentu, który trzymałem w ręce, nie pozwoliła mi się martwić. Pomknąłem do portu, niczym Glaukos ze swoim złotym lub miedzianym darem. Charles stał przy relingu na pokładzie rufowym. Dwa wozy wyładowane po brzegi bagażami oddalały się, turkocząc na bruku. Obok nich kroczyli Anderson i Benêt! Szybko się uwinęli.

Rozgardiasz na statku ciągle nie ustawał. Otwarto wszystkie luki, na bomach kołysały się przeróżne ładunki, wytaczano beczki, układano bele w stosy... wszędzie unosiły się tumany pyłu...

— Charlesie, Charlesie!

Skoczyłem z nabrzeża prosto na pokład. Później, kiedy zobaczyłem, jak wielka dzieli je odległość, wyrzucałem sobie taki brak wyobraźni.

— Proszę!

Rzucił okiem na dokument, lecz natychmiast powrócił do obserwacji wyładunku.

— Nie teraz, Edmundzie! Jeżeli tylko na moment spuszczyć ich z oka, zaraz wybuchnie jakaś awantura!

— Przeczytaj to, człowieku! Musisz to przeczytać! Popatrzył na pismo, lecz znowu przeniósł wzrok

na pokład; nagle odwrócił się i wbił spojrzenie w rulon. Zaniepokoiłem nę, ic hęózię tak patfitył bez końca, z otwartymi ustami i płonącym wzrokiem Rozwinąłem papier t trzymałem tak. bv mógł csytuc. Zbladł, oparł dłoń na poręczy i ciężko usiadł Oto złota zbroja!

Kiedy ochłonał, zasiedlamy na pusta koi w opun- czonej kwaterze kapitana Dowiedziałem się wowou, że kapitan niższej rangi nosi epolet na prawym ramieniu. Biedaczysko był okropnie skrępowany, lcct w końcu wyznał, że przechowuje taki epolet . U mai cm to za osobliwą i zarazem wzruszającą cechę durakiem osoby ongiś tak skromnej, chociaż me pozbawionej nadziei! Charles zmienił się podczas tri podro*v, iak zresztą my wszyscy. Mogłem jedynie mieć nadzieję, że z biegiem czasu odzyska prostotę i łt*odno#ć, które kiedyś dominowały w jego naturze Namawiałem go, by zszedł ze mną na ład, lecz odmówił

— Natychmiast zaczął błaznować albo ttę obnac Wystarczy chwila nieuwagi, żeby kogoś 00» przygniotło. Rozładunek jest znacznie bardziej) skomplikowany, niż ci się wydaje. Na moje ucześnie, podróż trwała tak długo, że już we mamy na pokładzie żadnych mocnych trunków.

Zastanawiałem się przez moment, czy powiedzieć mu o wstawiennictwie Andersona i Bencta, ale zarzuciłem ten pomysł. Zamiast tego tak długo go męczyłem, aż przyczepił do ramienia epolet. Przeżyłem wielkie rozczarowanie. Okazało się bowiem, że na skutek długiego przechowywania u nieszczęsna ozdoba jest straszliwie zmięta, a złoty szych podejrzenie zbrązo- wiał. Wyglądało to tak, jakby jakieś duże ptaszysko, orzeł albo sęp, z czubka masztu narobik) mu na rami;

— Oszałamiający efekt! Czy nadal mogę zwracać się do ciebie po imieniu? Czy wybaczysz mi, jeżeli od czasu do czasu wymknie mi się z ust słówko “kapitanie”?

— To jest sen.

— No cóż... uczci jmy to na lądzie.

— Nie. Do gubernatora zgłoszę się jutro. Dzisiaj...

Urwał, a ja zacząłem się zastanawiać, czy pomyślał

o zadośćuczynieniu Bogu. Zauważyłem jednak, że gładzi dłonią drewniany brzeg koi... wyobraziłem sobie, iż taki ruch może wykonać mężczyzna lub kobieta głaszcząc brzeg łóża, w którym ongiś spędzili noc poślubną! Wstał, podszedł do ściany, przeciągnął po niej dłonią... zatrzymał się przy oknie, przetarł zaparowaną szybę...

— Co ci jest, Charlesie?

Usiadł obok mnie na koi.

— Ty nie zrozumiesz... tego, co czułem, kiedy już jako aspirant mogłem posługiwać się sekstantem... kiedy później stanąłem przed komisją i dowiedziałem się, że awansowałem do stopnia porucznika... co czuję dzisiaj! Kapitan? Tak... mam statek, swój statek!

— Och, przestań. Zajdziesz jeszcze wyżej, kapitanie!

— Ty tego nie potrafisz zrozumieć.

W końcu go pożegnałem, aby rozlokować się w gościnnej sypialni, którą Markham był uprzejmy mi wynająć. Odchodziłem z uczuciem, które dopiero po jakimś czasie udało mi się określić jako rozczarowanie. Przypisałem je radości Charlesa z powodu objęcia jednostki unieruchomionej i przestarzałej!

Markham jeszcze nie wrócił z jakiegoś spotkania. Pomyślałem wówczas, że przyczyną ogarniającego mnie uczucia szarości oraz niechęci do wszystkiego prócz snu są złe wyżywienie i abstynencja. Udałem się więc do najbliższego zajazdu, który wyglądał całkiem porządnie... i poczułem się osamotniony. Przypominałem sobie o korespondencji... zapłaciłem i pognałem do rezydencji gubernatora. Przesyłki do mnie znalazłem na biurku Markhama. Usiadłem i otworzyłem list od ojca, który rozpoznałem po rozwlekłym charakterze pisma. W pierwszym zdaniu, w którym jak zwykle już roіło się od błędów ortograficznych i gramatycznych, ojciec donosił mi, bez żadnych wstępów, o śmierci mojego ojca chrzestnego, przyczyną zgonu była apopleksja wywołana przesadną radością z powodu upadku Tyrana z Korsyki. Moja przyszłość legła w gruzach.

Tak oto rozpoczął się niezwykle okres w moim życiu. Nie wyznaczono mi żadnego zadania, ponieważ miałem "oswajać się" z nową sytuacją. Prawdę mówiąc, unikałem tego, aż stopniowo odkryłem, że brakuje mi przyjaciół! Pojąłem, że stali się nimi ci, z którymi spędziłem prawie cały rok i poznałem może nawet lepiej niż własną rodzinę. Oldmeadow, Brocklebank, panie East i Pike, pan Pike, Bowles, Smiles, Tommy Taylor, Prettiman, kochana pani Prettiman... Nie wiedząc kiedy, wyruszyłem by ich odnaleźć! Oni jednak zniknęli! Moi przyjaciele zniknęli! Również Charles co chwila zniknął, opanowany obsesją na punkcie tej starej krypy!

Następnego dnia udałem się do siedziby gubernatora, aby zasięgnąć informacji, co się z nimi wszystkimi stało. Prettiman nie przebywał w szpitalu; mówiono, że gdzieś wynajęli pokoje. Oldmeadow wraz ze swoimi ludźmi pomaszzerował w górę rzeki zgodnie z otrzymanym rozkazem. Nikt nie wiedział, co dzieje się z Brocklebankami...

I tak dalej. Charles, z epoletem na ramieniu, zawitał w rezydencji, po czym zniknął za drzwiami gabinetu kapitana Phillipa. Wyszedł stamtąd kipiąc entuzjazmem, ponieważ otrzymał polecenie ulepszenia oznakowania nawigacyjnego portu. Poszliśmy razem na statek, jakbym nadal tam mieszkał. Charles natychmiast włączył się do akcji prowadzonej przez pana Cumbershuma, który usuwał ze statku wszystkie działa, starając się przy tym nie naruszyć jego równowagi. Snułem się więc samotnie po pokładach niczym duch. Zajrzałem do swojej pierwszej kabiny i do tej drugiej, napiętnowanej śladami samobójstwa.

Przeszedłem na pokład rufowy, gdzie kiedyś przyszło mi stawić czoło ścianom z czarnego marmuru zamykającym sztorm. Moja dłoń, oparta na poręczy, wyczuła jakąś chropowatość. W tym miejscu broń Deverela o mało co nie przecięła relingu!

Czułem, że wzruszenie chwyta mnie za gardło, jak na wspomnienie szczęśliwych chwil. Nic do mnie nie docierało. Stałem tuż obok Charlesa i Cumbershuma, którzy mówili coś o linobłokach i węzłach zaciskowych, sprzeczali się o sposób mocowania lin, aż Cumbershum odszedł, mruczając pod nosem: "Na każdym statku inna długość splotu". Nawet wtedy wydawało mi się, że Charles stoi gdzieś daleko i widzi mnie jako drobną plamkę na linii horyzontu, ponieważ jest zajęty niezmiernie ważną sprawą... mimo że chodziło tylko o ustawienie przegniłego statku pod dźwigiem, który miał zedrzyć z niego cały takielunek, pozostawiając jedynie nagi kikut grot-masztu!

Odnalazłem Prettimanów. Pan Prettiman dostał coś w rodzaju protezy, która umożliwiła mu poruszanie się o kulach. W przyszłości może nawet wystarczą mu dwie laski. Pani Prettiman z całą energią zajęła się zbieraniem dokumentów i przygotowaniem zebrań. Zgodziła się poświęcić mi pół godziny. Kiedy opisałem jej stan, w jakim się znajduję, odłożyła pióro, zdjęła pince-nez i zrobiła mi wykład.

— Musi się pan czymś zająć, panie Talbot. Nie. Tutaj nie jest pan potrzebny. Prawdę mówiąc, w ogóle nie powinien pan tu przychodzić. Tutejsze władze nie będą tym zachwycone. Ta podróż stała się częścią pańskiego życia, sir. Nie ma się co rozwodzić nad tym tematem. Już przecież panu mówiłam, że to nie Odyseja. To nie jest żaden typ, wzór czy metafora kondycji człowieczej. Nasza podróż była tylko serią wydarzeń.

— Myślę, że sprowadzam śmierć.

— Bzdury. Żegnaj pana, panie Talbot. Dla pańskiego dobra... proszę już więcej tutaj nie przychodzić.

Wydarzyło się to w przeddzień królewskich urodzin. Nadal byłem w samobójczym nastroju. Pan Macquarie ciągle nie wracał z tej swojej wyspy. Markham i Roberts, sekretarze, okazali mi uprzejmość, lecz zachowywali dystans. Wiadomość o śmierci mojego ojca chrzestnego dotarła do nich i do kapitana Phillipa.

Charlesowi udało się doholować nasz statek pod wielki dźwig. Moim zdaniem w ogóle nie schodził na ląd: od czasu do czasu, przez lunetę ustawioną na werandzie rezydencji, widziałem jego epolet błyszczący w promieniach słońca.

Obchody urodzin króla jeszcze bardziej popsuły mi nastrój. Zastępca gubernatora wydał z tej okazji uroczysty bankiet. Zaproszenia otrzymali ci, którzy jego zdaniem na to zasługiwali. Dowiedziałem się, że są wśród nich także dawni skazańcy, niektórzy ponoć nader zamożni. Przyjęcie zaczęło się przed południem i trwało jeszcze po zmroku. Kapitan Phillip obiecał liczyć toasty wzniesione za zdrowie monarchy, lecz mu się to nie udało. Myślę, że Edmund Talbot był jedyną trzeźwą osobą w Sydney Cove. Martwiłem się o moich przyjaciół Prettimanów, nie bardzo wiedząc, które z nich więcej dla mnie znaczy... znowu zacząłem się martwić o pannę Chumley, tę jasną i nieosiągalną gwiazdkę, gdzieś daleko na północy... martwiłem się o Charlesa, który przywdział moją złotą zbroję i był tak pewny mojej przyjaźni, że o mnie zapomniał. Kiedy rozpoczął się pokaz sztucznych ogni, które odbijały się w spokojnych wodach zatoki, opuściłem rozbawione towarzystwo i stanąłem samotnie na werandzie, skąd do otępienia wpatrywałem się w wodę i niebo.

Słaby podmuch wiatru rzucił cień na wody zatoki. Niezliczone mnóstwo statków... handlowych, rybac

kich, wielorybnych, okrętów wojennych... odwracało się powoli, by w końcu ustawić się w jednym kierunku. Były unieruchomione na tej samej kotwicy. Dołączył do nich nasz kadłub, statek z dźwigiem, a także barka z prochem stojąca przy jego drugiej burcie. Nad zatoką unosiły się czerwone, niebieskie i żółte gwiazdy oraz radosne krzyki dzieci ukrytych za żywoplotem rezydencji.

Dumałem nad katastrofą, jaka mnie dotknęła. Jak kiedyś Summers, tak teraz ja będę musiał zapracować na swoją pozycję. Nie mogę już przekazać chrzestnemu opinii gubernatora, nie wywrę już żadnego nacisku na wyższych szczeblach, aby tymczasową promocję Charlesa przekwalifikowały na stałą. Tak, to prawda. To nie jest Odyseja, paradygmat, metafora, odpowiednik... lecz politowania godne żale Edmunda Talbota, którego życie nagle przestało rozpieszczać.

Podszedłem do lunety i popatrzyłem na statek z dźwigiem. Nasz... napisałem nasz!... Fokmaszt

i stermaszt jednostki dowodzonej przez Charlesa leżały na pokładzie. Z kadłuba sterczała teraz zaledwie dolna część grotmasztu, sięgająca pomostu bojowego. Wpatrywałem się w mroczny otwór prowadzący do holu niemal pewny, że zaraz pojawi się tam pan Brocklebank z tą swoją niby-żoną przytuloną do niego pod brudnym płaszczem podróżnym. Ale nie było tam żywego ducha.

Niepokoili mnie przednia część statku, a dokładniej dziób. Ogromna kotwica wisiała nieruchomo... tuż pod kluzą... czy tak to się nazywa?... tak że w każdej chwili można było ją rzucić. Jej pięta odbijała się w wodzie tak, że pod prawdziwą kotwicą ujrzałem jej odwrócone odbicie.

Skąd ten niepokój?

Wydawało mi się, że nad dziobem unosi się delikatna mgiełka, zauważalna tylko dla kogoś, kto tak długo jak ja lustrował cały statek... poczułem w nozdrzach gryzący zapach dymu. To przez te

sztuczne ognie, które całymi snopami wzbijały się teraz nad pociemniałą wodą. Kolejny podmuch wiatru od strony lądu rozmył odbicie kotwicy.

Na pokładzie ukazał się Charles... wypadł z pomieszczeń kapitańskich. Zsunął się po drabinkach, rzucił się biegiem przez cały pokład i zniknął w for- kasztelu. Z dziury, jaka została w pokładzie po usunięciu fokmasztu, wydobył się słup mgiełki. Charles był znowu na pokładzie. Dopadł grotmasztu, coś robił przy nim, po czym oddalił się, niosąc wielką siekiere. Podbiegł do forkasztelu i zaczął odrąbywać liny łączące statki. Pognał na rufę przez kłęby dymu, które wydobywały się spod pokładu już na całej długości statku, żeby i tam przerębać liny! Między burtami widziałem szczelinę... szeroką na jard... oddzielającą jego statek od statku z dźwigiem, do którego przycumowano barkę z prochem! Nagle dziura po fokmaszcie poczerwieniała, po czym wystrzelił z niej jęzor ognia. Charles zawrócił, rzucił się do dzwonu i zaczął go szarpać jak opętany. Słaba bryza pchnęła płonący statek, który w kłębach dymu wydobywającego się z każdej szczeliny ruszył ku redzie z całą swoją świtą. Odgłos dzwonu nie cichł! Skierowałem lunetę na najbliższy statek handlowy, gdzie załoga zaczęła się zbierać przy łańcuchach kotwicznych. Dalej niewielki szkuner podnosił żagle... tui za nim inny zrzucił żagiel rejowy, nabierając wiatru w grot, w miarę jak łódź schodziła z kursu płonącego potwora. Charles dał nura do forkasztelu, lecz prawie natychmiast stamtąd wybiegł. Przemknął przez pokład i zniknął w wejściu do korytarza. Zobaczyłem tam niewyraźnie migoczący blask. Nad portem niósł się trzask sztucznych ogni, które wznosiły się nie wyżej niż imponujący słup dymu.

Nagle uświadomiłem sobie, że Charles jest w niebezpieczeństwie! Nie wiedziałem, czy potrafię pływać, lecz większość żeglarzy nie posiada tej umiejętności

ności. Instynktownie rzuciłem się biegiem przez ogrody, po bruku, skręciłem w jakąś aleję, aż między składami wypadłem na nabrzeże, z trudem łapiąc oddech. Gnany przerażeniem dotarłem do pomostu, gdzie cumowały dingi i łódki należące do większych statków, zbiegłem niżej... spostrzegłem, że w jednej pozostawiono wiosła, odwiązałem ją, wskoczyłem i zacząłem wiosłować. Nie jestem zaprawionym wiosłarzem, nic więc dziwnego, że nie szło mi to najlepiej. Mimo to nie ustawałem w wysiłkach, chociaż płonący statek wydawał się nieosiągalny. W pewnej chwili uznałem, że jednak do niego dotrę, ponieważ zaczął się obracać w prawą stronę, po czym stanął, nieco przechylony, na mieliźnie. Pomimo dymu, który buchał wszystkimi otwartymi ilu- minatorami, widziałem czerwoną poświatę pod pokładem. Z rozpędem uderzyłem swoją łódką w kadłub statku, Ulż za ostatnią liną wzmacniającą założoną przez Charlesa. Wdrapałem się na burtę, przelazłem przez balustradę i wylądowałem na pokładzie, miotając przekleństwa i krztusząc się dymem.

— Charlesie!

Wcześniej zniknął mi z oczu, schodząc do holu. Zerwałem krawat z szyi, zasłoniłem nim usta i nos,

i zanurzyłem się w kłębach dymu.

— Charlesie!

Trafiłem stopą w próżnię i upadłem... zawisłem w dziurze po bezanmaszcie. Wygrzebałem się, lecz nie mogłem znaleźć drabinki. Okazało się, że trzymam się poręczy, a potem klamki. Kajuty. Szedłem po omacku tak długo, że zwątpiłem, by to mogło kiedyś się skończyć. Nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego znalazłem się poza kabiną w środku nocy... ach, tak... idę jak zawsze na wachtę.

— Charlesie! Aspirant Talbot...

Nigdzie go nie ma. Macałem drzwi i poręcze; w końcu okazało się, że moje stopy mają lepszą pamięć niż głowa, bo znalazłem się przy wyjściu na śródokręcie. Doprowadziły mnie do drabinki na pokład rufowy, gdzie odbywa się zmiana wachty.

— Talbot!

Nie widziałem go. Oprzytomniawszy nieco przypomniałem sobie, że zniknął w forkamełu. Możliwe... zbiegłem z pokładu rufowego.

— Talbot, głupcze!

Prawie pode mną rozległ się ogłuszający huk eksplozji i w tej samej chwili liny założone przez Charlesa puściły, a ich strzepy rozprysły się na wszystkie strony. Usłyszałem jeszcze dwie detonacje, jedna po drugiej. Widziałem jak pokład rozstał się, od moich stóp aż do samego forkasztełu. Kadłub pękł na pół, uwalniając słup ognia, w którym kikut grotmasztu runął z łoskotem. Ponad płomieniami wykwitł pióropusz iskier.

— Skacz, ty durniu!

Moje włosy zajęły się w okamgnieniu. Chciałem wejść na schody, lecz już ich nie było. Rzuciłem się do balustrady, ale stała w płomieniach.

— Z lewej burty, Chryste!

Musiałem pokonać spadek. Nie tknięty jeszcze pożarem skrawek pokładu przy kole sterowym był na tyle szeroki, że mogłem przedostać się po nim na drugą stronę. Nie przywiązywałem do tego znaczenia. Bolały mnie za to ręce i twarz. Dotarłem do części balustrady wolnej od ognia. Popatrzyłem na lodowatą toń i pomyślałem, że nawet odbicie pożogi całego świata nie potrafiłoby jej ogrzać. Przechyliłem się przez fałszburtę i osunąłem się w tę otchłań.

Cumbershum chwycił mnie za kołnierz, ponieważ opadałem z sił. Z trudem wciągnęli mnie do łódki. Dopiero wtedy poczułem ból; musiałem bardzo się starać, by nie krzyknąć w drodze do szpitala, gdzie mnie rozebrano, opatrzone jagnięcą wełną i napojono mdłym laudanum.

Nie zamierzam opisywać, przez co przeszedłem. Czy cierpiąc wyrównałem jakieś rachunki? Chyba nie. W końcu jednak nadszedł dzień, kiedy powracające do zdrowia ciało pozwoliło mi zrozumieć moje położenie. Ojciec chrzestny nie żyje. Charles nie żyje. Inni odeszli równie bezpowrotnie, jakby wcale nie opuścili statku i przepadli w płomieniach.

Nie znaleziono żadnych szczątków Charlesa. Podczas odpływu wrak rozpadł się, pokazując swoje wnętrze wszystkim chętnym. Ani śladu. Odprawiono w jego intencji nabożeństwo, podczas którego wychwalano go jako wiernego i cichego sługę, co jak inni nie mają pomników, a zniknąwszy z tego świata, zabierają całą pamięć o sobie. Ja natomiast, mimo że otrzymałem więcej pochwał niż mi się należało, pogrzeżyłem się w rozpacz. Śniłem o Charlesie, o nich wszystkich, i o statku. Budziłem się zapłakany, by dzień po dniu stawiać czoło bezlitosnym i nie do zniesienia promieniom słońca. W trakcie jednej z najokrutniejszych iluminacji ujrzałem, kim jestem naprawdę i jak skromne są moje możliwości. Stałem nagi i bosi na ziemi. Pojąłem, że czeka mnie trudna przyszłość. Alimo to zebrałem wszystkie siły i ruszyłem ku niej. Towarzyszyło mi jednak przeświadczenie, że cokolwiek mnie spotka, ten okres pozostanie najtragiczniejszy w moim życiu.

Rzeczywistość, która wymyka się wyobraźni, staje się, rzecz jasna, mniej wiarygodna. Rzetelny biograf, jeżeli tacy istnieją, nieodmiennie dochodzi do punktu, w którym wolałby stonować jaskrawe barwy rzeczywistości do pastelowych odcieni wyniosłych uczuć i legend! Taka refleksja naszała mnie zaledwie onegdaj, podczas ponownej lektury wyrazistych fragmentów poświęconych naszej przygodzie na wodach polarnych.

Zawsze wprawiali mnie w zakłopotanie tacy autorzy jak Fielding czy Smollett, nie wspominając już

o współczesnych, na przykład o pani Austen, którzy wbrew temu, co bez przerwy pokazuje im życie, obstają — w imię zgodności z rzeczywistością — przy szczęśliwych zakończeniach... chociaż muszę przyznać, że było tak dopóty, dopóki to samo życie nie poprowadziło mnie do krainy fantazji, baśni i nieprawdopodobnej szczęśliwości!

Pewnego dnia, nadal pograżony w żałobie, stałem na werandzie rezydencji, medytując nad ową wewnętrzną siłą, która powstrzymuje większość ludzi od samobójstwa, kiedy odległy łoskot sprawił, że popatrzyłem na zatokę. Na redzie pojawił się statek. W tej

samej chwili aż podskoczyłem, ponieważ nasze działo, usytuowane tuż pod werandą, oddało salwę powitalną, robiąc przy tym niemało huk i dymu. Oznaczało to, że do portu zawija okręt wojenny. Podeszedłem do lunety i nastawiłem ostrość tak, by widzieć przybysza.

Przysięgam, że już wtedy coś mi podpowiadało, iż jest to początek baśni! Okręt wywiesił flagę sygnałową... zapewne ze swoim numerem... i jeszcze kilka innych flag, które — jak się domyślam — też miały jakieś znaczenie. Pod bukszprytem dostrzegłem połyskujące barwy: udało mi się rozróżnić koronę i czerwoną plamę na niebieskim tle. Oniemiałem, przyszło mi bowiem do głowy, że może to być zimorodek w koronie, halcyon, Alcyonel Rzuciłem się do

biura, lecz po drodze kolejna powitalna salwa naszej armaty

O mało nie powaliła mnie z nóg. W biurze Daniels

1 Roberts właśnie odkładali papierowe strzały, za pomocą których zawiadywali sprawami kolonii. Drugimi drzwiami wszedł Markham, aby poinformować nas, że przybyła królewska fregata Alcyone. Nareszcie zdarza się sposobność, by zweryfikować pogłoski zasłyszane od pijanych kapitanów floty handlowej. Przekonywałem się, że mogę oczekiwać co najwyżej jednego listu od panny Chumley w odpowiedzi na te, które wysyłałem każdym statkiem do Indii. Będę mógł jednak wypytać o nią sir Henry'ego. Rzuciłem od niechcenia, że znam kapitana fregaty i zamierzam się przejść do portu. Opuściłem ich, zanim zdążyli mi zaproponować swoje towarzystwo. Stałem nie opodal lunety, czekając aż wszyscy zebrani zaspokoją swoją ciekawość. Alcyone płynęła dostojnie na samych marszlach, co było naturalne na tak zatłoczonej redzie. Ponieważ była okrętem wojennym, skierowano ją do nowego nabrzeża.

Przyszła moja kolejka. Na pokładzie rufowym bez trudu dostrzegłem sir Henry'ego.

Przywdział galowy

mundur, aby złożyć wizytę gubernatorowi. Czytelnik zapewne domyśla się pomyślnego obrotu spraw... Poczułem, że serce wyskakuje mi z piersi! Nie posiadałem się ze szczęścia na widok panny Chumley! Stała u boku lady Somerset, nieco z tyłu za sir Henrym, który wydawał rozkazy. Damy, zwrócone głowami do siebie, obserwowały go w milczeniu. Okręt wchodził do kanału. Teraz sir Henry lustrował przez lunetę rezydencję gubernatora... staliśmy oko w oko! Odwrócił się i ze śmiechem powiedział coś pod adresem panny Chumley, która z kolei prosiła go o lunetę... jakiś młody oficer podał jej swoją... trzymał, a ona ją ustawiała... zerwałem z głowy kapelusz i zacząłem nim wymachiwać... Panna Chumley puściła lunetę i rzuciła się w objęcia lady Helen. Odstąpiła od niej... wyglądała na zmieszaną, niemal zrozpaczoną... zbiegła do części mieszkalnej, znikając mi z oczu. Zdałem sobie wówczas sprawę, jak niechlujnie zwykliśmy wyglądać o tak wczesnej porze... prezentowaliśmy się tylko trochę lepiej niż większość mężczyzn w Sydney Cove. Pospieszyłem więc doprowadzić się do porządku. Kiedy wróciłem, ogolony i odziany jak należy, Alcyone podchodziła do nabrzeża. Uniosłem kapelusz pozdrawiając sir Henry'ego, który wspinał się po schodach prowadzących do rezydencji, kiedy ja akurat schodziłem na dół. Myślę jednak, że mnie wówczas nie zauważył. Za nim kroczył aspirant z pokaźnym portfolio. Sir Henry był czerwony na twarzy i zasapany.

Kiedy dotarłem na nabrzeże, Alcyone stała już na miejscu swojego postoju. Spuszczono obie schodnie, przy których zajęli swoje pozycje wartownicy i kwatermistrze, rozpoczął się bowiem załadunek wody

i prowiantów. Pomimo zamieszania, jakie panowało na nabrzeżu, lady Somerset stała niczym w zaklętym kręgu. Nie widziałem panny Chumley. Zbliżając się do lady Helen zdjąłem kapelusz, lecz natychmiast mnie poprosiła, bym go na powrót włożył. Pobyt

w Indii sprawił, iż czuje się bardzo nieswojo w towarzystwie mężczyzny z obnażoną głową. Wybąka-łem jakiś komplement na temat jej stroju, co spotkało się z gwałtownym protestem.

— Panie Talbot, nie ma pan pojęcia, jakim ograniczeniom podlegają biedne kobiety na pokładzie fregaty! Jediną dobrą stroną wydaje się być brak much... fuj!

— Do nich nie można się przyzwyczaić. Lady Somerset, błagam panią...

— Prosi pan o spotkanie z biedną Marion...

— Biedna Marion? Co się stało?!

— Nie znosi morza i nie może się do niego przyzwyczaić. Wołałaby muchy, nie wątpię w to.

— Lady Somerset... nie wyobraża pani sobie, z jakim utęsknieniem czekałem na to spotkanie!

— Ja też mam romantyczną duszę, panie Talbot, ale obawiam się, że opieka nad młodą dziewczyną wyleczy mnie z tego, co powoli zaczynam traktować jako aberrację. Pańskie listy daleko odbiegały od tego, co miałam na myśli, wyrażając zgodę na korespondencję. Czy pan chce ją zbałamucić, sir?

— Ależ lady Somerset!

— No, mam nadzieję, że tak nie jest. Ale... czym pan jest? Czwartym sekretarzem? Dotarła do nas wieść o śmierci pańskiego protektora.

— Niestety, to prawda. Bardzo niefortunny zbieg okoliczności!

— Dla pana... zapewne. Należy wierzyć, że dla niego również. Chociaż w przypadku Anglii...

— Idzie!

Panna Chumley rzeczywiście nadchodziła. Od kiedy patrzyliśmy sobie prosto w oczy przez lunety, zdążyła całkowicie zmienić strój! Gdzie się podziała burozielona peleryna? Zbliżało się do nas olśniewające zjawisko całe w bieli, z indyjskim, cienkim szalem na ramionach. Panna Chumley włożyła rękawiczki zapięte aż po łokcie; słomkowy kapelusz z sze rokim rondem przytrzymała szarfa luźno zawiązana pod brodą. Policzki Marion promieniały pod różową parasolką. W drugiej ręce trzymała wachlarz, którym bez większego powodzenia usiłowała odpędzać natrętne muchy. Zerwałem z głowy kapelusz.

— Panie Talbot... pańskie włosy!

— Wypadek, madame, doprawdy drobiazg!

— Marion, kochanie, zaprosimy pana Talbota na pokład, ale dopiero jutro...

— O, Helen! Błagam cię! Suchy ląd może nie jest zbyt pewny, ale jak tu pięknie! Tyle przestrzeni... drzewa, domy i wszystko! Helen, zobacz! Tam stoją angielskie domki!

— Dobrze już. Możesz tu chwilę zostać. Przyślę Janet. Nie opuszczaj nabrzeża.

Powierzam cię pieczy pana Talbota.

— Łaskawa pani... nie chcę niczego więcej...

— Proszę nie dopuszczać do niej żadnych tubylców... zdaje się, że nazywacie ich tu aborygenami...

— Oczywiście, madame.

— I, naturalnie, żadnych skazańców.

— Tak jest, madame. Czy mogę coś pani zasugerować? Nie nazywamy ich skazańcami, a "gubernator skimi ludźmi".

Lady Helen dygnęła i wróciła na pokład. Panna Chumley i ja nie odrywaliśmy od siebie wzroku. Uśmiechała się, potrząsała głową z niedowierzaniem i odpędzała muchy... Ja natomiast, jak przypuszczam, szczerzyłem się i rechotałem jak kretyn... zachowując się w obecności rozbawionych świadków w sposób niegodny sekretarza gubernatora! Rozmawialiśmy jak pogrążeni w transie. Okazało się później, że dzięki tajemniczym właściwościom umysłu oboje świetnie pamiętamy słowa, które wówczas nie

docierały do naszej świadomości.

— Panie Talbot, jest pan bardzo, bardzo opalony.

— Przepraszam, panno Chumley. To się zmieni.

— Obawiam się, że i moja karnacja ucierpiała.

— Ależ, madame... jest pani piękna jak angielska róża! Przecież przeżyła pani porę deszczową... monsu- ny...

— Byłam na morzu.

— Nie przez cały czas!

— Przyznaję, panie Talbot, że nie spodziewałam się, iż potrwa to aż tak długo. Na mapach i globusach wszystko wygląda całkiem inaczej.

— To prawda!

— Taki bezmiar jest zupełnie niepotrzebny.

— Zgadzam się, absolutnie zbędny! Precz z nim! Żadnych mórz! Wystarczy wąski przesmyk między jednym krajem a drugim... coś w rodzaju kanału...

— I od czasu do czasu jakieś piękne jezioro...

— Jedna albo dwie fontanny...

— O, tak! Fontanna jest najważniejsza!

Jeśli dobrze pamiętam, w tej chwili oboje zdaliśmy sobie sprawę z niedorzeczności naszej rozmowy i roześmialiśmy się wesoło. Wyciągnąłem ramiona w spontanicznym geście, lecz w porę dostrzegłem nieocenioną Janet. Opuściłem ręce.

— Panno Chumley, oboje jesteście znużeni morzem... ale czy dotarła pani do Indii?

— Oczywiście. Najpierw spędziłyśmy czas jakiś w Madrasie, po czym przeniosłyśmy się do Kalkuty. Mój kuzyn... po śmierci biednej Rosie Aymler... ona była taka utalentowana, taka miła, spokrewniona z rodziną królewską... taka tragiczna śmierć... i przerażająca... Rosie była tylko trochę ode mnie starsza! Kuzyn był zdania, że jestem zbyt delikatna, by przeżyć epidemii. W tej sytuacji lady Somerset zabrała mnie stamtąd. A czy sir Henry mógł się sprzeciwić swojemu admirałowi?

— Łaskawy los sprawił, że nasze drogi się spotkały. A ja urągałem całemu światu!

Panna Chumley roześmiała się słodko, a przy tym... jak to ująć?... z pewną nutą refleksji...

— Świat? Los? Myślę, że to spotkanie zawdzięczamy głównie Tyranowi z Korsyki! Dla wielu, przede wszystkim dla Francuzów, znaczy on tyle samo co los.

— Napoleon!

— Ten potwór uciekł z Elby i wylądował we Francji. Znowu mamy wojnę. Wiadomość tę przekazano admirałowi drogą lądową, kiedy przebywał na Morzu Czerwonym, więc spotkawszy nas w pobliżu Cape Comorin rozkazał nam “w trybie pilnym” wziąć kurs na Sydney Cove. Mniemam, że ten port będziemy opuszczać równie spiesznie.

— To straszne! Za pani sprawą w tej samej chwili znajduję się w siódmym niebie i na dnie rozpaczy!

— Biedny pan Talbot! Myślę, że każda młoda osoba postąpiłaby... nie wypada mi tego mówić!

— Panno Chumley... o, panno Chumley!

Spostrzegłem, że za plecami panny Chumley stoi niezastąpiona Janet, towarzyszą lady Somerset. Uchyliłem kapelusza, ona dygnęła, po czym podjęliśmy naszą konwersację, lecz nieco spokojniejszym tonem.

— Jak już panu wiadomo, lady Somerset wzięła mnie pod swoją opiekę.

— Słodki obowiązek dla każdego, kto...

— Umówiliśmy się, że nie do mnie należy odpowiedź na pytanie... na prośbę...

— Och, panno Chumley!

— Zwykło się uważać, że młode osoby są zbyt niedoświadczone, by samodzielnie decydować o swoim losie i dlatego powinien to za nie uczynić ktoś dojrzały.

— Wydawało mi się, że lady Somerset jest zwolenniczką Natury.

Panna Chumley wdzięcznym ruchem wachlarza spędziła muchy ze swojego oblicza, a następnie gestem, który wzruszył mnie do głębi serca, pochyliła się ku mnie i zgoniła muchy z mojej twarzy.

— Należy postępować jak bohaterka Szekspira

i dbać o to, by zawsze rozegrał się akt piąty. Oczywiście, mam tu na myśli jego komedie.

— Co zatem zrobimy z takimi postaciami jak garbusy, złośliwi starcy i ich niedobre córki?

— Nic, rzecz jasna, lecz ja miałam na myśli pewną konkretną obietnicę, składaną młodej osobie, jakby w rzeczywistości była młodym człowiekiem w przebraniu...

— Panno Chumley! Doprawdy, niczym Julia zmienia pani to sklepienie w przybytek światła! To powietrze, to palące słońce... te barwy... proszę mi wybaczyć łyzy... muchy... to są muchy... nie... łyzy radości!

Gwałtownym gestem wyciągnąłem dłoń. Panna Chumley natomiast puściła wachlarz, który zawisł na sznureczku na jej przegubie, i ze śmiechem złożyła swoją dłoń w mojej.

— Drogi panie Talbot! Zawrócił mi pan w głowie!

W końcu, bardzo niechętnie, uwolniłem jej dłoń.

— Proszę mi wybaczyć. To wina mojego porywczego charakteru.

Ujęła wachlarz i starannie odganiała ode mnie chmurę much. W wolnej przestrzeni, jaka na chwilę powstała, jej promieniejąca twarz przysunęła się bliżej. W tle zamajaczyła mi sylwetka lady Somerset. Panna Oates natomiast zniknęła. Panna Chumley szybko się odwróciła.

— Helen! Gdzie jest Janet?

— Skryła się pod pokład, słysząc śmiechy marynarzy. Proszę włożyć kapelusz, panie Talbot.

— Jakich marynarzy? Z czego się śmiali?

— Wszyscy na was patrzą, Marion!

— Przepraszam, Helen. Jak już oświadczyłam panu Talbotowi, zupełnie zawrócił mi w głowie... co powinna młoda osoba...

— Wracaj na pokład.

— Helen...

— Lady Somerset...

— Spotkasz się z nim jutro, jeśli wcześniej nie wypłyniemy w morze... ale, uważaj, tym razem na lonży...

Patrzyła za odchodzącą dziewczyną.

— Współczuję panu, panie Talbot. Nic ponad to. Śmierć pańskiego protektora zapewne opóźni pański marsz ku sławie i fortunie.

— Dysponuję majątkiem odpowiednim dla młodego człowieka... chociaż, przyznaję, zbyt małym dla większych przedsięwzięć. Ojciec...

— Młodszy sekretarz nie może założyć rodziny, nawet jeżeli posiada własny kapitał. Zanim wyszłam na pokład... panie Talbot, to było zbyt poufale! Gdyby nie sprawa majątku, byłby pan idealnym kandydatem. Jestem w rozterce, panie Talbot, opieka nad młodą osobą...

— Ona jest najpiękniejszą damą na świecie!

— Słusznie pan to zauważył, sir. Marion jest też inteligentna, a to trwa dłużej niż uroda i ma znacznie wyższą wartość, chociaż mężczyźni nie potrafią tego docenić. Na jej charakter składają się upór i... do tego incydentu... rozsądek!

— Ona... my... jesteśmy dla siebie stworzeni!

— W Kalkucie kawalerowie ją oblegali.

— Nie wątpię. O Boże!

— Zdaje się, że mam miękkie serce. Pozwalam panu spotkać się z nią jutro.

— Proszę o wyrażenie zgody na przejazdżkę! Teraz... przed zachodem...

— Jutro. Na tę noc wynajmiemy pokoje w hotelu, jeśli znajdzie się coś odpowiedniego.

Chociaż sytuacja

jest na tyle dramatyczna, że będziemy musiały zadowolić się nawet czymś mało stosownym.

— Co słyszę, madame?!

Lady Helen popatrzyła mi głęboko w oczy i przemówiła omdlewającym kontraltem.

— Ponieważ zamierza pan zostać mężczyzną żonatym, lepiej żeby był pan przygotowany na najgorsze. Kąpiele, sir, gorące kąpiele. Może to dla pana nowość, lecz damy potrzebują ich tak samo jak wy, mężczyźni!

Po tych słowach ukłoniła się i oddaliła na statek. Wróciłem do siebie, by napisać liścik, w którym prosiłem o przywilej zabrania panny Chumley na przejażdżkę następnego dnia rano. Godzinę później otrzymałem odpowiedź. Lady Somerset przekazywała pozdrowienia dla pana Talbota oraz wyrażała zgodę, by nazajutrz zabrał na przejażdżkę pannę Chumley oraz pannę Oates. Pan Talbot ma się stawić na nowym nabrzeżu o godzinie dziesiątej rano.

Lady Somerset zapewne spodziewała się eleganckiego powozu. Mnie natomiast udało się znaleźć niepozorny powozik z jednym siedzeniem z tyłu, z widokiem na kilwater, dla panny Oates, oraz dwoma na dziobie. Było to okrutne wobec biednej panny Oates... lecz miłość wymaga poświęceń od wszystkich bez wyjątku! Powozik stanął na nabrzeżu za kwadrans dziesiąta. Mimo wczesnej pory panował już taki upał, że samo prowadzenie konia było pomysłem nie tylko niepotrzebnym, ale wręcz nierozważnym. Kolejny raz stałem się obiektem zainteresowania i... obawiam się... wesołości całej załogi statku.

Pierwsza pokazała się lady Somerset. Gestem wyrażającym obrzydzenie energicznie rozganiała wachlarzem chmarę much unoszącą się nade mną i koniem.

— Dzień dobry, panie Talbot. Rozumiem, że to miejsce jest przeznaczone dla panny Oates. Ten konik jest całkiem mały. Nie ma przynajmniej obawy, że was poniesie.

— Najgorsze jest to, madame, że trudno go ruszyć z miejsca.

Lady Somerset dała do zrozumienia, że wie co mam na myśli. Już chciałem napisać, że “skinęła głową”, lecz jej gest był równie niedostrzegalny jak przyzwolenie Zeusa.

— Marion zaraz tu będzie. Nie ma pan pojęcia, ile razy... O, już idą.
Nie pamiętam ani słowa z tego, co kto powiedział.

Co było dalej?

Miewam już, niestety, kłopoty z pamięcią. Oczywiście, to nic poważnego. Żaden z tych woluminów nie ukaże się w druku, dopóki nie wygaśnie pamięć o nas wszystkich. Poza tym pożytek z dzienników jest nader skromny. Przejrzałem je niedawno i stwierdziłem, że stać mnie tylko na przeczytanie niewielkich wrywków. Nie zamierzam poświęcać ani im, ani listom, więcej czasu. Onegdaj do ministerstwa dostarczono mi pismo od... kto by się spodziewał?... porucznika, a raczej pana Oldmeadowa. Dochował się wnuka, a jakże, i prosi mnie o to i owo. Wiele lat temu wycofał się z armii, otrzymał kawałek ziemi, po czym dokupił resztę. Zaklina się w liście, że jest teraz właścicielem obszaru większego niż cała Komwalia! Ta informacja i obraz kościstego chłopca o dziwnym sposobie wyrażania się przywołały mi na pamięć Australię. W moich wspomnieniach zachowały się głównie ptaki, stada zielonych, a czasami białych ptaków z żółtym czubem. To wszystko musiało się wydarzyć, jak i sama podróż. Niedawno sam premier zwrócił się do mnie tymi słowy: “Talbot, robisz się piekielnie nudny przez te swoje wspominki z podróży”.

Z listu Oldmeadowa dowiedziałem się co nieco

O moich przyjaciołach Prettimanach. W trakcie swojej wędrówki do interioru zahaczyli o jego posiadłość. Przekazał mi niezwykle barwny obraz... przodem ona w spodniach, w męskim siodle, na narowistym ogierze, tuż za nią on w damskim siodle, z nogami zwisającymi na jedną stronę, dokładnie tak, jak przewidywał prettiman! Za nimi garstka emigrantów i wolnych “gubematorskich ludzi” oraz kilku dzikusów.

Oldmeadow pisał... o czym to było, u diabła? Już wiem! Usiłował przekonać ich, że dalszy marsz jest czystym szaleństwem. Ale nie chcieli go słuchać

I odjechali, gdzie ich oczy poniosły. Od tej pory wszelki słuch o nich zaginał. Ufam, że znaleźli dla siebie jakieś miejsce. Wcześniej jeszcze napisał do mnie, no, jak on się nazywa? Stary Brocklebank. Utrzymywał, że sklep z farbami okazał się świetnym interesem. Zenobia (jego starsza “córka”!) umarła dwa miesiące po opuszczeniu statku. Przekazała mi, twierdził, wiadomość mniej więcej takiej treści: “Powiedz Edmundowi, że przechodzę przez most”. Do diabła, w tamtych czasach nie było w okolicy Sydney ani jednego mostu, a nasz rozpadający się statek nie był parowcem!

Teraz sobie przypominam. Przyszła panna Chumley, a tuż za nią panna Oates. Podałem dłoń pannie Chumley, podczas gdy jej towarzyszka sama wdrapywała się na tylne siedzenie. Nie wiem, jak jej się to udało, bo gdy się obejrzałem już tam siedziała sztywno wyprostowana, oburącz trzymając się poręczy.

- Czy siedzi pani wygodnie, panno Oates? Panno Chumley?
- Bardzo wygodnie, sir. Czy mogę coś zaproponować?
- Spełnię każde pani życzenie!
- Czy możemy pojechać gdzieś daleko od wody? Zna pan moją awersję do morza.

— Naturalniej madame. Pojedziemy w głąb łądu.

Ruszyliśmy. Z punktu widzenia osoby powożącej ta przejażdżka wcale nie wprawiła mnie w zachwyt. Zdaje się, że to małe i ponure zwierzę przedkładało pogrzeby nad spacerowe przejażdżki. Raz udało mi się je zachęcić do kłusa, chociaż wcale nie był to “szybki kłus”, lecz wkrótce i tak zwolniło. Zorientowało się najwyraźniej, że trójka pasażerów to za dużo. Podzielałem jego zdanie, z zupełnie innych powodów. Trzeba jednak przyznać, że skoro już musieliśmy podróżować we troje, panna Oates okazała się idealną przyzwoitką. Zatrószyłem się o jej wygodę, panna Chumley natomiast jeden raz zachęciła ją do obejrzenia jakiegoś wyjątkowo białego pnia, i od tej chwili Janet przestała dla nas istnieć!

— Domyślam się, że pokaże mi pan jakieś ciekawe widoki, panie Talbot. Jeżeli mogę coś zaproponować...

— Jestem do pani usług!

— Czy są tu malownicze widoki z drzewami, lasami, polami! Jakież dęby, buki...

— Jedyna porządna droga prowadzi do Paramatty. Przyjęto się uważać, że najciekawszym widokiem w tej okolicy jest port i statki. Nie wydaje mi się, żeby miała pani na to ochotę. Co ponadto? Jak sama pani widzi, tutejsze budynki nie należą do imponujących. Możemy pojechać obok miejsca, gdzie położono fundamenty pod nowy kościół i gdzie czasami odbywają się nabożeństwa polowe.

Panna Chumley odganiała wachlarzem muchy sprzed niewielkiego fragmentu twarzy nie osłoniętego kapeluszem i szalem.

— Wiodłam nader pobożny żywot — zauważyła. — Trudno sobie wyobrazić, jak troskliwą opieką otacza się osierocone potomstwo osób duchownych.

— Wyczuwam smutek w pani głosie, panno Chumley. Zdaje się, że na pokładzie Alcyone nie ma kapelana ani nawet zwyczajnego pastora, jak u nas na początku podróży. Rozumiem, że to może stać się dodatkowym problemem dla młodej osoby.

— Owszem. Chyba tak. O, jakie piękne ptaki!

— Pojedziemy tędy. Tam są tubylcy... ich wygląd nie jest godny naszych oczu, a w szczególności oczu dam.

— To wspaniałe, że Helen zgodziła się, by nas pan zabrał na taką przejażdżkę.

— Fakt, że łądy Somerset powierzyła panią mojej opiece, jest dla mnie wielkim komplementem. Doprawdy, nikt jeszcze nie dostąpił tak cennego przywileju.

— Proszę mnie nie przeceniać!

— To niemożliwe... chociaż dlaczego nie?

— Ponieważ poprzysięgam sobie, że nigdy... nikomu nie sprawię zawodu. Mniemam, że to ładnie brzmi, chociaż obawiam się...

— Jak pani to pięknie ujęła. Jestem bezgranicznie poruszony... Och, panno Chumley!

— Janet... wygodnie ci? Nie chcesz zamienić się ze mną miejscami?

Zebrałem się w garść.

— Panno Oates? Może chce pani usiąść obok mnie?

Dla wszystkich było jednak oczywiste, że panna

Oates nie ma najmniejszego zamiaru opuszczać miejsca, na którym siedzi, sztywna ze strachu, tyłem do kierunku jazdy.

— Proszę, oto krajobraz wiejski, panno Chumley.

— Panie Talbot... ci mężczyźni! Czy to są...

— Gubernatorscy ludzie? Tak.

Zniżyła głos do szeptu.

— Oni nie mają łańcuchów.

- Nie zrobią nam żadnej krzywdy. Łańcuchy... po co? Jeśli mi wiadomo, to pustkowie, ten bezkres, ciągnie się przez trzy tysiące mil!
- Jest pan tego zupełnie, zupełnie pewien?
- Inaczej bym tu pani nie przywiózł! Żelaza zakłada się wyłącznie więźniom agresywnym lub

zdeprawowanym. Jeżeli ktoś jest naprawdę niebezpieczny, wysła się go na jakąś wyspę, że nie wspomnę

o chłości. W szkole nieraz mi się dostało i potem byłem za to wdzięczny nauczycielowi! Uważam, że miało to istotny wpływ na kształt mojego charakteru. Oczywiście, należy pamiętać, co mawiali Grecy: "Nigdy za dużo". W Anglii obowiązują wyniosłe zasady, z czego powinniśmy być dumni. Ci ludzie wiedzą, że można żyć na tej ziemi. Zaledwie kilka dni temu, podczas przyjęcia z okazji urodzin naszego króla, siedziałem przy tym samym stole z jednym z byłych więźniów. Jest teraz bogaty i nieźle mu się wiedzie! Cudzoziemcy potępiają nas za "niewolnictwo". Tu nie ma niewolników, ciężkich robót, lochów, szubienic, tortur! W cywilizowany sposób staramy się ich zreformować i skierować na drogę poprawy. Proszę nie patrzeć w lewo. W zaroślach siedzą jacyś tubylcy.

Panna Oates zapiszczała. Panna Chumley natomiast zwróciła się do niej przez ramię tonem, jakiego wcześniej nie słyszałem.

— Opanuj się, Janet! Pan Talbot zapewnił mnie, że te istoty są nieszkodliwe.

Zachwycająca odmienność... te drzewa, rośliny, zapachy... o, jaki motyl! Tam, tam! Jakie muchy!

— Trzeba się z nimi pogodzić, nie ma innej rady.

— Należy mieszkać w mieście, mimo wszystko. Ten entuzjazm dla Natury musi kiedyś wygasnąć, a ludzie muszą się opamiętać!

— Czy w Indiach nie była pani zewsząd otoczona przez Naturę, panno Chumley?

— Kalkuta to duże miasto. Wcześniej spędziłyśmy kilka dni na wybrzeżu, u zarządcy okręgu, w Madrasie. Chociaż wysoko sobie cenię stały ład, nie jestem pewna, czy mi się tam podobało. Było tam tyle miejsc, do których zarządca stanowczo zabraniał nam chodzić!

— Z powodu tubylców?

— Ależ nie! Oni są przyjaźnie nastawieni. Twierdził, że nie powinniśmy zbliżać się do pogańskich świątyń... chociaż wcale nie wyglądał na osobę bardzo religijną! Czy widział pan hinduską świątynię, panie Talbot?

— Chyba nie. Ale coś o nich czytałem.

— Nie rozumiem, dlaczego budowle służące innym wyznaniom niż nasze, mają być niedostępne dla młodej osoby. Musi pan wiedzieć, że w Salisbury mamy wiele budowli innych niż kościoły anglikańskie, jest tam nawet zbór kwaków!

Nie wytrzymałem.

— Pani jest cudowna!

— Ja tak nie uważam, lecz cieszę się, że takie jest pańskie zdanie, chociaż nie powinien pan go wygłaszać! Prawdę mówiąc, wolałabym, żeby go pan nie zmieniał jak... zdaje się, że nasz koń zamierza stanąć.

— Przeżywam istne katusze, panno Chumley...

— Helen twierdziła, że powinniśmy słuchać rad zarządcy, chociaż ja uważam, że to był rozkaz! Proszę sobie tylko nie wyobrażać, że Helen łatwo daje się zastraszyć starszym panom!

— A takim przystojnym i młodym jak porucznik Benêt?

Roześmiała się w odpowiedzi.

— Och, pan Benêt! Miał prawdziwego feblika do Helen... na całym statku nie rozmawiało się o niczym innym!

— A pani, panno Chumley?

— Sporo rozmawialiśmy po francusku. Bardzo lubię ten język. Czy pan zna francuski?

— Nie tak dobrze jak pan Benêt.

— Myślę, że na waszym statku doszedł do siebie, pod koniec bowiem był bardzo nieszczęśliwy. Błagał

o entretien, o tête-à-tête... och, nie wypada tego opowiadać!

- Proszę mówić!
- Janet, nie słuchaj. Sir Henry zachowywał się

bardzo nierozsądnie. Miałam stać pod tymi drzwiami, z których zazwyczaj wszyscy korzystali. Pan Benêt wpadł do środka, rzucił się przed nią na kolana i chwycił za rękę, nie przestając recytować tych swoich poematów... w pewnej chwili statek zakotłosał

i wtedy oni wpadli na siebie. Traf chciał, że w tym samym momencie sir Henry, wbrew swoim przyzwyczajeniom, wszedł drugimi drzwiami! Jak w teatrze!

— Co dalej?

— Jak on się gniewał! Sir Henry, oczywiście! Mnie się też oberwało. Rozumie pan?

— Zapewne. Chociaż ja nigdy bym się na panią nie gniewał.

— Nawet pan Benêt miał do mnie pretensję, ale wkrótce mu przeszło. Zagroziłam mu, że powiem lady Somerset, że on się czerwieni z powodu swojego nazwiska. Dlatego bowiem zmienił...

— Nie rozumiem.

— Skomplikowane, prawda? Widzi pan, jego ojciec rozpętał Rewolucję Francuską, ale musiał uciekać przed gilotyną. Porzucił wszystkie swoje dobra, wszystko... i przyjął nowe nazwisko, jakby chciał zadrwić sam z siebie. Mnie się to wydaje takie francuskie, prawda?

— Więc to o to chodziło... stąd ta sprzeczka... dlatego pan Prettiman... i pani Prettiman... nazwała mnie...

— Myślę, że powróci do swojego dawnego nazwiska, jak tylko wojna się skończy.

Pytanie samo wymknęło mi się z ust.

— Panno Chumley... ile pani ma lat?

Panna Oates znowu zapiszczała, panna Chumley zaś wyglądała na zmieszaną.

— Siedemnaście, panie Talbot. Niedługo będę miała osiemnaście. Chyba nie myśli pan, że...

— Że co?

Patrzyliśmy sobie prosto w oczy. Nie miałem wątpliwości, że lekki rumieniec zalał widoczną część jej twarzy.

— Chyba nie myśli pan, że jestem za młoda?

— Nie, nie. Czas...

— Panie Talbot! Nie pozwolę, żeby pan się zamartwiał!

— Ja...

— Nie wolno panu być smutnym! Pan Benet dojdzie do siebie, a sir Henry już mi przebaczył. Czy jest pan zadowolony?

— W zupełności. Nawet bardziej, niż pani sobie wyobraża.

Czy to powiedziałem? Czy takie były jej słowa? Czy była aż tak przejęta, tak niewinna lub naiwna? Czy rzeczywiście wywarła na mnie aż takie wrażenie? Ożywają doznania późniejszych lat poruszone tymi urywkami wspomnień, pamięcią jej świeżej młodości i urody... a także mojej młodości... tego chudego durnia, który wszystkiego jeszcze musiał się nauczyć i nie miał nic do stracenia. Tak, mówiliśmy coś takiego. Myślę, że mogliśmy coś podobnego przeżywać.

— Uważam, panie Talbot, że powinniśmy zapomnieć o tym wydarzeniu. Postąpimy tak, jak często radził nam pan Jespersion, z którym przerabialiśmy Stary Testament: "Dziewczęta, nie ma potrzeby, abyście dokładnie czytały od wersu dwudziestego do dwudziestego piątego, a rozdział siedemnasty można pominąć w całości!"

— To całkiem rozsądny pomysł.

— Czy pan wie, że Indie wcale nie są krainą biblijną? Jestem tego pewna, ponieważ podczas pobytu u kuzyna, w Kalkucie, zajrzałam do "Kon- kordancji". Nie ma tam takiego hasła.

— Przygnębiające odkrycie.

— Nie chcę, żeby pan się smucił!

— Droga panno Chumley, życie składa się z pro

mieni słońca i róż, Co z tego, że jutro mogą nadciągnąć chmury?

— Wam, dżentelmenom, słońce nie szkodzi, bo nie obowiązują was żadne ograniczenia. My natomiast... proszę popatrzeć, dokąd sięgają moje rękawiczki... a na dodatek możemy wyjść na słońce tylko z parasolką. Brązowoskórzy mieszkańcy Indii... czasami nawet przyjemnie na nich popatrzeć... wpadają w taki sam niemy zachwyt na widok angielskiej damy, jak ten anioł z maski Milтона “Comus”! My- nie możemy być opalone, ponieważ oni, tam, przestaliby brać z nas dobry przykład. Mój kuzyn twierdzi, że do końca wieku cały półwysep indyjski przyjmie wiarę chrześcijańską.

— Przede wszystkim dzięki karnacji angielskich dam!

— Pan ze mnie drwi!

— Skądże znowu!

— Janet, zatkaj uszy. Panie Talbot... do listu lady Somerset dołączyłam karteczkę... czy pan ją znalazł?

— A jakże!

— Proszę mi wierzyć, gdy tylko umyślny zabrał list, poczułam, że jestem gotowa oddać wszystko, żeby ją odzyskać... wydawało mi się, że pozwoliłam sobie na zbytnią szczerość... nie myśli pan, że to było zbyt... zbyt...?

— O, panno Chumley! Ten liścik dał mi... przywrócił mi jasność myślenia. Ten arkusik jest moim największym skarbem... mogę powtórzyć każde słowo!

— Proszę tego nie robić. Ale czy nie uważa pan, że te słowa są zbyt...?

— To są święte słowa.

— Janet, możesz już odetkać uszy. Janet!

Odwróciłem się. Panna Oates siedziała z dłońmi

wsuniętymi pod czepek. Patrzyła przed siebie: tam, skąd przyjechaliśmy. Strzelała oczami jak zając, ponieważ za powozem szedł aborygen. Był całkiem nagi, a w ręce trzymał groźnie wyglądającą dzidę. Krzyknąłem na niego kilka razy, aż w końcu zniknął w krzakach. Myślę, że wcale nie z powodu moich wrzasków. Mniemam, że po prostu przestaliśmy go interesować. Oni zazwyczaj się zniechęcają.

— Pora zawrócić.

To podłe zwierzę natychmiast podniosło uszy

i puściło się kłusem! Dobrze wiedziało, dokąd zmierza i dopięło swego, nie bacząc na moje wysiłki. Poznaliśmy zwyczaję jego właściciela lub osoby, która je zazwyczaj “ujeżdżała”. Kto może mieć potrzebę zatrzymać się najpierw pod wielkim drzewem, a następnie przed dwoma domami, potem przy studni i w stoczni? Kiedy już — jako jedyny rezultat mojej nieskutecznej perswazji — rozbolały mnie nadgarstki, znaleźliśmy się na niewielkim wzniesieniu, z którego roztaczał się widok na port. Z myślą

o utrudzonym wędrowcu postawiono tam drewnianą ławeczkę, z czego byłem ogromnie rad, mimo że tuż obok stał aborygen. Wpatrywał się w zatokę, jakby co najmniej był jej właścicielem! Koń zatrzymał się. Aborygen odszedł. Nawet na nas nie popatrzył.

— Przepraszam za fanaberie tego bydlaka. Panno Oates, uwiążę go tutaj i zostawię pod pani baczny spojrzeniem.

W odpowiedzi usłyszałem znajomy już pisk. Pomogłem pannie Chumley wysiąść i poprowadziłem grzbietem wzgórza, nad wodą. Wkrótce zatrzymałem się i stanąłem przed nią.

— Panno Chumley... Już zapewne mówiłem, że oboje staliśmy się zabawką Neptuna w nie mniejszym stopniu niż sam Ulises. Wobec tego nie przystają do nas powszechnie przyjęte reguły postępowania. Te wszystkie listy, które do pani skierowałem...

— Ten skarb dotarł do mnie!

Wyrzucaliśmy z siebie zdania jednym tchem, a cała

rozmowa miała dziwnie chaotyczny przebieg. Usłyszałem głos, który nie należał do żadnego z nas.

— Panno Chumley... Marion! Musisz wiedzieć, że od pierwszej chwili wiedziałem... jak bardzo jestem ci oddany. Powiedz... chociaż w to nie uwierzę... że twoje uczucia skierowane są ku innej osobie, a odejdę leczyć złamane serce. Och, madame... jeżeli jednak jest pani wolna i przychylna moim staraniom... krótko mówiąc... jeżeli potrafi pani traktować mnie jak kogoś, kto jest czymś więcej niż tylko przyjacielem...

Patrzyła na mnie z uśmiechem na ustach i roziskrzonym wzrokiem.

— Nie wyobrażam sobie, panie Talbot, aby młodej osobie coś innego mogło sprawić więcej radości!

— Och, powtórzyłbym to całemu światu!

— Obiecuję panu, że cały statek otrzyma niezaprzeczone dowody naszej umowy, zanim wypłyniemy z portu... Co się stało?

Był odpływ. Przed nami, w odległości mili lub dwóch, ujrzałem czarne zebra naszego biednego statku, wyraźne jak na litografii. Pamiętam, że nie byłem w stanie rozmawiać o tym z panną Chumley. Staliśmy w milczeniu. Opanowała mnie fala wspomnień, wzbierała pod powiekami, aż poczułem się zmuszony ukryć gest ocierania tej wody, pozorując walkę z nachalnością wszechobecnych much! Ona o niczym nie wiedziała, nie poznała tych ludzi ani grozy, strachu, okrucieństwa, oddania, nudy i śmierci, którymi te drewniane szczątki nadal zdawały się być przesycone.

— Panno Chumley... co stało się z porucznikiem Deverelem?

— Zszedł ze statku i zaciągnął się na służbę u maharadży. Otrzymał stopień pułkownika, lecz nie zwracano się do niego w ten sposób. Nosi teraz turban i jeździ na słoniu.

Nagle...

— Panie Talbot! Flaga!

Powiodłem wzrokiem w prawo. Ujrzałem Alcyone przy nabrzeżu.

— Niestety, madame, ta flaga nazywa się "Piotrus" i oznacza, że statek wychodzi w morze.

Patrzyliśmy sobie w oczy.

Pominę te wyznania, pożegnania i przysięgi. Można je przeczytać w tysiącach romansów, więc po co jeszcze coś dodawać? Oczywiście, w końcu musiałem zawieźć ją... je... na statek. Okładałem chabetę mocniej, niż była do tego przyzwyczajona. Z niejakim trudem udało mi się zatrzymać ją na skraju urwiska. Pożytek był taki, że dotarliśmy na nabrzeże szybciej, niż je opuszczaliśmy. Panna Oates rzuciła się na pokład, jakby ją kto gonił. Pomogłem wysiąść pannie Chumley. Nie ulegało wątpliwości, iż marynarze przygotowują statek do wypłynięcia w morze. Widoczne było także ich zainteresowanie naszymi osobami. Usłyszałem nawet rozkaz: "Patrz na pokład, durniu!", po czym rozległ się trzask startera. Ale nas to nie obchodziło! Uśmiechnęła się do mnie.

— Ma pan moje słowo, sir. Będę czekać... jeśli trzeba, nawet do śmierci!

— Moje serce należy do pani... oto moja ręka!

Wyciągnąłem rękę, a ona śmiejąc się złożyła w niej swoją dłoń.

— Drogi panie Talbot! Kolejny raz zawrócił mi pan w głowie!

Tuż przed sobą ujrzałem jej promieniejące oblicze. Zerwałem z głowy kapelusz i nie bacząc na to, co wypada, a co nie oraz na ukradkowe spojrzenia załogi, porwałem ją w ramiona. Nigdy, przenigdy, chyba tylko w stanie upojenia trunkiem, nie zrobiłem z siebie takiego widowiska. Nawet w owej chwili szaleństwa wiedziałem, że cały statek bez wyjątku wie, co nas łączy. Panna Chumley zrobiła dokładnie to, co należało zrobić.

Potem statek odpłynął, unosząc ze sobą moje serce.

Moi drodzy czytelnicy... postanowiłem bowiem, że będziemy mieli więcej niż jednego potomka... mogliby pomyśleć, że oto nasza "baśń" dobiegła szczęśliwego końca. Mogliby się także spodziewać pomyślnego rozwoju kariery we władzach kolonii... lecz na tym nie koniec! To dopiero początek baśni!

Następnego dnia Daniels przypomniał sobie, że Alcyone przywiozła pękaty worek listów. Powiedział, żebym wybrał swoje ze sterty na jego biurku. Byłem zbyt pochłonięty rozstaniem a także szczęściem, jakie mnie spotkało, by się tym zająć. W tym momencie pisma z Anglii nie wzbudzały mojego zainteresowania. Przynosiły niestety więcej złych wiadomości niż dobrych. I tak, pofatygowałem się po nie dopiero dwa dni po wypłynięciu Alcyone. Najpierw przeczytałem list od Pani Matki, który wydał mi się całkiem pogodny, bez żadnego wyczuwalnego powodu. Dlaczego jest "taka spokojna"? Dlaczego nazywa mojego ojca chrzestnego "drogim

i dobrym człowiekiem"? Nieczęsto zasługiwał na te określenia, zarówno w życiu publicznym jak prywatnym! Przeszedłem do listu od ojca. Odczytano ostatnią wolę ojca chrzestnego. Nie zapisał mi niczego, lecz wykupił wierzytelności hipoteczne i przekazał je mojej Pani Matce! Wprawdzie nie staliśmy się ludźmi bogatymi czy nawet zamożnymi, lecz mieliśmy zapewniony spokojny byt i, jak pisał ojciec, byliśmy niezłe "sytuowani"!

Więcej nawet... proszę drogich czytelników, by postarali się ze wszelkich miar poskromić niedowierzanie, biorąc przykład z pana Harrisona, którego wybrano do Parlamentu bez jego wiedzy, o czym przypadkiem dowiedział się z angielskiego biuletynu informacyjnego pożyczonego od pewnego Anglika w paryskim burdelu! Otóż jeden z przedstawicieli okręgu wyborczego mojego śp. protektora zrezygnował ze swojego mandatu w Parlamencie i na jego miejsce wybrano mnie, Edmunda FitzHenry Tal- bota! I co pan na to, panie Goldsmith? Wątpię, czy wymyśliłaby pani coś lepszego, panno Austen! Na nic najgłośniejsze okrzyki zdumienia wobec tak nieprawdopodobnego obrotu spraw! Przeczytałem te wspaniałe wieści kilka razy... i wróciłem do listu od matki, który nareszcie nabrał sensu. W pierwszej chwili postanowiłem natychmiast zawiadomić Wybranekę Mojego Serca! W drugiej kolejności poprosiłem o rozmowę z panem Macquarie.

Gubernator okazał mi wiele przychylności. Ledwie zdałem mu relację i pokazałem obszernie fragmenty listu od ojca, a już mnie poprosił, bym raczył w nim widzieć bardziej przyjaciela niż gubernatora.

Cóż jeszcze mógłbym dodać? Pan Macquarie uprzedził mnie, że mogą zaistnieć pewne trudności z rychłym znalezieniem środka transportu. Jak tylko znajdzie się jakiś statek... na razie, dziękując za tak oczywisty znak Boskiej Opatrzności, pomódlmy się razem. Przystałem na tę propozycję. Przyznaję, że pomyślny los i radość usposabiają mnie przychylniej do prawdy religii chrześcijańskiej niż ich posępne przeciwieństwa! Gdy wstaliśmy z kłeczek, pan Macquarie był uprzejmy zadać mi pytanie, czy wolę niezwłocznie porzucić sfery rządzące ("stanowimy jedną szczęśliwą rodzinę"), czy może tymczasem zechciałbym oddać swoje talenty na usługi kolonii. Bez namysłu przyjąłem jego propozycję. Oświadczył, że z wielu powodów pragnie zacieśnić kontakty z Londynem. Wyraził przekonanie, że powinienem zapoznać się z tym co, pomimo ograniczeń czasowych, udało mu się już osiągnąć. Informacje te mogą okazać się nieocenione dla jednego z naszych prawodawców.

Mój list do panny Chumley rozrósł się do potężnych rozmiarów. Do portu zawinął żaglowiec Hen-

netta, lecz okazało się, że wymaga poważnych napraw. Stale odwlekano wyjście w morze, co nie wynikało z czyjejs opieszałości, lecz należało do rutyny w marynarce podczas działań wojennych. Przeniosłem swoje rzeczy na inny statek, który wprawdzie niezwłocznie opuścił port, lecz beze mnie, za to z moim bagażem i listem. Henrietta... nie warto

o tym wspominać. Wkrótce udałem się w ślad za listem, lecz zbyt długo czekałem w Madrasie, co ostatecznie obróciło się na dobre, ponieważ dzięki temu czytelnik ma okazję poznać talenty epistolograficzne panny Chumley. W swoim liście nie omieszkalem formalnie poprosić o jej rękę. Słowa, w jakich Wybranka Mojego Serca zgodziła się uczynić mnie najszcześniejszym człowiekiem na ziemi, na zawsze pozostaną dla mnie największą świętością. Pozwoliła mi wszakże przytoczyć inne fragmenty tego listu:

Aura nadal paskudna. Ile bym dała za jeden dzień angielskiej pogody! Muszę jednak przyznać, że spotkało mnie niezmiernie dużo dobrego, a największą radość sprawił mi... lecz nie będę Panu prawić komplementów na początku listu, ponieważ, sam Pan mi przyzna rację, byłoby to najgorsze powitanie z możliwych. Zacznę zatem od "Projektu mojego przemówienia inauguracyjnego", który był Pan uprzejmy przysłać mi z prośbą o uwagi. Drogi Panie Talbot! Uważam, że Pańska mowa jest wspaniała! Kiedy przeczytałam zdanie: "Obejmuję ten mandat wyłącznie dlatego, iż moim jedynym pragnieniem jest reforma tego chorego i niesprawiedliwego systemu", z głębi serca wyrwał mi się okrzyk... Jakie to szlachetne! Na marginesie: kto to jest pani Prettiman?

Być może wyda się to Panu zbyt śmiało z mojej strony, lecz chciałabym poruszyć kwestię naszej proponowanej wspólnej podróży do Anglii. Kuzyn mój (który, jak Panu wiadomo, jest osobą duchowną)

wyraził pewne zastrzeżenia. W związku z tym przesyłam Panu jego list. W pełni podzielałam Pańską sugestię, iż po drodze moglibyśmy zwiedzić największe ośrodki naszej cywilizacji. Piramidy! Jeszcze jedna atrakcja! Czy nie powinniśmy jednak wracać najkrótszą drogą, by jak najprędzej mógł Pan objąć stanowisko w Parlamencie? Ziemia Święta... zapewne zdaje Pan sobie sprawę, jak poczesne miejsce zajmuje ona w sercach młodych osób. Niestety nigdy nie potrafiłam polubić Izraelitów, jak należy! No, proszę! Przyznałam się do tego! Jestem przekonana, że byli ludźmi ze wszech miar godnymi szacunku, żywili się bowiem manną, prawda? Czyż dieta wegetariańska nie osłabia każdego, czy młody czy stary, pozbawiając go sił potrzebnych do czynienia zła? Gdy tylko przeszli na inną dietę... całe to tłuczenie od bioder aż do goleni, cokolwiek mogłoby to znaczyć... to przecież jest przemoc! Oczywiście, nie odważyłabym się krytykować twórcy naszej wiary, lecz obawiam się, że wędrówka śladami Mistrza mogłaby dostarczyć młodej osobie zbyt wielu bolesnych wzruszeń. Krótko mówiąc, może moglibyśmy, jak mawiał pan Jespersion, "pomiąć Ziemię Świętą w całości"? Naturalnie, we wszystkim pragnę kierować się Pańską radą, a moim jedynym życzeniem jest być przy Pańskim boku podczas, jak to Pan ujął, tej "doniosłej przemiany z czwartego sekretarza w członka najsilniejszego ciała ustawodawczego na tej ziemi".

Czytelnicy bez wątpienia potrafią wyobrazić sobie, z jak wielką radością czytałem ten słodki dokument! Na koniec przeszedłem do listu od kuzyna panny Chumley. Z nie mniejszą radością dowiedziałem się z niego, iż ów dżentelmen jest w rzeczy samej osobą duchowną, wręcz biskupem, i że podpisuje się "t Calcutta".

Cóż jeszcze mógłbym dodać? Nadszedł oto kres

podróży Edmunda Talbota na koniec świata oraz jego starań, by poznać marynarski żargon! Przewiduję, iż moi jeszcze nie narodzeni czytelnicy mogą odczuć pewien niedosyt. Czegoś tu brakuje, prawda? Biskup nie mógł zezwolić na wspólną podróż, dopóki nie zostaniemy małżeństwem. Dalibyśmy bowiem nader zły przykład światu, tak przecież otwartemu na wszelką rozwiązłość. Zaproponował wobec tego, iż sam dokona tej ceremonii! Drodzy czytelnicy, możecie być spokojni: pewnego dnia wyskoczyłem z szalupy na indyjski brzeg. Dwadzieścia jardów przede mną stała młoda osoba pod różową parasolką, tuż za nią niezastąpiona Janet z grupką ciemnoskórych służących. Nad różową parasolką rozpięto drugi, wielki parasol. Na mój widok panna Chumley wyzbyła się lęku przed promieniami słońca. Zerwałem z głowy kapelusz... ona ruszyła ku mnie...

i wasza prapraprapraprababka rzuciła mi się w ramiona!

Po przeczytaniu listu od Oldmeadowa wyszedłem na przechadzkę. Wspominałem dawnych znajomych... wrogów, którzy z perspektywy czasu wydają się przyjaciółmi. Powróciły twarze tych, o których już zapominałem: Jacobs, Manley, Howell. Stanęli mi przed oczami, jedno po drugim: Bowles, Celia Brocklebank, Zenobia, Pike, Wheeler, Bates, Colley... wszyscy, począwszy od kapitana Andersona. Dziwne to było przeżycie. Zauważyłem, że wspominam ich bez większych emocji... nawet porucznika Summersa, nawet oboje Prettimanów. Owej nocy miałem sen. Mam nadzieję, że był to sen, ponieważ sny zawsze otacza aura tajemniczości. Mam tu na myśli sam fakt śnienia, a nie ich treść. Nie chciałbym, by okazało się to czymś innym niż snem, inaczej bowiem musiałbym zaczynać od nowa w świecie zupełnie odmiennym od tego, który zapewnia mi spokój umysłu i poczucie bezpieczeństwa. W owym śnie oglądałem ich z poziomu gruntu: byłem całkiem wygodnie zakopany w australijskiej ziemi, ponad którą wystawała mi tylko głowa. Przejechali zaledwie kilka jardów ode mnie. śmiali się i prowadzili ożywioną rozmowę. Za nimi podążali mężczyźni

i kobiety z promieniejącym spojrzeniem, jak podczas udanej wyprawy po skarby. Jechali konno... ona przodem, w kapeluszu z wielkim rondem, w męskim siodle, on tuż za nią, usadowiony bokiem z powodu bezwładnej nogi. Widząc ich entuzjazm, miodowe światło, towarzyszący im tłum, słysząc śmiech i pieśni można by pomyśleć, iż podążają na jakiś radosny festyn, chociaż nie wiadomo, gdzie należało go szukać na tej bezkresnej pustyni. Byli tacy szczęśliwi! Podekscytowani!

Obudziłem się, otarłem twarz, opanowałem drżenie i natychmiast powiedziałem sobie, że nie wszyscy możemy zrobić coś takiego. Ktoś musi zajmować się tym światem. Czy nie mam racji? Jednak zanim całkiem doszedłem do siebie, stanęły mi w pamięci jej — a może jego — słowa, że mogę do nich dołączyć, chociaż nigdy nie sprzyjałem tej idei. Mimo to ona istnieje.